

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

323382

IGNACY
BALIŃSKI
(AKSEL)

IGNACY BALIŃSKI
(AKSEL)

WYBÓR WIERSZY

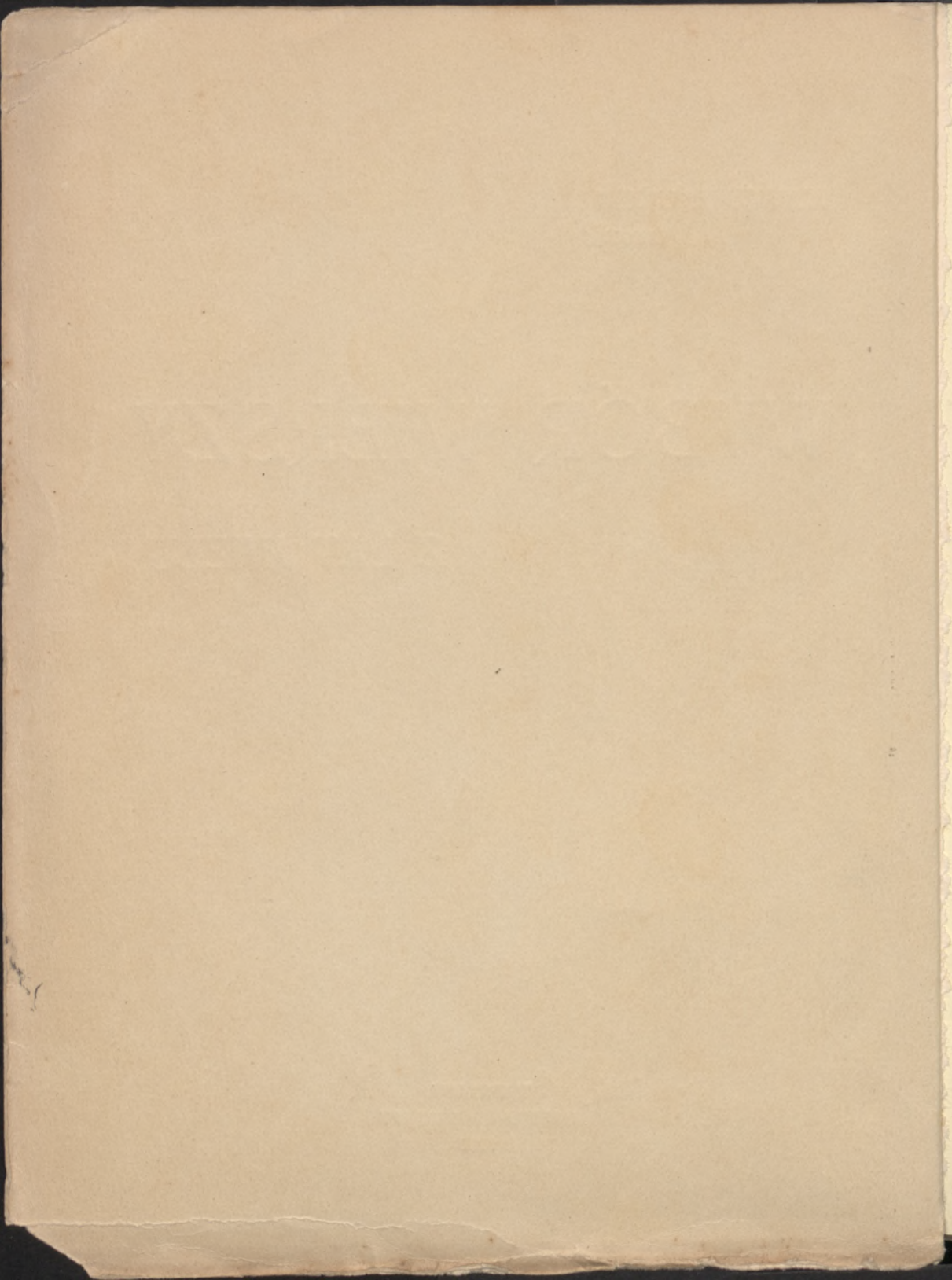
Z LAT WIELU

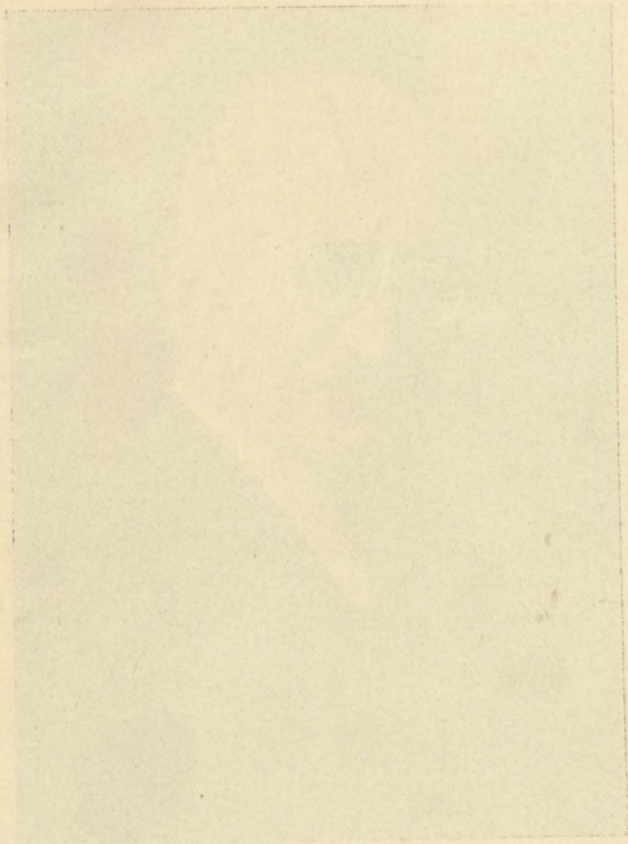
W
Y
B
Ó
R
W
I
E
R
S
Z
Y

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF

1937

1937







Ignacy Baliński.

u1401

IGNACY BALIŃSKI
(AKSEL)

WYBÓR WIERSZY

Z LAT WIELU

WIERSZE TE BYŁY DRUKOWANE RÓŻNEMI CZASY
W PISMACH PERJODYCZNYCH, KSIĄŻKACH ZBIO-
ROWYCH, ANTOLOGJACH, NIEKIEDY W ODDZIEL-
NYCH ULOTKACH, DLATEGO POD KAŻDYM
UMIESZCZONO ROK NAPISANIA. PODPISYWANE
BYŁY NAZWISKIEM AUTORA LUB PSEUDONIMEM
„AKSEL”, NIEKTÓRE ZAŚ NIE MIAŁY ŻADNEGO

□ □ PODPISU. □ □

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
1937

IGNACY BALIŃSKI

1882

WYBÓR WIEBISZY

WYBÓR WIEBISZY

323382



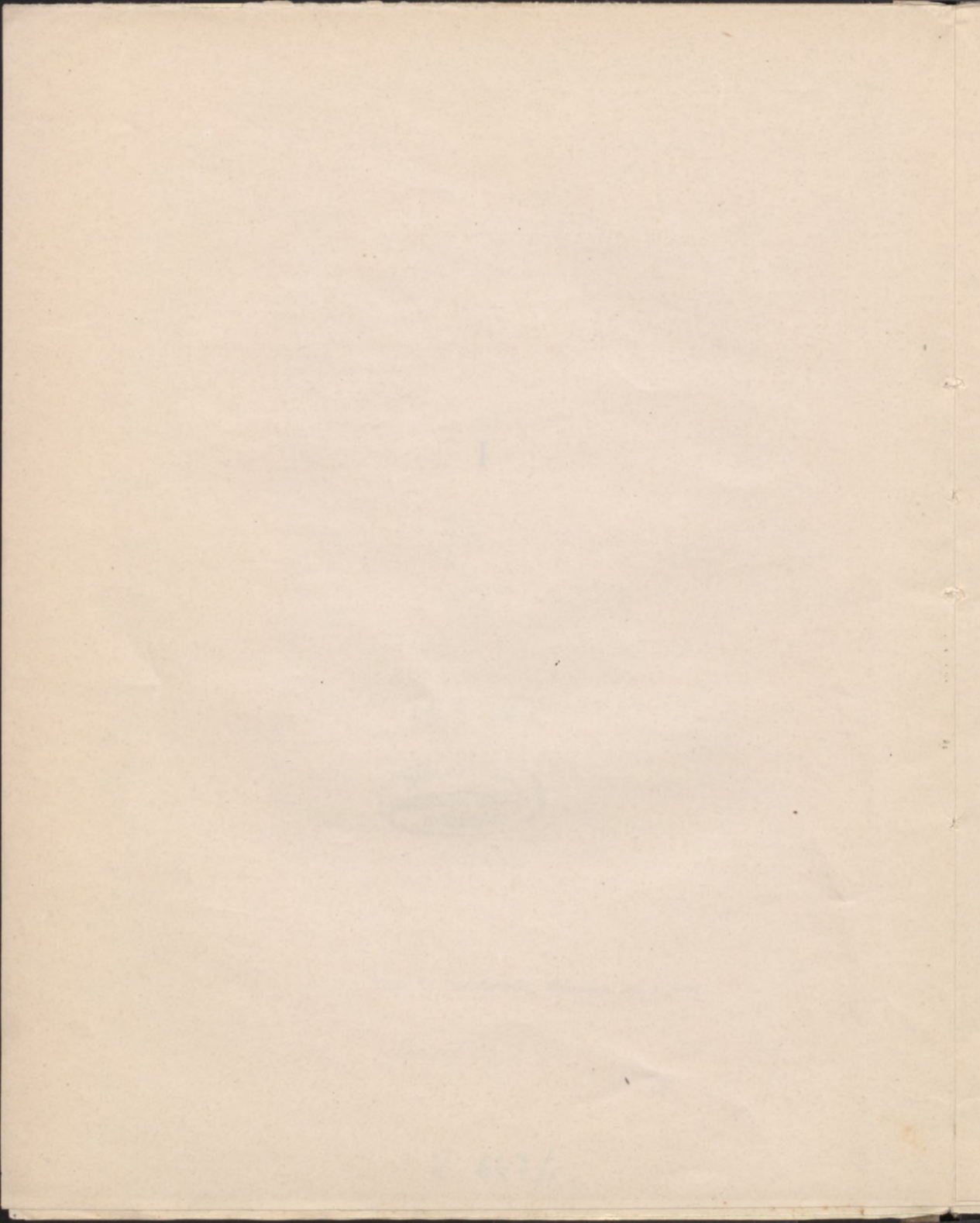
Druk. Fr. Orzechowski, Warszawa, tel. 5.36-59

WARSZAWA

DEBETNER I KOLTA

1931

K. 647/61



DO STARSZEGO POKOLENIA.

„Oto są grzechy naszego żywota.”

(Listopad 1886)

I.

Mówicie nieraz, a odcień zawodu
I chęć wyrzutu zdradza słów tych brzmienie:
— „O! my nie tacy byliśmy zamłodu,
Jak jest dzisiejsze młode pokolenie.
Dzisiejsza młodzież — toż to starców grono,
Co w wiosnie życia, w tej najlepszej chwili,
Kroczy ponuro z głową pochyloną,
I brak im tylko, by starcami byli
Zmarszczków na twarzy, na głowie siwizny!
Kto w nich przygasił tę miłość Ojczyzny,
Co w naszych sercach płonęła tak jasno,
Żeśmy składali na jej ołtarz krwawy
Swobodę, mienie i istotę własną?
Kto w nich wyziębził ową żądzę sławy
I wiarę w przyszłość i tę pewność siebie,
Co nas w młodości parła na wyżyny,
By ścigać gwiazdy promienne na niebie
I bohaterskie zdobywać wawrzyny,
Goniąc sny złote i wzniosłe mamidła?
Kto im zapału podciął lotne skrzydła,
Pozbawił szczytnych mrzonek, ideałów,
Junackich rzutów, porywów i szałów

I nawet zwykłych młodym latom grzechów?
Kto w nich przytłumił dźwięki szczerych śmiechów,
Co z ust młodzieży z wesołym hałasem
Tryskają wkoło, jakby promień złoty?
Kto zdał z nich pióra dziecinnej pustoty,
Szyderstwa gorycz wpoił w nich przed czasem,
Przed czasem wcisnął przesytu obrozę?...
Kto ich pograżył w czarne zwątpień morze
I zmroził lodem wszechobojętności,
Że w wiosnie życia, na wstępie młodości,
Stoją posepni jacyś, zimni, biali,
Bez krwi i ciepła, bez żądz i uniesień? —
Dzisiejsza młodzież — toż to chmurna jesień
Miał jasnej wiosny, którą myśmy znali,
To owoc dziwny, przed czasem przejrzały,
Którego wnętrze toczy rdza ukryta;
Kwiat, co nim z pączka wychylił się cały
I wszystkie barwy zgarnął, już przekwita.
Dzisiejsza młodzież, smutnym żartem losu,
Rozczarowanie zna wprzód niż złudzenia,
Nieufność w szczęście wprzód od doświadczenia,
A zniechęcenie wpierw, niżli pragnienia.
Ledwie się zdoła wydobyć z chaosu
Pierwotnych pojęć i dziecinnych wrażeń,
Wnet z płonącego życiowego stosu
Chwyta nie płomień jasnych dum i marzeń,
Lecz czarne głownie i szare popioły,
I kroczy chmurna, jakby starców rzesza,
Co z pustką w sercach, z spuszczonei czoły
Za pogrzebowym orszakiem pośpiesza
I do cmentarnej bramy się przybliża,
Nie jak gromada młodych dzielna, chyża,
Która z miłością i nadzieją w sercu
Na ślubnym z życiem stanąć ma kobiercu! —

II.

O! wy nie mówcie tak, bo słowa wasze
Bolesnem w sercach młodych dźwięczą echem,
Że niepojęte dla was życie nasze,
Choć niepojmować nas jest dla was grzechem.
Czemu z was żaden w głąb naszego ducha
Nie wnिकnie, bicia serc tych nie posłucha,
Tych serc znękanym biednej Polskiej młodzi,
W które pocisków tyle zewsząd godzi,
A którym nawet brak kropli swobody,
Jaką z was każdy miał, kiedy był młody.

Wyście wzrastali, gdy słońce wolności
Chociaż już zaszło, lecz zorzą zachodnią
Rzucało jeszcze wielki snop światłości,
Co był pociechą, nadziei pochodnią.
I łatwiej było wierzyć wam zamłodu,
Że doczekacie się nowego wschodu.
A nas noc czarna schwyciła w swe pęta,
Noc czarna, głucha, bez światła żadnego,
Bez gwiazdy żadnej, — i w nas, niemowlęta,
Wpiła swe szpony do szpiku samego.
W kołysce jeszcze budził nas płacz matek,
Łoskot pożarów, kos i szabel brzęki
I ojców straszny głos, co sił ostatek
Wydobywali, żeby stłumić jęki,
Gdy z wszystkim swoim brali pożegnanie,
Na śmierć wychodząc, albo na wygnanie...

III.

Chcecie wy wiedzieć dzisiejszej młodzieży
Pierwsze wspomnienie, co w pamięci leży,
To pierwsze mgliste, dziecinne wspomnienie,

Co się w umyśle jak przez sen majaczy:
Izba kamienna, szara... to więzienie,
Wewnątrz cień jakiś miga... Co to znaczy?
To Ojciec! Pragnie rozwalić więzienie...
Patrzcie! jak bije w szalonej rozpacz
Pięściami, głową, piersią o kamienie,
Uderza w ściany, chce, by pękły ściany,
Lecz ściany stoją, tylko głowa pęka...
Tam znowu postać jakiejś zapłakanej
Kobiety... łamie ręce, płacze, klęka,
To Matka! ona modli się do Boga,
Modli się głośno, lecz za tym łoskotem,
Ach! czy jej modlitw jęk dochodzi Boga!
To pierwsze nasze wspomnienie. A potem...
Potem zaległa wszystko ciemność sroga,
Ciemność i cisza, jak na dnie mogiły.
Ściany więzienia zwolna się zbliżyły,
Że ledwie wewnątrz nich powietrza stało,
I jęły tłoczyć nasze młode ciało.
Dusiły gardło, by wydusić mowę,
Cisnęły dusze, by wycisnąć wiarę.
I tak kleszczawo spięły naszą głowę,
Jakby z niej myśli chciały wziąć w ofiarę...
I w takiej celi wzrastać nam kazano,
Rozwijać umysł, co się ledwo budzi,
Być zdrowym, rześkim, wyglądać rumiano,
Uczyć się, męźnieć, wychodzić na ludzi
I myślał śmiała, lecz wierno-poddaną
(O! bo inaczej myśl się darmo trzusi!)

Rozpuszczać wodze młodzieńczym zapałom
I palić świeczki szczęścia ideałom...
Powiedzcie sami, czy to wam się żalić,
Że się tym świeczkom jakoś nie chce palić...

IV.

A potem przyszła szkoła, piękne słowo
 Szkoła! — O, szkoła była nam surową.
 Kołem obsiedli nas, jak czarne kruki,
 Ci fałszowanej adeptki nauki,
 Ci mistrze, którzy przybyli tu — poco?
 By nas nauczyć czegoś? O! broń Boże!
 By resztki światła dogasić przemocą,
 By nas powalić na Prokrusta łożę
 I gdzieś zatopić w zapomnienia fali
 To, cośmy z mlekiem matczynem wysali!
 Jeszcze z nich każdy lisią zwrotkę nuci:
 „O! wszak to dowód jest najwyższej łaski,
 Że ci młodzieńcy, tak rdzennie popsuci,
 Co jednak w rządzie tyle troski niecą,
 Z przybytków wiedzy mogą czerpać blaski!”
 — Pod ciągłą groźbą, że za drzwi wylecą,
 Jeśli ich czasem nie olśnią te blaski! —
 O! niech te blaski wam wieczyście świecą,
 Mistrze — nad szkołą waszą, tem straszycłem,
 W którym nam, dzieciom, jak po słupie z mydłem,
 Trzeba się drapać, opadać, podnosić,
 Podchlebiać, kłamać, przekupywać, prosić...
 A po tem wszystkiem, straciwszy lat tyle
 I tyle pracy, dostać w wieku sile
 Zwitek papierów z tuzinem pieczętek,
 Świadczących o tem, że przez lat dziesiątek
 Jego właściciel zrobił cud prawdziwy:
 Bo najprzód szkoły zdołał skończyć żywy,
 Przytem się uczył i dobrze prowadził,
 To jest, że słówkiem najmniejszym nie zdradził
 Ani swej myśli, ani swojej mowy,
 Lecz połknął tylko stos wiedzy książkowej,

Którego mistrze nie znają połowy!...
Lecz cicho! cicho! to patent rządowy,
Co z dziecka męża robi dojrzałego,
Który stanowi dziś jedyną zbroję
Z jaką nam wstąpić można w życia boje,
Bo wszak już żadnej nie mamy, prócz niego.
Więc na słup dzieci! dalej suszcie głowy,
By choć ten oręż zdobyć papierowy!

V.

I wy pytacie jeszcze z zadziwieniem,
Zkąd się spotyka u nas ze zwątpieniem
I z nieufnością, z przedwczesną niewiarą
W ludzi i w myśli i w czyny i rzeczy,
Jaka nawiedza tylko głowę starą,
Co się nurzała już w życiowej cieczy?
Zkąd? Ależ patrzcie! Co te szkolne żaki,
Te biedne, małe, niewinne chłopaki
Poczynąć mają, by ciężko nie zbłądzić,
Jeśli nie — wątpić, nie wierzyć i sądzić,
Wobec kłamstw tylu, obłudy, potwarzy,
Które im codzien mistrze kładą w głowy?
Wobec przymusu obcej, wrogiej mowy,
Sprzeczności między myślami a słowy,
Że muszą ciągle stać na słów swych straży
I że komedję straszną pokryjomu
Odgrywać muszą każdą dzienną chwilką?
Bo dla nich jednych w świecie — czarne w domu
Jest białe w szkole! Ach! i dla nich tylko,
Dla nich zdarzeniem dzikiem, niepojętem,
Rano przeklętem jest, co w wieczór świętem!

I wy nam jeszcze stawiacie pytanie,
Zkąd u młodzieży to rozczarowanie,

To zniechęcenie i ten brak zapału
Do wielkich czynów, idei wspaniałych?
Kiedy nas gwałtem, jeszcze dzieci małych,
Los zmusza ręką dotykać się kału,
Pacholęcemi spostrzegać oczyma,
Że już słuszności na tym świecie niema, —
Gdy ci, co mają dawać jej przykłady,
Sami najświętsze niweczą zasady. —
Gdyśmy od dziecka przykuci do pługa
Nie ocenionej sprawiedliwie pracy,
Próżnych, daremnych trudów, gdzie zasługa
Ani uznania niema ani płacy, —
I kiedy wiemy, że za szkolną bramą
Na życia scenie dzieje się to samo!

VI.

To samo? Gdzie tam! stokroć gorzej jeszcze!...
Gdy się rozczepią wreszcie szkoły kleszcze
I na bój z życiem opuścimy jej progi,
Jakież otwarte są przed nami drogi?
W szkole przynajmniej obowiązek, który
Na barki nasze dziecięce włożono,
Mogliśmy spełniać — łykać nauk wióry,
Uczyć się, gdy nam „uczcie się” mówiono.
Lecz później, później, gdy na scenę życia
Wystąpi młodzian z szkolnego ukrycia?
Gdy społeczeństwa zwrócą się nań oczy?
Gdy w nim do czynu rwie się duch ochoczy?
Gdy niecierpliwie liczy każdą chwilę,
Aby o własnej wreszcie stanąć sile,
By sobie imię zdobyć, stanowisko,
Żeby na święte Ojczyzny ognisko
Dorzucić także swoją wiązkę drzewa?

Kiedy mu w sercu, w głowie gra i śpiewa
Ta wiecznie świeża, wielka pieśń młodości,
Ta pieśń potężna, wzniosła, czasem dzika,
Co po wsze czasy aż do szpiku kości
Każdą pierś młodą choć chwilę przenika, —
Ta pieśń wspaniała o szczęściu ludzkości,
O bractwie ludów, wolności, miłości?...

Ach! czy wy wiecie, co się w sercu dzieje,
Gdy młodzian, wszedłszy na życia koleje,
Spostrzega nagle, że jego nadzieje
O przyszłych czynach i o przyszłych losach,
Jeśli się spełnią — to chyba w niebiosach?
Że tu nie wolno nawet szczęścia zażyć,
Skromnego szczęścia, żeby o nich marzyć?
Bo tu on zawsze jest rdzennie popsuty,
Bo tu on zawsze jest owoc zatruty,
Z wszystkich najświętszych praw ludzkich wyzuty,
Przed nim zaparte wielkich czynów zdroje,
Zamknięte pracy powszedniej podwoje
I nawet lichych trudów marne znoje!...
Chyba, że zechce w stepy iść lub puszcze,
Iść, gdzie skazańców dzikie wyją tłuszczce,
Gdzie mróz i pustka krew mu lodem ścina,
Gdzie się o wszystkim swoim zapomina,
Gdzie trzeba szukać nowych, obcych bogów,
Żyć i pracować wśród wrogów, dla wrogów,
Gdzie go tak wyżre rdza, szerni zgnilizna,
Że go już matka rodzona nie przyzna!

VII.

A jeśli, jeśli na ojczystej ziemi
Do jakiej taczki przykuć się pozwolą,
Że pozostanie nadal między swemi

I swoją dolę złączy z kraju dolą.
Ach! czy wy wiecie, czem jest taka taczka?
Wiecie! wy także ciągnąć ją musicie.
Tych z was, dla których los zostawił życie,
Nie rozpędziła po świecie tułaczka,
Także do strasznej taczki tej przykuto,
Lecz dla was ona jest jakby pokutą
Za jedną chwilę nadziei szalonej,
Za jedną chwilę szalonej rozkoszy,
Gdyście się nagle, jak tur powalony,
Co psiarni zgrają niespodzianie płoszy,
Zerwali z ziemi i gwałtownym ruchem
Wstrząsnęli więzów żelaznym łańcuchem
I zawołali głośno: „precz z niewolą!”
Po takiej chwili nieszczęścia mniej bołą...
Lecz my tej gorzkiej pociechy nie znamy,
Bo czyż my za co pokutować mamy?
Nie! my jedynie mocą urodzenia
Pierworodnego grzechu, bez wspomnienia
Żadnego, żadnej przewiny lub skruchy,
Musim na zimno, spokojnie w łańcuchy
Iść niewolniczej pracy — i odrazu
Pod straszmem jarzmem pełznąć nakształt płazu,
Co gdzieś wśród mroków wiecznej nocy kroczy,
Ściskany ziemią, która zewsząd tłoczy.

VIII.

Ach! bo ta praca na ojczyściej niwie,
Czyż nie torturą istną jest prawdziwie?
Ach! czy to nie jest praca Syzyfowa,
Od której serce pęka, pęka głowa?
Bo wszędzie, w każdym miejscu, w każdej stronie,
Na miejskim bruku, czy wiejskim zagonie,

Prócz ogólnego niewoli łańcucha,
Co ciało więzi i krępuje ducha,
Co na tak ciężkiej walki o byt brzemię
Zwała nam jeszcze całe wrogów plemię,
I co nam każe wszystko tłumić w sobie,
Każdy jęk, skargę, zamykać jak w grobie, —
Jest jeszcze drobnych szpilek sieć, co kluje,
Co każdą chwilę pracy naszej truje.
Sieć to niezdolna, co jak tkań pajęcza,
Jak włosienica szczelnie nas obsiada
I w każdą chwilę dnia, w myśl każdą wkrada
I ciągle drażni i ciągle udręcza.
Sieć to ohydna — ciągłego szpiegostwa,
Niegodnych pokus, podłości, łotrstwa,
Praw wyjątkowych, zakazów, ukazów,
Które spadają na nas nakształt razów,
Zmuszają drogi nieczystymi chodzić,
Płaszczyc się, schlebiać, bić pokłony niskie
I na przekupstwa wkraczać drogi śliskie
I samym w błocie po kolana brodzić!
Sieć straszna, która, jak zarazy trądy,
Myśli nam kazi i krzywi poglądy;
Sieć, która sięga do stopni ołtarza,
Modlitwy nasze i wiarę zaraża,
Psuje moralnie, upadła, ogłupia,
A która rośnie wciąż, jakby pleśń trupia,
I pracę naszą tak ciężką, ponurą,
Piekłem prawdziwym robi i torturą...
I wątpić każe, kiedy z nagłą siłą
Wstecz rzucim okiem, iż się coś zrobiło.

IX.

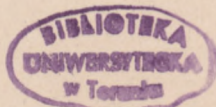
I czyż wam jeszcze dziwić się należy,
Że szyderstw zgrzyty słyhać wśród młodzieży?

Wszakże szyderstwo jedną z naszych broni,
Która od zguby i zgnilizny chroni:
Ten tylko bowiem z przekonaniem szydzi,
Kto czemś się brzydzi, czegoś nienawidzi;
A lepiej może szydzić ze wszystkiego,
Niżli nie szydzić z podłości i złego!
Gdyż bądźcie pewni, że każdy szyderca
Ideał jakiś kryje w głębi serca,
I że jak iskra w popiołach — w tem tonie,
Które nienawiść pali, — miłość płonie!
A dziś tych obu jak desek zbawienia
Trzeba, by chronić nietylko istnienia,
Ale czci własnej, własnego sumienia.

I wy pytacie: „Kto skrzydła zapalu
Podciął wam, młode orły i sokoły?
Czemu, jak u nas, za młodości szalu
Nie tryska wkoło śmiechów dźwięk wesoły?”
O! ja się dziwię, że my tak żyjemy,
Że my się jeszcze choć czasem śmiejemy,
Kiedy za każdym drgnieniem naszych skrzydeł
Ranią nas klątek druty, więzy sideł,
Kiedy tak wkoło dzieje się ohydnie,
Że nieraz ziemia i świat cały brzydnie
I runąć bierze chęć do jakiejś głębi
Zdała od życia, co tak strasznie gnębi.

X.

Mniej nieszczęśliwi byliście zamłodu,
Mniej nieszczęśliwi! Wyście posiadali
Resztki przynajmniej świętych praw narodu,
Które z rozbiorów ocalały wali.
Jeszcze wam świecił łuny blask zachodniej,



I nocy czarnej mogliście urągać,
Z przekleństwem dłonie ku wrogom wyciągać,
Świat cały wzywać na świadectwo zbrodni
I przed historii skarżyć trybunały,
By się wraz z wami oburzał świat cały!
A gdy wam bóle serce rozpieęły,
To nad mogiły ojczystej kurhanem,
Z natchnioną lirą, tęsknym teorbanem,
Mogliście śpiewać, szukać ukojenia
W wizjach o misji swojego cierpienia,
I w snach o sławie dawnego istnienia.

Ach! wyście mogli złudne mieć nadzieje,
Że wyzwolenia dzień już może bliski,
Że zorza szczęścia wkrótce zajaśnieje;
I tą nadzieją mocni, wyście spiski
Knuli tajemne, aż nagłym wybuchem
Gdyście wstrząsnęli niewoli łańcuchem,
To walcząc na śmierć z nadzieją rozpaczy,
Jak walczą słabi z falangą siłaczy, —
Pięścią o kule, a o bagnet nożem, —
Wyście umierać mogli!...

My nie możemy!

Tak! my nie możemy — dziś, nie mamy prawa
Rycerską śmiercią od kuli lub stali
Umierać, jaką wyście umierali.
Bo dziś inaczej stoi kraju sprawa.
Wyście bronili jeszcze praw narodu
I jako naród biegliście na grodu
Zniszczone mury, by pierś swą nadstawić,
By stu ofiarą — tysiąc innych zbawić;
Ale nas wróg już osaczył tak szczelnie,
Że bronić musi każdy z nas oddzielnie
Swojego domu, swojego ogniska,
Uczuć i myśli, imienia, nazwiska, —

Tak iż dziś każda polska pierś warownią,
Co sama musi świętej sprawie służyć,
Sama być strasznych walk i bitw widownią,
A której poddać nie wolno ni zburzyć!

XI.

A więc nie dla nas dziś zwodnicze błyski
Złudnych nadziei, co choć miłe duchom,
Lecz nad przepaści brzeg prowadzą śliski,
Ku samobójczym skłaniając wybuchom.
Nie dla nas jęki, skargi, wyrzekania:
To broń zabójcza, i dziś tylko szkodzić
Może jęk każdy, co rany odśłania,
Wskazuje miejsce, gdzie wróg ma ugodzić.
I łyż nie dla nas, co ulgę przynoszą,
Lecz miękczą serca tych, czyją twarz roszą.
Nie dla nas nawet męczeństwa korona
Z waszego czoła, co krwią wyiskrzona
U świata pomsty wołała dla zbrodni.
Dziś niema zbrodni — jest fakt dokonany.
My — niewolnicy, parjasi niegodni,
Co prawa pięści siłą na kajdany
Skazani wieczne — wloką jarzmo twarde,
Nie litość budząc w świecie, ale wzdargę.

XII.

My stać musimy, jak na śliskiej skale
Stoi rozbitek, którego już fale
Zimnym pierścieniem objęły za szyję:
Fala wciąż wyżej rośnie, głośniej wyje,
A on nie może drgnąć, nie może ruszyć,
By nie wpaść w przepaść, gdzie wieczna zagłada,

I krzyk rozpaczy musi w piersiach głużyć,
By go rekinów nie spostrzegły stada
I nie rozdarły żywcem w okamgnienie.
My stać musimy, jakby na stracenie
Aż po okopy wrogiego obozu
Wysłany hufiec, który mimo mrozu,
Mimo straszydeł i widm ciemnej nocy,
Milcząc stać musi na swym posterunku,
Bez żadnej znikąd nadziei pomocy,
Ani nadziei ratunku!

XIII.

Tak nam stać trzeba i tak stać będziemy,
Jak głaz grobowy, jakby posąg niemy,
Stać jak marmuru lub granitu bryła,
Co znaczy miejsce, gdzie Ojczyzna była,
Co na tem miejscu, gdzie stoi — zostanie,
Póki, lub na nią nie runie mogiła,

Lub martwa nie zmartwychwstanie.

Tak dziś stoimy, lecz to nie jest wcale
Snu albo śmierci nieruchome stańcie.

Nie! wewnątrz bryły huczą czynów fale,
Pod maską z głazu słycać życia drganie!

My dziś stoimy jak żyjątek roje,

Co gdzieś na morza dnie pracą wiekową
Przez niewidzialnych prawie trudów znoje
Budują wielką ławę koralową,

Która z powodzi morskich fal wyziera
I morskie fale zwycięsko odpiera.

Więc najprzód bryła otrząśnie się z cieśni
Dawnych przesądów, nie — tradycy dawnych;
Potem z wad starych oczyści się pleśni,
Wad, co splamiły tyle dziejów sławnych;

A potem z wolna będzie chłonać w siebie
Każdy błysk słońca lub gwiazdy na niebie,
Z powietrza każdą kroplę rosy marną,
Z ziemi pył każdy, każde piasku ziarno,
Aż wreszcie kiedyś bryła pełna siły
Powstanie z grobu kolumną Samsona,
Zdruzgoce wrogów, zerwie darń z mogiły
I wyzwolenia dokona!

Kiedy to będzie — my jeszcze nie wiemy,
Lecz by tak było kiedyś, tego chcemy.
I w chęć tę zbrojni, bez żalosnych kwileń,
Bez rozpaczliwych wybuchów, wysileń,
Z spieczoną wargą, z ściśniętymi zębami,
Jak trzcina zgięci, lecz twardzi jak dęby,
Z dumnymi czołami, choć z zwiśniętymi głowami,
Jakby posępny orszak pogrzebowy,
Jakby skazańcy idziem drogą życia,
Głuszając i tłumiąc wszelkie serca bicia.
Idziem powoli, bez światła żadnego
Oprócz nadziei, a idziem dlatego,
Że w naszych sercach młodych, w naszym łonie
Jak słońce świeci, jak pochodnia płonie
To, co w niem nigdy nie zgaśnie, nie zgasło:
Miłości Polski nieśmiertelne hasło!

XIV.

Więc się nie dziwcie, żeśmy zimni, biali,
Choć serca nasze krew młodości pali!
Więc się nie skarżcie, żeśmy obojętni,
Choć w sercach naszych tyle uczuć tętni!
Więc nie ciskajcie nam nigdy, o starzy!
Tej najstraszniejszej dla młodych potwarzy, —
Ja was zaklinam na słońce, co świeci,

Na krew ran waszych, śnieg waszej siwizny, —
Nie mówcie nigdy, że u waszych dzieci
Wygasa miłość Ojczyzny!

Lecz dla tej części naszych młodych braci,
Co, mając siły, w próżniactwie je traci,
Co, zakochana w swej własnej osobie,
Ucztuje tylko na Ojczyzny grobie,
A wspólnie nie chce pracować wraz z braty, —
Co na gościniec zdrady chyłkiem zdąża,
Kosmopolitów przywdziewając szaty,
Miękkie, wygodne szaty! — co pograża
Myśl w odrętwieniu, a w gnusności ramię:
Dla tych my także znajdziem hańby znamię,
Znajdziem przekleństwa groźbę piorunową
I potępienia wiekuiste słowo!

XV.

Ojcowie nasi! My z waszej spuścizny
Bierzemy tylko jeden klejnot drogi,
A tym klejnotem jest miłość Ojczyzny,
Której nam nigdy nie odbiorą wrogi.

Ach! za ten klejnot, nasz skarb, nasz ratunek,
Które swym dzieciom wiernie przekazemy,
My wieczną miłość i wieczny szacunek
Wam po wsze czasy w ofierze dajemy!

Lecz my nie możemy użyć już tej broni,
Z jaką wy szliście z wrogami w zapasy,
Która wam tylko włożyła na skronie
Męczeństwa wieniec...

Dziś już inne czasy!

Wyście być chcieli gromem piorunowym,
Który więzienia jednym rzutem łamie;
My będziemy kroplą, co ruchem miarowym
Wywierci otwór w ich bramie.

Wyście Ojczyźnie składali daninę
Z porywów szału, z rozpaczny wybuchów,
Ze śmierci własnej i swe ciała sine
Wieszali u jej łańcuchów;

My jej poświęćmy każdą życia chwilę,
Każdy grosz wdowi przyniesiem jej w dani,
Póki w potędze nowej, nowej sile
Nie wstanie z grobów otchłani!

Wyście jak ognie byli, co iskr snopem
Płomienie falą wybuchają jasno,
Lecz, wichrem gnane, gdzieś pod niebios stropem
Bledną po chwili i gasną;

My będziemy żarem bez iskr i płomienia,
Podziemnym żarem węgla kamiennego,
Co potężnieje od każdego tchnienia,
Od wiatru wzmaga każdego!

I bronią naszą będzie bezpłomienny
Żar ten, co topi stal, rozsadza skały,
Żar walki ciągłej i pracy niezmiennej,
Powolny, ale wytrwały!...

A jeśli kiedy błysną szczęścia zorze
I przy tym żarze stopią się łańcuchy,
I prysną więzów piekielne obroże,
Co krępowały wolne polskie duchy;

My wówczas tylko pragniemy jednego
Od tej najlepszej, najszczęśliwszej chwili:
Niech ci, co pierwsi do mety dobiegą,
Rzekną, że bronią tą dziś zwyciężyli,

Tą bronią więzy zerwali przemocy
I rozproszyli precz niewoli cienie,
Którą wśród mroków najczarniejszej nocy
Zaczęło walczyć nasze pokolenie!

To cel nasz cały, jedyne marzenie!

W SETNĄ ROCZNICĘ KONSTYTUCJI 3 MAJA.

(Kwiecień 1891.)

O słońce Boskich prawd! Sprawiedliwości słońce,
Co z poza łez i krwi, promienne, gorejące
Przyświecasz ludom wszem, ludzkości świecisz całej,
Gdy nowy wielki czyn dla twojej spełnia chwały!
Na krwawy polski łań daleko i szeroko
Wznies w dniu, co święcisz dziś, promienne swoje oko!

*

*

*

Bo dziś jest Trzeci Maj, dziś setna już rocznica,
Gdy nam na prawd twych blask rozwarła się źrenica...
Gdy pod promieniem ich, jak w odrodzenia wiosnie,
„Porządek!” „Równość!” „Ład!” zabrzmiały jednogłośnie,
Padł samolubstwa gmach, przesady się rozwiały
I z więzów ciasnych kast wyłonił się lud cały.

*

*

*

O wielki, święty dniu! Nie bojem tyś wstawiony,
Nie krwią zwycięskich bitw pamiętne są twe plony:
Tyś widział starszą brać, co władzy miecz dzierżyła,
Jak z młodszą bracią swą w uścisku dłoń łączyła,

I nowy tworząc ład, po paśmie złych omamień
Na odrodzenia zrąb złożyła pierwszy kamień.

*

*

*

O wielki, święty dniu! Na krwawe nasze rany,
Na mrok ostatnich dni ty rzucasz smug świetlany,
Ty sączysz jasny zdrój osłody i pociechy,
Wątpiący krzepisz duch i ciężkie mażesz grzechy.
Przez ciebie w chwale trwa i przetrwa Polski imię
Pokoleń długich rząd, co w mgłach przyszłości drzémie.

*

*

*

Sto lat temu, bracia mili, dziwy działy się w tem mieście,
Wśród kościelnych dzwonów bicia, w chorągwianych płacht szeleście.
Sto lat temu, bracia mili, dziwy działy się w tym grodzie,
Na ulicach w słońku jasnym, na wolności, na swobodzie.
Tam od Zamku, od Katedry wyszły wszystkie kraju stany,
Wyszedł i sam Król Jegomość, wyszła szlachta, wyszły pany,
Objawili wieść ludowi, objawili rodzonemu,
Że już koniec samowoli, koniec gwałtom, koniec złemu;
Że już szlachta, kupce, kmiecie, wszyscy równi i jednacy,
W społeczności i porządku wspólnej się podejmą pracy;
Że przy zgodzie i swobodzie nie ostoi się wróg doma,
Pierzchnie przemoc obcych mocarstw, szejnie zdrada pokryjoma;
Że powstanie Naród Polski, na swe rany znajdzie leki,
W nowym ładzie i układzie Zygmuntofskie wróci wieki.

A gdy wieść tę objawiono, poszła krajem wieść radosna,
Tak potężna — jako burza, a wesoła — jako wiosna.
Razem z słońkiem, razem z wiatrem szła, gdzie Tatry stoją sine,
Gdzie Dniepr szumi pośród stepów, na Podole, Ukrainę,

I za Niemen, i za Wilję, kędy Żmudzi święta rola
I litewskie ciemne puszcze, białoruskie szare pola,
Razem z Wisłą falą siwą szła wieść jasna, jako zorza,
Na Kujawy i na Prusy, aż do Gdańska, aż do morza...
A w Warszawie huk, wesele, znikły swary, zawiść, duma,
Z mieszczaninem pan się brata, kmieć się ze szlachcicem kuma.

.

Sto lat temu, bracia mili, dziwy działa się w tym grodzie,
Na ulicach w słońku jasnym, na wolności, na swobodzie;
A choć przyszła noc głęboka, noc straszliwa, noc przeklęta,
Choć związano nasze dłonie, — wiarę, mowę skuto w pęta,
Choć w niewoli i niedoli cały wiek żałobą płynie,
Jednak pamięć wieści owej nie zginęła i nie zginie!

*

*

*

Cóż ztąd, że głucho — jak w nocy —
Pod jarzmem minie przemocy
W sto lat — Maj Trzeci.
Że z tkwiącym u gardła nożem
Dnia tego uczcić nie mogę,
My — Polski dzieci.

Nie dla nas odświętne szaty,
Nie dla nas gromkie wiwaty,
Weselne krzyki;
Nie dla nas procesji roje,
Lśniące chorągwie i zbroje:
My — niewolniki...

Lecz by ten dzień pokryć nocą,
Próżno się wrogi szamocą
Ze wszystkich sił:

Nie wydrą go ich potęgi
Z serc naszych, ni z dziejów księgi
Bo dzień ten był!

Bo drugi taki być może,
Gdy zerwiem więzów obroże,
Stanie się cud!
Precz pierzchnie najeźdźców zgraja
I z hasłem Trzeciego Maja
Zbudzi się lud.

*

*

*

A gdy dzień ten błysnie, bracia, wyzwolenia złoty dzień,
Kiedy zerwiem już łańcuchy i niewoli spędzim cień,
Kiedy znów w swobody słońcu stanie cały Polski kraj,
Wówczas uczcić my potrafim, uczcić świetnie Trzeci Maj:
Dzwonić będą wszystkie dzwony i z dział wszystkich będą bić,
Pójdą tłumy, pójdą rzesze wiązać złotą wspomnień nić,
Poprzez miasta, grody, sioła pójdzie razem pan i chłop,
Wszyscy równi, wszyscy wolni... aż zahuczy niebios strop,
Aż przez wszystkie Polskie ziemie, w każdej piersi, w sercach wszech
Znowu wieść Trzeciego Maja zbudzi hasła dawnych ech.
My potrafim uczcić wówczas, uczcić godnie święty dzień,
Gdy kraj nowym zakwitł kwiatem, jak prastary dębu pień,
Kiedy stojąc nad przepaścią, dobywając resztek sił,
Naród nasz nietylko wolny, ale jeszcze wielki był!

ŹRÓDŁO SPOKOJU.

Ziemi Nowogródzkiej
poświęcam.

Nieraz mi w oczy strach zagłada błady,
Istotą całą wzdrygam się do głębi,
Jak ci, co widmo ujrzeli zagłady...

Lecz gdy tak dreszcz mną potrząsa i ziębi,
Jak ptak spłoszony, myśl do kraju słońca
Pierzcha — i zwolna, jakby puch gołębi,

Jak na doliny mgła w srebrze miesiąca,
Spokój na duszę spada. — O Hellado!
Hellado, w krasie wieczystej stojąca,

By w złotej łusce zbroi! Wichrów stado
Gnało nad tobą, szły deszcze i burzę,
Fala za falą spływały kaskadą,

Rwąc i unosząc marmur po marmurze,
Bóstwo po bóstwie, portyk po portyku. —
Trzeba ci było jasnej słońca córce,

Na prokrustowym łożu paszaliu,
Półksiężycowi posłusznej krwawemu,
Przespać noc długą, bez głosu, ni krzyku...

Lecz się ocknęłaś ze snu. A wiesz, czemu?
Bo z lica ziemi czas daremnie ściera
Tych, co moc trwalszą stawiają przeciw niemu:—

A tyś jest, Grecjo — ojczyzną Homera!

*

*

*

Jak ptak spłoszony, co pierzcha do słońca,
Myśl moja leci w te lasy i gaje,
Gdzie białą korą lśni brzoza płacząca,

W cieniu dąbrowy migocą ruczaje,
A w borach smukłe czerwienią się sosny;
Gdzie w noc miesięczną z jeziora powstaje

Opar w rusałki kształcie bezlitosnej,
A jutrznię ptasząt chór nabożny wita;
I leci w pole, co na schyłku wiosny

Złoci pszenica, srebrzą łany żyta,
I na wzgórzami falujące błonie,
Gdzie oczy pieści zieleń różnaita...

Tam — już spokojny o siebie i o nie —
Śledzę bieg czasu, bo tam ziemia sama,
Co na matczynem przytula mnie łonie,

Szepce: — ja jestem kolebką Adama.

(1898.)

B E R E Z Y N A .

Kędy spojrzeć — przestrzeń biała, przestrzeń biała, przestrzeń biała,
Na mil setki się rozlała, rozesała, skamieniała.

A na śniegu — szereg długi, wojska strugi i krwi strugi,
A na niebie — całun drugi, z chmur wiszących całun drugi,

Wiatr północny chłodem wieje, chłodem wieje, śmiercią zieje,
Tylko cicho stoją knieje, szare knieje, głuche knieje.

Przez mil setki brną szeregi, brną szeregi nie szeregi,
Przyciągnęły przez te śniegi ponad brzegi, rzeki brzegi.

Mróz je pędzi... głód nie czeka... och! ta rzeka, och! ta rzeka,
Jak stalowy wąż się wiję, nie ucieka, nie ucieka.

Mosty stawiają... Tłum rwie fałą, dziką fałą, wściekłą fałą,
Konie, wozy... Już się wałą, mosty wałą, z mostów wałą.

Owdzie jazda pędzi cwałem, błyszczą działa, dymią działa,
A dokoła — przestrzeń biała, przestrzeń biała, przestrzeń biała.

* * *

Na równinie wśród bezdroży wiatr się sroży, wiatr się sroży.
To dosięga ludzką wolę dopust Boży, dopust Boży.

I rozprysła się w kawałki i podarła się na strzępy,
Z karnych pułków — tylko sępy, ranne sępy, trwożne sępy.

Z bohaterów i zwycięzców — mrozu łupy, głodu łupy,
Z niezwalczonych i niezłomnych — żywe trupy, martwe trupy.

Tyle mocy i potęgi, rojeń tyle, wiary tyle, —
Zagrzebane w śnieżnym pyle, jak w mogile, jak w mogile!

* * *

Stos zapłonął, płomień bucha, płomień żwawy, płomień krwawy:
To wódz niszczy znaki sławy, dawnej sławy, świeżej sławy.

Wybór mężnych murem stoi: wodza bronią, wodza strzegą,
On jest duszą wojska tego, głową jego, sercem jego.

Każdą mglistą marę senną, myśl młodzieńczą, myśl zuchwałą
Wichrem dognał, ujął w dłonie, oblekł w ciało, zakuł w ciało.

Wszystko, wszystko się sprawdziło: — armje, ludy, państwa, trony!
Każda дума wypełniona, sen ziszczony, sen ziszczony!

Lecz czy śniła mu się przestrzeń, przestrzeń śnieżna, przestrzeń biała
I w bezbrzeżnym oceanie owa skała, smutna skała?...

* * *

Kędy spojrzeć — rozpostarta śnieżna karta, biała karta,
Jakby dziejom z trzew wydartą, z trzew wydartą, z krwi nie startą.

Tyle mocy i potęgi, rojeń tyle, wiary tyle, —
Zagrzebane w śnieżnym pyle, jak w mogile, jak w mogile!

(1899.)

Z NOCNYCH GWARÓW.

I. CZYŻBY TO BYŁ ŚWIT?

Czyżby to był świt, matulu,
Czyżby to był świt?
Czarna noc zagląda w okno,
Straszy wichru zgrzyt.
A tam słycać tętent koni,
Jakby z łąki już
Powracali nocleźnicy
Z wieścią rannych zórz.
Słycać głosy, choć nie swoje,
Wołają u wrót:
— Chodźcie z nami, to i dla was
Zabieleje wschód! —
A tu noc wciąż patrzy w okno,
Straszy wichru zgrzyt...
Czyżby to był świt, matulu,
Czyżby to był świt?

Wyszła matka na próg chaty,
Na zmurszały próg,
Wypatruje... nasłuchuje
Echa z pól i dróg.
I wróciła: — „Obcy ludzie
Chodzą tu po wsi,

Powiadają, że za borem
Jakaś łuna łśni,
I że dla nas zorza wstaje...
Lecz w pamięci mej
Nigdy dotąd nam nie świecił
Blask od strony tej...

„O! inaczej w snach, dzieciно,
Ja świt widzę nasz,
Do takiego świtu każę
Czujną trzymać straż.

„Gdy zadnieje — inny tętent,
Inny pójdzie szum!
Widzę wozy i armaty
I żołnierzy tłum;
Widzę — mnogie płyną wojska
Na straszliwy bój!...
Ach! i nasze widzę wojsko,
Nasze, synku mój!

„Więc przed tymi przybyszami
Zamknij domu sień!
Bo to nie jest świt, dzieciно,
I nie bliski dzień.”

(1897.)

II. DLACZEGO ŻÓRAW TAK SKRZYPI PRZY STUDNI?

Dlaczego żóraw tak skrzypi przy studni?...

Już wiatr zmiotł dawno resztki strzechy suchej
Z dachów i przycichł... Przez krokwie, co sterczą
Jak pochylone krzyże, gwiazd łańcuchy
Z obojętnością patrzą się morderczą.
Leżę i w gwiazdy błędne wlepiam oczy,
Lecz spać nie mogę. Pali mnie pragnienie,
Za szyję ściska, pod piersiami tłoczy...
Pić! Pić!... Czy będzie trwała nieskończenie
Ta susza? Będęż tak leżał na ziemi
Bez końca, z okiem otwartem, czerwonym,
Łaknąc wilgoci wargi spieczonemi?
Takbym chciał zasnąć... lecz sen może zgonem
Stać się, a czuwać, czuwać coraz trudniej...

Dlaczego żóraw tak skrzypi przy studni?
Choć zawałona i nikt tam nie chodzi...

Ha, wody, wody! Tak długo czekałem
Deszczów, nawałnic i burz i powodzi!...
Wierzyłem: — chmury nadciągną wnet cwałem,
Ulewą wzdęte, gromami tętniące,
Jak rozhukane dzikich koni stado,
Co się rozbiegnie po szerokiej łące,
I runie na mnie olbrzymią kaskadą.

Wierzyłem: — rzeki wystąpią z łożyska,
Z pianą i szumem przez brzeg się przewala,
A jak archanioł, który mieczem błyska,
Ja będę płynął z tą zwycięską falą
Po tej wód toni wezbranej i wielkiej...
Potem wierzyłem, że chociaż kropelki
Rosy niebieskiej wieczorem i zrana
Spadać mi będą, bo taka ochłoda
Najlichszej trawce dana jest od Pana...
Potem — nic! w głowie coś szumi, jak woda
I już jej żadne widziadło nie ludni.

Dlaczego żóraw tak skrzypi przy studni?

Nikt tam nie chodzi, studnia opuszczona
Stoi od wieków, bo któżby dbał o nią,
Po wodę sięgał aż do piasku łona,
Kiedy ją można było pełną dłonią
Czerpać z błyszczących na słońcu strumieni,
Lub z dumnej rzeki, co niby pas lity
Po atlasowej łąk biegła zieleni,
Zanim wyssały zazdrosne błękity
Ostatnią kroplę żarem i spiekotą.
Studnia już dawno zasypana, na dnie
Pewnie pleśń śliska gnieździ się i błoto —
I może gady czają się tam zdradnie?

Więc czemu żóraw tak skrzypi i targa
Żalonym jękiem beznadziejną duszę
W tę noc bezsenną? Wyrzut to, czy skarga,
Tak przejmująca razem i lękliwa?...
Sama brzmi w ciszy, więc słuchać ją muszę.
Nie! To nie skarga! Żóraw mnie przyzywa:
„Przyjdź, przyjdź do studni! Pali cię pragnienie,

„Za szyję ściska, pod piersiami tłoczy...
„Po co w te gwiazdy błędne wlepić oczy,
„Jak nic pajęczą złudne snuć marzenie?
„Przyjdź, przyjdź do studni! Odwał zrąb zbutwiały
„I rozkop ziemię! Pod pleśnią i błotem
„Jest w studni woda, czysta jak kryształ,
„Jest w studni woda — tyś zapomniał o tem!”

Krew uderzyła mi w skronie, jak młotem.
Woda! jest woda w naszej studni starej!
Jest woda w studni!... W głowie zahuczało,
Ogniste w oczach zatańczyły mary...
Hej! łopat! wiader! zrywam wioskę całą...
Moi, do studni! kopać! kopać! kopać!...

(1898.)

III. DAJ MI ZASNAĆ.

— „Daj mi zasnąć, matko, zasnąć choć na jedną daj mi chwilę!
Czarne snu skrzydliśka gwałtem, gwałtem z oczu zdjąć się siłę, —
Czuję srebrny szron na czole, srebrny szron, czuwania znój.
Daj mi zasnąć, matko, zasnąć!”

— „Nie, nie można, synu mój!”

— „Daj mi zasnąć, matko, zasnąć daj mi choć na mgnienie jedno,
Może świt już niedaleki, świt, bo zda się gwiazdy bledną.
Gorszą męką trwać na mrozie, trwać tak, niż najsroższy bój.
Jam znużony, daj mi zasnąć!”

— „Nie, nie można, synu mój!”

— „Matko, wiem, nie dla mnie ucztę w zamkach, co tam świecą krwawo,
Kędy poją się zwycięzcy ciepłem, światłem, winem, sławą,
Gdzie miecz wtórzy puharowi, laur i pycha — czołom strój.
Więc choć zasnąć daj mi, matko!”

— „Nie, nie można, synu mój!”

— „Matko, wiem, nie dla mnie, matko, te bezkreśne kręgi świata,
Gdzie fantazji bujny sokół, szczęśny sokół wokół lata,
W kontemplacji, upojeniu dusza ciszy chłonie zdrój.
Więc choć zasnąć daj mi, matko!”

— „Nie, nie można, synu mój!”

— „Ja wiem, matko, tyś zakłęła, przez noc całą, przez zawieję
Muszę tu na śniegu przetrwać, tu na śniegu, nim zadnieje, —

Że nie wolno mi w przedwczesny z żywiołami runąć bój.
Lecz znużonym, daj mi zasnąć!"

— „Nie, nie można, synu mój!

Nie, nie możesz zasnąć, synu! W mrozu kleszczach, wśród zawiei,
Biada tym, którym sen ciała i sen ducha oczy klei:
Pod miękkimi jego skrzydły śmierć się czai, czyha zgon.
Więc ci nie dam zasnąć, synu!... Milczy jeszcze ranny dzwon. ”

(1902.)

IV. PRZEDŚWIT.

Zabiał brask, zabiał brask
Na ciemnym nieba skraju,
I powiał prąd, ożywczy prąd,
Jak rankiem na wyaju.
Kędyś z dalekich mrocznych stref,
Z blednących gwiazd bezdroży
Niepewna jasność spływa wdół —
Zapowiedź bliskiej zorzy.
Powoli spływa w mętnej mgle,
Jak sennych złud widzenie,
Lecz już, w półświele bladych smug,
Niebieszczą się przestrzenie,
I choć raz po raz rwący wiatr
W chmur skłębia je opończy,
Ziemią przebudzeń wstrząsa dreszcz.
To noc, to noc się kończy!

* *
*

I wybiegają ludzie z chat
I wyciągają ręce,
Pacholąt rój, wesoly rój
Uśmiecha się jutrzence.
Dość w smutnej izbie, dość już trwać
I czuwać przy łuczywie.

Wnet błysnie dzień, radosny dzień:
Na rolę wnet — kto żywie!

Ojcowie, matki poprzez łyzy,
Na dziatwy patrzą głowy,
Jakby nie wierząc oczom swym,
Witają świt różowy.
I ponad zórz świetlisty łuk
Westchnienia mkną gorące:
— „Nie nam — to im, nie nam — to im
Daj, Panie, zdobyć słońce!”

(1905.)

V. OCHOTNIK.

Zahuczał grzmot. Skrzypnęły wrota...
— Młodzieńcze, skąd-że ci ochota
Przed burzą w nocy biec za wrota?

Wołają za nim: — Synu!... bracie!...
Czy ci w ojcowej ciasno chacie?
Ostawaj doma! Synu!... bracie!...

Odkrzyknął w biegu zawołany:
„— Cóż, że ojcowe w chacie ściany,
Kiedy dach cudzy tłoczy ściany?”

Nielża mi wracać za wierzeje,
Bo za tą burzą zorza dnieje,
Bo za tą chmurą dzień jaśnieje!

Wici gromami ślą błękity...
Czy żyw powrócę, czy zabity,
Jam żołnierz Rzeczypospolitej!”

.

Łuna nad wsią, nad ziemią — świty,
Echo przez grzmotów niesie zgrzyty:
— „Jam żołnierz Rzeczypospolitej!”

(1918.)

PIEŚŃ O RYCERZU BEZ GODŁA NA TARCZY.

Zakreśliły się w noc księżycową
Na ogrodach u króla Artura
Cień topoli strzelistą budową
I cyprysu kolumna ponura.

Nie wysmukłe wyrosły to drzewa:
Stanął rycerz, a przy nim królowna,
Nie w gruchanie miłosne się zlewa,
Lecz żałością rozmowa ich śpiewna,
Lecz żałością rozmowa ich śpiewna.

KRÓLEWNA.

— O rycerzu bez godła na tarczy,
Jaki w piersi twej grot pod kolczugą?
Już mi nieraz i westchnień nie starczy,
Gdy o tobie przemyślam zbyt długo.

Mówią goście dostojni rodzica,
Żem jest dobra. Ból leczyć mym rajem...
Smutku z łona gdy tryśnie krynica,
Wierzaj, często odpływa ruczajem.

Tyś od innych, co cierpią, odmienny:
Ni się skarżysz, ni kryjesz się w głuszy,
Jeno wciąż jakbyś strzegł mary sennej,
Piastowanej w gontynie twej duszy.

Czy igrzyska, czy uczta, czy łowy,
Czy kochanie gdzieś krzesi myśl pusta,
Wždy się wznosi twa dłoń do połowy,
Bez uśmiechu się śmieją twe usta.

Przy okrągłym królewskim tu stole
I w mieczowej z wrogami potrzebie
Szybko gaśnie twe oko sokole,
Wszędzie dajesz pół serca, pół siebie.

O rycerzu bez godła na tarczy,
Bezimienny ty mój, zapomniany!
Ciężar zwierzeń gdy dobroć obarczy,
Może balsam wynajdzie na rany.

Czuję — straszna cię rwie tajemnica;
Przecz ją tłoczyć milczenia kamieniem?
Smutku z łona gdy tryśnie krynica,
Wierzaj — bystrym odpłynie strumieniem,
Wierzaj — bystrym odpłynie strumieniem!

RYCERZ.

— O królewno, co miano masz dobrej,
Słowa twoje — anielskich piór przelot!
Prawdę głosi wasz Parsifal chrobry,
Słuszną prawdę — waleczny Lancelot.

Świątą czasę dzierżyłaś ty Grala,
Potem łona dotknęłaś i głowy...
Gdy się taki majestat użala,
Niech ból jęknie, jak miecz Rolandowy.

Więc wypowiem, co rwie mnie i boli,
Tu przy twej i miesiąca żrenicy:
MOJA MATKA W NIEWIERNYCH NIEWOLI,
W SARACEŃSKIEJ OKRUTNEJ CIEMNICY!

*

*

*

Na ogrodach u króla Artura
Nagle zgasły księżyc promienie,
Nie zasnęła ich mgła ani chmura,
Przesłoniło ich blask — przerażenie.

I cień zadrżał królowy-topoli
Na wieść straszłą z pod czarnej przyłbicy...
„Jego matka w niewiernych niewoli,
„W saraceńskiej zamknięta ciemnicy,
„W saraceńskiej okrutnej ciemnicy.”

RYCERZ.

— Bywa ból, co od czasu wyznania,
Jak śnieg taje pod wiatrem zachodu;
Inny przepaść bezdenną odśłania,
Ścina łąy, ścina krew nakształt lodu.

Już nie powiem ci, kędym wędrował,
Jakiem dźwigał i targał kajdany
I na jakich galerach wiosłował,
Ani jakie spiętrzałem tarany...

Byłbym padł, jak rycerze mrą dzielni,
Jak synowi za macierz przystało,
Lecz mnie wieszcz w Monsalwatu pustelni,
Harfiarz-wieszcz natchnął wiarą wytrwałą.

Rzekł: „Doczeka się twoja rodzona,
„Jak jutrenki — jeziora twarz blada,
„I za kratą niewiernych nie skona,
„Pokąd sercem i myślą twą włada,
„Całem sercem i myślą twą włada.”

I dlatego, królewno ty moja,
Co masz berło dobroci królowej,
Tarcz bez godła i czarna ma zbroja,
I wždy wznosi się dłoń do połowy.

I dlatego przy króla tu stole
Jam od innych rycerzy odmienny,
Wisi chmura baczości na czole,
Bo ja strzegę — lecz mary nie sennej.

Bo się trwożę — za fałą, co nęci,
Czy w bój obcy uniesion, czy w pracę,
Że przez zdradę, co tkwi w niepamięci,
I swój Honor i Macierz zatracę!

KRÓLEWNA.

— Jeszcze dobroć wrzeciędzów nie kruszy,
Więc ci w bólu nieść ulgi nie mogę,
Lecz, rycerzu, ja zmniejszę w twej duszy
Ten niepokój serdeczny i trwożę.

Na twem czole dłoń kładę z pierścieniem,
Co świętego dotykał Graala,
Strzec przed nędznem twą myśl zapomnieniem —
To zakłęcie świat czarów zniewala.

On cię chmurą z łez srebrnych otoczy,
By wtórzyły ci w każdym poszumie,
W każdej blasków drgających roztoczy,
W każdej pieśni, marzeniu i dumie.

Aby w każdej szeptały ci doli,
Czy na swojej, czy w obcej ziemicy:
— „Twoja macierz w niewiernych niewoli,

„W saraceńskiej zamknięta ciemnicy,
„W saraceńskiej okrutnej ciemnicy.”

Więc choć w bólu dać ulgi nie mogę,
Pokąd dobroć wrzeczadzów nie kruszy,
Tem zaklęciem Harfiarza przestrozę
Mój świat czarów utrwali w /twojej duszy...

*

*

*

Już mgła wieków się dawno rozsunęła
Na ogrodach u króla Artura...
Smutny rycerz po świecie się tuła
Przy nim wierna z srebrzystych łez chmura.

(1911.)

KRWAWY JARMARK.

Na krwawy jarmark zabił dzwon przez ziemskie skrós kolisko,
Po łądach, morzach idzie targ, gdzie chcesz — daleko, blisko.
Każdy towaru nawiózł wbród, pożogą i posoką,
I poszedł płacić ząb za ząb, za oko łupić oko...
U skrzyżowanych stoję dróg z niezagojoną blizną:
Na takim targu dziewczę mi zabrano z ojcowizną.

Dziewka mi była rajskim snem, umiłowaniem słodkiem,
I wciąż w zachwycie trwa mój duch nad jej widziadłem wiotkiem
I wciąż, jak warta w mroczną noc hasło, nim dzień zadrzémie,
Tak imię jej wymawiam w głos... a Wolność jest to imię!
U skrzyżowanych stoję dróg z niezagojoną blizną:
Na krwawym targu dziewczę mi zabrano z ojcowizną.

„Odzyskasz mię — wołała w łzach, — gdy niebo się zapali,
Gdy się na jedno świata pół drugie pół świata zwali,
Gdy ziemię twą przeryją wzdłuż w mogiły i okopy,
Gdy rzeki twoje spłyną krwią i runą domów stropy...”

Ha! błysnął dziś wieszczony dzień, całe się niebo pali.
Widzicie! jedno świata pół na drugie pół się wali...
I ziemię moją ryją wzdłuż w mogiły i okopy,
I rzeki me spływają krwią, padają domów stropy!

.....

Nie żal mi zgliszcz, nie żal mi krwi i bratniej i niebratniej.
Na krwawy jarmark zabił dzwon, może po raz ostatni.
Porywam się z rozstajnych dróg, rozdieram starą bliznę:
Na krwawy sąd, po dziewczę-cud, po swoją ojcowiznę!

(1914.)

DO UCZNIA SZKOŁY POLSKIEJ.

A gdy zobaczysz, pachole,
Że ojciec, — choć wesół z wami,
W domowym, spokojnem kole,
Choć cień mu czoła nie plami
I troska brózdą nie rani,
Gdyście tak razem zebrani
 W domowym kole, —
Że ojciec nagle się wzdryga,
Oczy zaświecą ponuro,
Jako ptakowi w niewoli,
Któremu za piórem pióro
Z pod skrzydeł szarpia powoli, —
 Nie pytaj mową natrętną
Przez jakie widmo czy piętno
Przeszłości — doznaje męki,
Lecz mu przypadnij do ręki
I swoją błogosław dołę
 Młodzieńczą dołę!...

*Twój ojciec wtedy, pachole,
Myśli o klatki swej kratkach,
O swojej wspomina szkole,
O własnych młodzieńczych latach.*

(1916.)

NIE MYŚL, ŻE WOLNOŚĆ...

Nie myśl, że Wolność spływa, jak jutrenka,
Na złotych skrzydłach w poranek majowy,
Że, jak pieściwa, macierzyńska ręka,
Łagodnie z więźnia zdejmuje okowy,
Że zmorę czarną, co latami nęka,
Zwiewa, jak obłok z toni lazuruwej,
I tak nastaje na wróżki skinienie,
Jak w bajce — śpiącej królowny ocknienie.

Nie! tak nie bywa i tak być nie może,
Chyba w marzeniach i snach o Wolności...
Kiedy naprawdę błysnie na ugorze
Wolność, — to w gromów i burz okropności:
Żeby w słoneczną rozdmuchać ją zorzę,
Na swoim niebie zawiesić w światłości,
Trzeba łańcuchy rwać i z ciała zdzierać,
Miljonom — walczyć, tysiącom — umierać!...

(1917.)

Z AKORDÓW WOLNOŚCI.

Skończyły się — niewola, mrok, strażniczych psów skowity,
Targanie skrępowanych rąk, szczęk zaciśniętych zgrzyty...
Przetrwaliśmy udręki wiek w więziennej izby głuszy,
Nie szczędząc krwi, lecz ani źdźbła nie roniąc skarbów duszy.

Aż przyszedł czas i runął gwałt, łańcuchów spadło brzemię
I zesła Wolność, Wolność znów na całą polską ziemię!...

*

*

*

Bałtyku, hucz! radością hucz! i w fal twym wiecznym biegu
Z dumą u Wisły śpiewaj ujść o wolnym polskim brzegu!
Srebrz go w najbielszych smugi pian i złoc w bursztynu zwały,
Bo nad niezłomny prawy lud któż większej godzien chwały?
Wisło, ty podchwyc morza pieśń i nieś ją wstecz aż w góry!
Nie przecinają nurtów twych już nigdzie wraże sznury,
I każda kropla twoich wód, co z Śląskich wzgórz wypłynie,
Przez polski wolny dąży kraj i w polskiem morzu ginie...

*

*

*

Bo przyszedł czas i runął gwałt, łańcuchów spadło brzemię
I zesła Wolność, Wolność znów na całą polską ziemię!...

(1919.)

DO SZTUKI POLSKIEJ.

„...Z archanielskimi skrzydłami i głosem,
Ty czasem dzierzysz i miecz archanioła...”

Możesz miecz złożyć i zdjąć twardą zbroję
I z narodowej okopów warowni
Zejsć. Możesz czujnej odstąpić czatowni,
Gdzie, pokąd straszne o los trwały boje,
Byłaś — ty rajski ptaku, rózo polna, —
Latarnią w nocy, pobudką nad ranem,
Strażnikiem skarbów i duchów hetmanem...
Możesz miecz złożyć: Ojczyzna twa wolna!

O, wolna sztuko wolnego narodu,
Jakżeś szczęśliwa! Rozpostrzeń swe skrzydła,
Goń, jakie zechcesz, prawdy czy mąmidła,
Bo sen się spełnił, śniony nam od młodu.
Do twej gontyny, strażniczej wieżycy
Z kości słoniowej na wzgórzu wyniosłem,
Już z ziemskich nizin boleściwym posłem
Krzyk nie doleci: „Matka twa w ciemnicy!”

Już ci nie zmąci krynicy natchnienia
Żadna obawa, żadna trwoga głucha:
Czy nie osłabiasz oporności ducha,
Nie topisz w morzu własnego strumienia?
Możesz być bóstwem na fali z tęcz tkanej,
Co blaski samo dla siebie zapala,

Możesz być własnym rycerzem, nie Graala,
Bo święty Graal polski odzyskany.

O, wolna sztuko wolnego narodu,
Jakżeś szczęśliwa! — Otwarte wierzeje,
Świt się niebieści — rumieni — złociej —
Słyszę lot skrzydeł, czekanych od młodu...
Wiem, będziesz bujna, sławą przepasana,
Od możnych świata uznana całego,
Promieniejąca... Lecz nie wiem jednego:
Nie wiem, czy będziesz tak samo kochana?...

(1920.)

PRZED POMNIKIEM
KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO
W WARSZAWIE.

(3 maja 1923 r.)

Komu ty jedziesz?...

O, temu jeźdźcowi

Pytaniem takim nikt w oczy nie bryźnie,
Bo każde echo w Polsce mu odpowie,
Z każdego grobu poszept się wyśliźnie,
Dzwonom oddźwięknie głos, — że Honorowi
Przez życie służył ten i swej Ojczyźnie...
Aż stanął czwarty — żołnierz w laur spowity, —
Między trzy śpiże nasze i granity.

Aż stanął czwarty w stolicy swej ziemi
Pomiędzy Królem, Wieszczem i Uczonym...
Dziś, gdy go widzę oczyma szczęsnymi
W tryumfatorskim geście uwiecznionym
Przez mistrza, — czuję, jak Bóg przedziwnymi
Prowadzi szlaki na padole onym
Nawet pomnika los, i jak łaskawie
Nie dał mu wcześniej stanąć tu w Warszawie.

Król, wieszcz i mędrzec górnie noszą głowy,
Widzą przez chmury, mogli być cierpliwi;
Lecz prawy żołnierz, z głazu czy brązowy,
Na bój się porwie, na zgon się ożywi,

Gdy brzękną przy nim Ojczyzny okowy,
I Honor zgrozą lica swe wykrzywi...
Ten spiż — przez sto lat — z warszawskiego brzegu
W rzekę-by nieraz runął w pełnym biegu
Jak do Elstery...

Nie wiem, w satrapy wygnańczym ogrodzie,
Jaka ten posąg toczyła zgryzota,
Lecz dziś, Ojczyźnie zwrócon i swobodzie,
Może spokojnie lśnić, jak bryła złota...
Że nigdy nie stał z Honorem w niezgodzie
W sercach rodaków otwarte ma wrota,—
Niech ze stołecznej świeci nam Warszawy
W słońcu wolności, miłości i sławy!

1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900

WYBIEGNIĘCIE SWIĘTEGO WOJCIECHA

Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty

II

Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty

Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty

Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty

Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty

Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty
Wielki święty święty święty święty święty

900-LECIE ŚWIĘTEGO WOJCIECHA.

Niech modłów chórem brzmi katedry strop prastarej
I niech z kościelnych wież wspaniale bije dzwon!
Bo wielki święcim dzień zastugi i ofiary,
Gdy pierwszy Święty nasz męczeński poniósł zgon.

W królowny swojej ślad, z sąsiedniej czeskiej ziemi
Z miłością przybył on oświecać bratni lud
I głosił „dobrą wieść” ustami natchnionemi
Od skalnych stoków Tatr aż do Bałtyku wód.

I pośród mrocznych puszczy, przez knieje i przez lasy,
I pośród jasnych pól, gdzie skrzątny snuł się kmieć,
I śród horodyszcz ścian, skąd rycerz szedł w zapasy,
On światło prawdy niósł, pogaństwa zrywał sieć.

A wszędzie, kędy szedł i wiary zlewał zdroje,
Wznosił się Boży chram, nastawał mir i ład,
Aż przeszedł wszystkim kraj — owczarnię całą swoją
I jako pasterz dusz w stołecznym grodzie siadł.

A dla owieczek tych, co siłą swej prawicy
Przez długi wieków rząd bronili mieczem krzyż,
Miał stworzyć cudny hymn ku czci Bogarodzicy,
Co z piersi zbrojnych bił, jak dźwięczny dzwonu spiz.

I sam, jak żołnierz, padł nad morską hen! zatoką...
Lecz hojny był to dar — męczeńska, święta krew;

Spoiła wiarą kraj i stała się opoką,
Co u piekielnych bram burz rwących przetrwa wiew.

Rocznico godna czci! wielekroć pamiętkowa!
Dziś pierwszy Święty nasz męczeński poniósł zgon.
Ze łzami módl się doń, owczarnio Wojciechowa:
On modły twe i łzy przed Boski złoży tron.

(1897.)

PSALM ROZBITKÓW.

*Wir... biada łodzi porwanej!
on miota nią, miazdzy, druzgoce,
Strzaska! na desek odłamy
już nowe prze noce i moce.
Za falą uderza fala,
rwie na dno, na piersi się zwala...
Biada narodom — rozbitkom,
gdy dzikie szaleje morze!*

G Ł O S.

Wierzę, o Boże, Tyś wielki,
Tyś mocny, święty jest, Boże!
Z krańców po krańce wszechbytu
Tobie posłuszne przestworze.
Od praotchłani chaosu
Wskrós przez otchłani odmęty
Przenikasz wszystko i rządzisz
Olbrzymi i niepojęty.

Wierzę: — Tyś źródłem jest życia
I kresem, co wszystko jednoczy.
Tobie śpiewają misterja
Sfinksy w jutrzemek przezroczy.
Przeszłość i przyszłość — kolistą
Tęczą u Twego wezgłowia,

U stóp Twych w pyle twórz wszelki,
Narodów i ludów mrowia.

Wierzę: — Ty ważysz na szali
Czyn każdy, myśl, duszy drgnienie,
A błyskawicą przenika
Pokoleń rząd Twe spojrzenie.
Wszechmocność słońcem bez skazy
Prześwieca wkrąg Twoje skronie,
Wszechdobroć pała w Twem sercu,
Wszechsprawiedliwość — w Twem łonie.

.

I wierzę, że ból i cierpienie
I krzywdy żrące i męki
To siew Twej manny złocistej,
Ruch miłościwej Twej ręki.
Duchowi w ciała obroży
On skrzydeł do lotu użycza,
By zyskał Eden wieczysty
W olśnieniu Twego Oblicza.

Lecz gdy zatrąty wiatr ściga
Całe narody, o Panie!
Za mowy dźwięk, głos modlitwy,
Za pamięć... za miłość... za trwanie...
Jakich otwierasz mu, Ojcze,
Podwoje rajszych ogrodów,
Gdy lud-rozbitek zapyta:
„A gdzież jest *niebo narodów?*”

(1903.)

WIARA.

Przez ciernie życia, przez kolce i głogi,
Przez twarde szlaki, kamieniste drogi —
 Spokojna, ufna wprost przed siebie kroczę.
Nic mi, że wicher nad głową dmie srogi,
Że żwir i głazy kaleczą mi nogi,
 Że chmura niebios zasłoni przezrocze.

Wiem, że nie łatwo jest piąć się ku górze,
Że łamie kolce, kto zdobyć chce róże,
 Że nie kobiercem szlak życia wysłany.
Lecz wiem, że wichry przeminą i burze,
Wiem, że przed słońcem nie oprzeć się chmurze,
 Że się najgłębsze rozstąpią tumany.

Moc moja skały z posady poruszy,
Moc moja koi i krzepi wśród suszy,
 Jako napoju ożywczego czara.
Bom ja jest z Boga, bom — potęgą duszy,
Przed którą wszystko znikome się kruszy...
 Idę i dojdę, bo ja jestem — Wiara!

(1904.)

WIDZENIE.

(W kopalniach nerczyńskich).

...I pracowałam tak całymi dniami
W onych pieczarach — niepewna, czy żyję,
I bieg straciwszy czasu, który dla mnie
Stał się, jak owa śruba u młocarni,
Co wciąż się kręci, lecz się nie posuwa
Naprzód...

Jak kamień, tak dusza ma skrzepła
I bez pamięci była i bez żalu.
Myślałam jeno, kto w śmierci godzinie
Gromnicę świętą zapali nademną,
Jako ja niegdyś matce mojej drogiej?
Bo mąż i ojciec, ci nie przy gromnicach,
Ale przy gromach strzałów i przy błyskach
Czerwonych legli i wśród dymu kłębow...

*

*

*

Raz — a musiało to być w sercu zimy,
Choć dzień już dłużej majaczył u wejścia, —
Blask się przed wzrokiem uczynił na skale,
Ażem zdumiała olśniona i nagle
Ujrzałam — nie wiem, oczyma, czy duszą —
Najświętszą Pannę naszą Częstochowską.

Patrzała na mnie słodko, takusienka
Z Dzieciątkiem Bożem, jak na tym obrazie,
Com zawiesiła na ścianie w świetlicy
Ponad kołyską mojego robaczka...
Żyjeż-on jeszcze? Pamięta-li matkę?
Uklękałam szybko: „Pod Twoją obronę”
Na głos zaczęły wymawiać me usta,
I błogość wielka przejęła mą duszę,
Jakiej nie znałam nigdy; bom pojęła,
Że Matka Boska sama i z Synaczkiem
Zejsz tu raczyła, tu do mnie nędzarki,
Przez świat i ludzi dawno zapomnianej,
By mi zaświecić Najświętszem obliczem,
Jako gromnica w godzinę konania.

Idę już, idę!... O, błogostawiony
Bądź, Boże Mocny, że kres ziemskiej doli
Już mi wyznaczasz...

O, cześć Ci i chwała,
Królowo Niebios i Ziemi, co pomnisz
O najmarniejszej swojej służebnicy.
Cześć Ci i dzięki... Ach, idę już, idę!

(1905.)

ŁÓDŹ PIOTROWA.

Po czasie fali, niewstrzymanej w biegu,
Wśród mijających pokoleń szeregu,
Które, jak kłosa pod sierpem żniwiarzy,
Codzień — o bladej lub skrwawionej twarzy —
Na śmierć się kładą — i ślad po nich ginie...
Po życia lawie, co z trzaskiem się żarzy,
Spokojna, mocna Łódź Piotrowa płynie.

Jak morskie wały, piętrzą się poglądy
I opadają, — sprzeczne walczą prądy
I gaśnie mnóstwo łun, branych za zorze...
Ta Łódź ustąpić ni zboczyć nie może;
Przez doczesności wędrując obszary,
Jedna nie zejdzie nigdy na bezdroże:
Nadziemskiej bowiem jest strażnicą wiary.



O szczęsny ten,
kto w drodze życia swojej
W niej szukać chce
przewodu i ostoi.
Jak prosty czerw,
czy górnym, lotnym ptakiem,
Za Łodzi tej
podąża jasnym szlakiem.

Cierpisz!... W twój duch
wgrzyły się bólów zmije,
Za ciosem cios
w istotę twoją bije;
I nie wiesz już,
czy to jest niebios zdradą,
Czy ślepych sił
tratuje ciebie stado;
I dręczy cię
z podwójnej męki mocą
Sam ból i myśl:
— „ach, czemu cierpię? poco?”

—*

O, spójrz na Krzyż,
co z Łodzi lśni Piotrowej,
Utop w nim wzrok,
w olśnieniu uchyl głowy,
A jego blask
ukoi twoją żałość,
W nim znajdziesz lek,
odpowiedź i wytrwałość!

—*

Zwątpieś!... Mgła
otacza cię naokół,
Napróżno myśl
jej zwałów rąbie cokół...
Wytężasz mózg,
od księgi rwiesz do księgi,
Po prawdy zdroj
wciąż w głębsze schodzisz kręgi...
Daremny znój!
Choć spiętrzasz zjawisk łupy,

Przestrzeń i Czas,
jak Herkulesa słupy,
Znaczą ci kres
i błąkasz się w tumanie,
Choć gwałtem chce
twój duch się przedrzeć za nie.

✱

Ach, usłysz głos,
co z Łodzi brzmi Piotrowej,
Objawion jej
przez Zakon Chrystusowy.
Uwierzyć chcesz,
a obłok twej tęsknoty
Do wiecznych prawd
przestrzeli promień złoty.

*

*

*

Błogosławiona bądź, Łodzi Rybaka
Galilejskiego — w gronostajach Romy,
Czy w więźnia szatach — Ty, zawsze jednaka,
Boskiego Mistrza ludom znak widomy!
Cóż, że niekiedy fal znikomych zamęt
Zerwie ci jakiś ofiarny ornament,
Wiatr szarpnie żaglem, albo jedno zdradnie
Zmurszałe pychą wiosło ci odpadnie,
Za nowych legjon, — że królestwo złego
W potyczkach z dobrem wciąż wyteżę ramię,
Gdy sam Zbawiciel rzekł: — „iż steru twego
Żadna potęga nie złamie!”

*

*

*

Ojcie! w tych leciech Pańskich z woli Bożej
Sterniku nawy Piotrowej! my wiemy,
Że wglądasz sercem, gdzie burza się sroży,
Gdzie, jako zastęp milczący i niemy,
Stoją twe syny najbardziej cierpiące,
I trwać pomagasz, zanim wzejdzie słońce...
Twej świętej Łodzi szlaki niezachwiane
Wiodą, gdzie ludów skończy się męczarnia.
I będzie jeden — jak zapowiedziane —
Pasterz i jedna owczarnia.

(1910)

STANCE O ŚWIĘTYM ANTONIM PADEWSKIM.

(W 600-ną rocznicę śmierci Świętego.)

Święty Antoni, o święty Antoni!
Miljony błagań w niebiosach Cię goni.
I z ziemskich nizin o każdej godzinie
Na skrzydłach westchnień chmurą łzawą płynie:
Ze świątyń, z domów, i szeptem, i głośno,
Korną modlitwą lub skargą żalosną.
I z serc prostaczków i ze skrytek duszy,
Która przed ludźmi niewiarą się puszy...
W mrokach beziły — jeden punkt świecący
Przy stracie, trosce, obawie gryzącej,
Że On odnajdzie, ocali, uchroni...
Święty Antoni, o święty Antoni!

Maluczcy, pójdźcie! wy — Jego owczarnia,
Święty was prosi, przyzywa, przygarnia.
Wielkie, czy drobne — nieście Mu swe troski,
Podda je wiernie łaskowości Boskiej.
Więc pójdźcie wszyscy! Niech się nikt nie łudzi,
Że sam maluczkiem nie jest z pośród ludzi:
Choćby u szczytu społecznej kolumny
Staął — potężny, bogaty i dumny.
To go nie minie w życia sieci zdradnej,
Że się poczuje trwożny i bezradny.

Więc pójdźcie wszyscy ku tej zbawczej dłoni...
Święty Antoni, o święty Antoni!

W Sewilskim tumie widziałem — w kaplicy
Obraz Świętego z anielskimi licy,
Które Dzieciątko Boże opróżnienia:
Wielkiego mistrza dzieło i natchnienia.
Widziałem w Padwie z grobowcem świątynię,
Gdzie rzesza ludzka wciąż, jak rzeka, płynie;
Tam również sztuki piękność osobliwa
Napięciu uczuć niemal dorównywa.
Widziałem w Polsce nasze Łagiewniki,
Mnogie kapliczki, skromne ołtarzyki,
Lecz chór nie słabszy modłów od nich dzwoni...
Święty Antoni, o święty Antoni!

W najokrutniejszym sercu — błysk Dobroci
Ciepłym promieniem niekiedy się złoci.
W najzatwardzalszem nawet — żdźbło Litości
Choćby na krótko, na chwilę zagości.
Dobroć i *Litość* snąć ludzkości całej
W sercu Świętego skupiły się, złąły,
Że w prośbach o nie do Pana nad Pany
Na pośrednika został powołany, —
Że zabłąkanym w trosk ciemnym lesie
Samo westchnienie doń już ulgę niesie,
Krzepi otuchą, od znękania broni...
Święty Antoni, o święty Antoni!

(1931.)

Wielki...
Są...
...

W...
...

...

...

...

...

...

...

...

...

III

Z A P A Ł .

(1886)

Zapał — to krew,
Co w młodem kipi łonie.
To — święty Znicz,
Co wiecznym ogniem płonie.
Zapał — to myśl
Promienna i skrzydlata,
Co z posad chce
Poruszyć bryłę świata.
Zapał — to dłoń
Bez końca czynów chciwa, —
Powodzi toń,
Co wszystkie groble zrywa, —
Płonący stos,
Co żarem tchnie dokoła, —
Potężny głos,
Co wiecznie „naprzód!” woła.

*—

Więc chociaż grom
Za gromem zgóry bije,
Północny wiatr
Choć szarpie, huczy, wyje,

Choć szara mgła
Zaległa świat naokół,
A trwożna myśl
Jak ranny drzemie sokół, —
Więc chociaż mróz
Ściął lodem wszystkie zdroje
I słońca bram
Zaparte są podwoje, —
Choć krzepną wraz
I dłoń i duch i serce;
Niech zapał w nas
Choć w drobnej tli iskierce!

*—

Niech młoda krew
Na serca dnie się żarzy,
Gdy łuną zórz
Nie może bić do twarzy.
Niech bystry prąd,
W dal płynie, póki może.
Nim wieku lód
Zakuje go w obroże,

Niech młoda myśl
Wciąż wzbija się do góry,
By orli lot
Nad czarne przenieść chmury.
Bo przejdzie ten
Czyścowych dusz męczarnie.

Kto młodość swą
W gnuśności przespał marnie,
I przeklnie świat
Na starość w próżnym szale,
Kto w wiosnie lat
Zapału nie znał wcale.

DO MYŚLI LUDZKIEJ.

Jest w nas potęga, co jak żar płomienia
Niszczy i dźwiga, i tworzy i burzy,
Co czasem dzikim chwastem się rozplenia,
Czasem wykwita nakształt wonnej róży;
Czasem pleśnieje, jak woda bagniska,
Czasem jak grzmiąca fala, co z gór tryska,
W przepaść się strąca lub do szczytów sięga, —
Dla której granic przestrzeń nie zakręśli,
Czas nie odmierzy — a jest to potęga
Człowieczej myśli.

*

*

*

O! hańba myśli, gdy gnuśna, leniwa,
Więdnie powoli w odrętwienia toni,
Choć tyle hasał do dzieła ją wzywa,
Tyle pobudek wzniosłych wkoło dzwoni!
Hańba jej, kiedy, w egoizmu pęta
Wplątana, tylko o sobie pamięta
I siebie tylko kocha, — gdy wesele
Innych nie cieszy jej, ni ból nie smuci,
Lub gdy jak nędzny płaz do stóp się ściele
Poziomych chuci.

O! hańba myśli, gdy władz swych używa
Na krzywdę innych i zło wkoło szerzy,

Snując, jak pająk, nikczemne przędziwa
Zbrodni, zniszczenia, fałszu i grabieży.
Hańba jej, kiedy, własnej swej godności
Niepomna, ślepej idzie służyć złości
I nienawiści dzikiej, lub moc całą
Swojej potęgi wyteża szalonej,
Żeby zatopić w bliźnich duch i ciało
Ucisku szpony.

Ale cześć myśli, gdy w cudną krainę
Piękna natchnioną spogląda źrenicą
I sztukę tworzy; — cześć jej, kiedy w sine
Przestwory strzela gotycką wieżycą,
Albo gdy tony tysięcznymi śpiewa
Ludzkich serc drgnienia; — cześć jej, kiedy wlewa
Poezji siłą w martwe słowa — światy,
Dyszące żarem wiecznych walk życiowych,
Lub w czystych kształtów ubiera się szaty
I barw tęczowych.

Ale cześć myśli, gdy nauki mocą
Do stóp człowieka nachyla świat cały,
Budować każe siłom, co druzgocą,
Słuchać — potęgom, co pana nie znały.
Cześć jej, gdy z starych kart dawnego życia
Ściera pył wieków, albo gdy z ukrycia
Cichej pracowni przez oko badacza
Od wnętrza ziemi aż do niebios szczytu
Wyśledza w świecie, co wkrąg się rozciąga,
Prawa wszechbytu.

Ale cześć myśli, gdy do czynu budzi
Każdą najstarszą choćby dłoń czy ramię,
By pracowały na pożytek ludzi,
Kładły ofiarę w wspólnej pracy chramie. —

Cześć jej, gdy mimo tysiączne zawody
Podnosi śmiało miłości, swobody,
Sprawiedliwości i dobra sztandary.
Albo wynaleźć stara się sposoby,
Jak kres położyć erze nędz bez miary,
Lecz i żałoby.

*

*

*

O myśli! jakżeś potężna i wielka!
Ty czasem gromy ciskasz tytanowe,
Czasem, jak ruchem miarowym kropelka —
Wiercisz przepaście, tworzysz morza nowe.
Myśli! czy jednak wystarczy ci mocy,
Żeby rozwiązać w czarnej zwątpień nocy
Te trzy zagadki ludzkiego istnienia,
Co, jak trzy Sfinksy bram wszechwiedzy strzegą,
Te trzy ludzkości wieczne zagadnienia:
Zkąd? Gdzie? Dlaczego?

(1887.)

TRZY SONETY.

I. QUOUSQUE?

Nad ziemią krzyk straszliwy brzmi: „Miejsca, przestrzeni!
Precz z innymi! Kto słabszy, niech ginie, niech kona!”
Miłości źródło wyschły, nienawiść szalona
Roziskrza wszystkie oczy, wszystkie wargi pieni.

Każdy lud myśli, że się może zmieni
Los jego, kiedy szerzej wyciągnie ramiona
I więcej krwawych ofiar przycisnie do łona,
I więcej innych ludów do koła wypleni,

Ztąd wszystkich żądza władzy, jak zhora, przygniata
I do walk bratobójczych prze ze wściekłą siłą,
Której Słuszność i Prawda nie zdolne pokonać.

Każdy chciałby dla siebie zagarnąć pół świata,
Jak gdyby to obszaru tyle trzeba było,
Żeby kochać i cierpieć, przeżyć wiek i skonać.

II. DOKĄD?

Jak rozbitek, rzucony burzą w nurty sine
Wezbranej rzeki, widząc — pod naporem fali —
Jak pęka każda grobla, każdy mur się wali,
Jak woda wszystkie więzy obraca w ruinę,

A potem sama zbiera drzewo, piasek, glinę,
Tworząc nowe zapory, by jeszcze zuchwalej
Znieść je... i tak bez końca wciąż dalej i dalej...
Przerażony sam siebie pyta: gdzie ja płynę?

Tak samo i ja — człowiek, na życiową kolej
Wtrącony, kiedy widzę pełznącą powoli
W nieznaną dal ludzkości ciężką karjatyde,

Której sam częstką jestem, jak od cierpień blada
Choć zrzuci jedno jarzmo, wnet drugie nakłada, —
Pytam: *gdzie idzie ona?* i z nią — *gdzie ja idę?*

III. DLACZEGO?

Lawino! córo wichru i gór piersi śnieżnej,
Ty, co ponad przepaścią zwieszona pochyłą,
Spadasz nagle w doliny, jako ptak drapieżny,
Niszcząc wszystko, co w cieniu matki twojej żyło!

Ja ci przebaczam, martwa, nieświadoma bryło,
Gdy runiesz, niby demon śmierci i ruiny;
Bo wiem, że pchnięta byłaś nieprzepartą siłą
I nie znasz, co cierpienie, — więc jesteś bez winy.

Lecz gdy widzę, jak człowiek podnosi niegodnie
Miecz zbrodni, łańcuch więzów i klęski pochodnię,
Straszna zgroza i rozpacz serce me przejmuję.

Bo choćby w praw fatalnych skutki był obrozę,
Pytam, dlaczego prędzej zerwać jej nie może,
Niż zadać ból drugiemu — ten, kto sam-ból czuje...

(1887.)

Z CYKLU „GORZKIE SONETY” JANA RICHEPIN.

I. WIEŻA BABEL.

Wyżej! wyżej! na słupach nowe wznosmy słupy!
Piętrzymy wieże na wieże, złom stawmy na złomie!
O niebo, co nas ściskasz w swych sklepień ogromie,
Już cię palcem dotykam, jakby dna skorupy.

Hej! więcej kolumn, łuków! głaz nieśmy za głazem!
Mąż każdy, każde plemię niech piętro dołoży,
Aż na szybie błękitów oświeci blask zorzy
Ślady naszych bucisków, podkutych żelazem.

Lecz daremnie w cierpliwość zbrojna ludzka pycha
I sztukę i naukę wciąż naprzód wypycha...
Wznosim się, ale niebo przed nami ucieka.

I spadamy bezsilni, w zwątpieniu, w niemocy,
Pod ruiny Babelu, w mrok straszliwej nocy,
Gdzie w chaosie języków człek zarzyna człeka.

II. ŻĄDZA NIESKOŃCZONOŚCI.

Kochanek, który wlewa w miłosne westchnienie
Duszę swoją; kwiat lilji, w słońce zapatrzony;
Ptak, którego nad morzem niesie wiatr szalony;
Męczennik, co ze śpiewem rzuca się w płomienie;

Jeleń, co strzałą leśną przebiega przestrzenie;
Lew, który w ciasnej klatce miota się na strony;
Poeta, żądny rytmu; spokojny uczony,
Co w ukryciu rozważa wielkie zagadnienie; —

Wszystkich przenika wiecznie aż do głębi łona
Ta sama żądza, niczem niezaspokojona,
I wciąż przed nimi stoi, jakby zmora blada.

Żądzo nieskończoności! co trwasz nieskończenie,
Męką jest i podporą twe palące tchnienie.
Zabijasz — jednak z siebie i życie się składa.

(1888.)

W SAN LORENZO.*)

SONET KAROLA ALGERNONA SWINBURNE'A

DO NOCY.

O Nocy! kiedyż błysnie dla ciebie świtanie?
Kiedyż zorze poranku dosięgną twej duszy?
Śpisz dotąd snem kamiennym, ale cię poruszy
Głos, który z nieba zabrzmiał: niech się światło stanie!

Ty wiesz, że my nie zbudzimy ciebie niespodzianie,
Nim czas łańcucha dawnych hańb i ran nie skruszy,
Więc każdy w piersi swojej dźwięk silniejszy głuszy,
By nie zmącić niebacznie przez głośnie wołanie

Tego, co jest ostatniem prawem twem i razem
Jedynem szczęściem twojem: — móc spać i być głazem.
Milczym więc, bo twój spokój czcimy, jak ołtarze.

I choć wiemy, że żyjesz, zostawiamy tobie
Moc tę, że nic nie czujesz i nie widzisz w grobie...
Lecz czyż własny twój anioł powstać ci nie każe?

(1888.)

*) Kaplica Medyceuszów we Florencji z posągami „Nocy”
dłuta Michała Anioła.

NIECH BIELEJE PŁÓTNO SZARE!

Położyły płótno szare na murawie
Gospodynie: „niech bieleje” — powiedziały —
„Niech bieleje!” I zaczęło złote strzały
Ciskać słońce w płótno szare, co jaskrawie
Odbijało od zieleni, — nowej strawie
Niosąc grotów swoich żary i upały...
Niech bieleje płótno szare, na słońcu niech bieleje!

I poczęła płótno szare w wieczór, zrana
Srebrzyć rosa — srebrna rosa, co wyjada
Smutne, łzawe biednych oczy, zanim błada
Wезде zorza nadaremnie wyglądana.
Bić poczęła w płótno szare karawana
Wichrów, — mknąca obojętnie w dal gromada...
Niech bieleje płótno szare, na rosię niech bieleje!

I zbiałało płótno szare i zbiałało
Od słonecznych grotów złotych i od rosy
Pocałunków i od wichrów, które z włosy
Rozwianemi w dal nieznaną pędzą strzałą.
Teraz mogą gospodynie brać je śmiało,
Wiernym sługą dzielić będzie ludzkie losy.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

Teraz mogą płótno szare kroić w szmaty
Cienkie, długie, na pieluszki, na koszule,

Co niemowląt drobne członki tkliwie, czule
Oślaniają, — i na dziewic ślubne szaty,
I na obrus, który kryje stół bogaty,
I na całun, który koi wszystkie bóle.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

Teraz mogą płótno szare w chorągwane
Pociąć płachty, by szumiały wojskom sławą,
Dumnie z wiatrem się zwracając w lewo, w prawo,
Jak zawieje; — i szarpami kłaść na ranę;
Miękką chustą oczy suszyć zapłakane,
Pot ocierać wysączony pracą krwawą...
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

*

*

*

I wywlekła dola-matka serce moje
Na życiowe ostre szlaki, twarde drogi,
Między ludzi zastęp wielki, zastęp mnogi, —
Moje serce, w którym uczuć wrzały roje,
Krwii gorącej, krwi czerwonej biły zdroje, —
I cisnęła ludziom-braciom je pod nogi.
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I ogarnął serce moje nienawiści
I zawiści żar, gorętszy, niżli słońce; —
Uderzyły w nie zawodów wichry rwące,
Co z nadziei duszę smutną, jak dąb z liści,
Obrywają; — coraz silniej i rześsiej
Jęły zraszać je łyzy skryte, łyzy palące.
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I zbiałało serce moje i zbiałało,
Jak to płótno, w życia pęta i obroże

Wparte, w kute... Odtąd ludziom w każdej porze
Z rezygnacji twarzą zimną, twarzą białą
Służyć będzie, — lecz już sercem być przestało
I już tylko tak, jak serce, pęknać może...
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!
Niech bieleje serce moje, dla ludzi-braci niech bieleje!

(1891.)

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Oj, lecą, lecą liście z drzew, do matki lecą ziemi,
Porwał je wiatr, jesienny wiatr i miota, rzuca niemi,
Z jednemi długi toczy bój, — rwie, szarpie rozhukany,
Inne unosi nagle wdał, jak pieśni ton przerwanej.
Lecz wszystkie wspólny mają kres i stadem złotokrwawem,
Jak cicho szeleszczący deszcz, spadają wdół niebawem.
Chwil kilka jeszcze w słońcu drżą, migocą na darninie,
Aż się rozsypią w proch i pył, i pamięć ich zaginie.

Krasił je niegdyś cudny czar wiosennych rozanień
I tryumfalny słońca blask w jaskrawą stroił zieleń;
Przetrwały lata znój i skwar, kropelki chłonać rosy,
Ich szelest trwożny z echem burz wzlatywał pod niebiosy;
Marzyły w księżycową noc pod złudzeń sennych czarem,
W zawojach otulone mgły, jak w zapomnieniu szarem;
I srebrzył je przedwcześnie szron i wicher rwał na strzępy,
Żyjątek roje sercem ich karmiły się, jak sępy; —
Aż przyszedł wiatr, jesienny wiatr, zlitował się nad niemi,
Ułożył do wiecznego snu na łonie matki-ziemi.

— — — — —
Jak liście z drzew, tak z życia fali
Spływają dusze. Smutnemi oczyma
Sięgają dzisiaj ci, co pozostali,
Po tych, co byli i których już niema.

Gdy patrzą w przeszłość, żal im serce ściska
I łza boleści do serca napływa;
Gdy w przyszłość spojrzą, co zda się już bliska,
Modlitwa bije z serc, jak struga żywa,
Nadzieja świta, jak zorza ognista.
„Wieczysty spokój!” „Światłość wiekuista!”
Kędyż na ziemi? w jakiej doli? komu?
W pogodzie szczęścia, czy wśród huków gromu,
W pracy rąk krwawej, czy w wysiłkach ducha,
Taki stan dany i taka otucha?...
I już nie bierze żal i smutek po nich,
Ale tęsknota i pragnienie — do nich.

Oj, lecą, lecą liście z drzew, do matki lecą ziemi,
Stracił je wiatr, jesienny wiatr, zlitował się nad nimi.

(1897.)

ZNUŻENIE SZATANA.

Na toni, gdzie wdał mglistą łódź ludzkości płynie,
Czasem opada złego rozszalała fala
I tylko z gniewnym mrukiem, jak zwier, się przewala,
A łódź szybuje równiej przez morskie głębinie.

Wnet mniejszym żarem zieją żądź piekielnych paszcze,
I chylą węże pokus syczące swe głowy,
I rdzawe nienawiści kruszeją okowy,
I opadają pychy purpurowe płaszcze;

Przyczaja się pełznąca zbrodni karawana,
Bledną łuny pożarów, zarzewia pożogi,
Na żer lecących kruków cichnie wrzask złowrogi:
To przerwa w wiecznej walce — znużenie Szatana!

Przymknąwszy czarnych skrzydeł olbrzymie powieki,
Oto w mrokach chaosu siadł na skały zrębie
I ukrył harde czoło w szpony rąk jastrzębie
I zamarł. Któż odgadnie: na mig, czy na wieki?

Kto zgadnie? Milczy chaos i mrok i otchłanie...
A już kędyś wysoko rozpierzchły się chmury,
Błysnęło szczęścia słońce; radosnemi chóry
Kędyś Dobra i Prawdy wieszczą już nastanie...

Nagle szyderczym śmiechem wzdrygnęły się skały,
Jęknął chaos pod stopą, co znów go przygniata,
Błyskawica przeczenia mignęła wśród świata
I grom runął!... To Demon porwał się zuchwały.

A na ziemi łyzy krwawe znowu się polały,
A na ziemi za gardło znów brat chwycił brata.

(1901.)

M A Z U R .

Huczają ściany, tętnią ściany,
Brzmi muzyka w rytm kochany;
Świateł struga drga i mruga,
Cichnie rozmów gwar;
W każdym oku skry migocą,
W każdym sercu — żar.
Bo jak fala się przewala
Mazur we sto par.

Nuta burzą z góry spada,
Grzmi hołupców kanonada,
I z tupotem i z łoskotem
Pstry się toczy tłum,
Niby tabun rozpętany
Pod wichury szum,
Niby rwący a gorący
Potok hardych dum.

Gdzież się wyda młódź dorodniej?
Złota łuna bije od niej...
Podgoleni, podstrzyżeni,
W chłopca chłop — naschwał!
Każdy butnie rękę wznosi,
Pomykając wcawał.

Okiem błyska, nabok ciska
Snop ognistych strzał.

Przy nich w płasie wdzięcznie płyną,
Jak łabędzie tonią sianą,
Jak królowne — dumne, pewne,
Hoże jako kwiat,
Z warkoczami, co za niemi
Mkną ochoczo wślad,
Cud-dziewice, krasawice
W tęczy barwnych szat.

Przelecieli w takt kapeli.
Hen! na chwilę przystanęli...
Znów z tętentem nagłym skrzętem
Zawracają... strach!
Zda się wnet zapadną ściany,
Runie cały gmach...
Aż się dusza rwie i wzrusza
Niby w złotych snach!

Bo mazura dziwna władza,
I weseli i odmładza,
I nastraja i upaja,
I rozprasza ból;
Bo to taniec nad tańcami,
Wszystkich tanów król.
Bo się począł na tej ziemi,
Śród tych niw i pól.

I dlatego zawsze, wszędzie
Nastuchiwać chciwie będzie,

W białym dworze czy w komorze,
Kmieć, parobek, pan, —
Rychło mazur huknie grzmotem
Śród bielonych ścian.
I pobudka zabrzmi krótka:
Wszystkie pary w tan!

(1898.)

KTO WOLNOŚĆ RAZ POKOCHA...

PIOSENKA.

Kolombinę, Spiletę, Pierotkę
Na progu męskich lat,
Jako Sławę, Bogactwo i Wolność,
Poznałem, wchodząc w świat.

Nie nęcą mnie złote cekiny,
Ni brylantowe skry:
Do tej trzeciej białej dziewczyny
Junackie serce drży.

Niejednego w życiu to spotka,
Że wiatr mu w oczy dmie...
Najpiękniejsza z nich była Pierotka,
Lecz ta nie chciała mnie.

—*—

Dziewczyno słodka a płocha,
Co z serc zabierasz łup!
Kto wolność raz pokocha,
Ten wieczny czyni ślub.

Choć chowasz się za kraty,
Pierzchasz od bram do bram,—

Gdzie błysnie kraj twej szaty,
Ja wszędzie będę tam.

A gdy padnę przed twym teremem
Na śnieg, co w słońcu lśni,
Obdarzę cię djademem
Z rubinów własnej krwi...

(1900.)

CZY JA WIEM, CO CZAS PRZYNIESIE?

Czy ja wiem, co czas przyniesie?

Czy ja wiem, dzieciно?

Rok za rokiem płyną lata,

Jak strumienie płyną.

Mówisz — nowy wiek nadchodzi,

Bije serce w łonie,

Coś się kończy, coś zaczyna

Na ziemskim zagonie.

Mówisz — wdal wyteżam oczy,

By mgłę przebić siną...

Czy ja wiem, co czas przyniesie?

Czy ja wiem, dzieciно?

Wiem, że z każdym nowym rokiem

Lecą w świat życzenia, —

Nasłuchałem się tych życzeń

W każdym, co się zmienia.

Lecz dziś stokroć większe święto —

Ruch na wieków fali.

Nie dziw, że ci serce bije,

Że ciekawość pali.

Sto lat, dziecię — to jak puszcza:

Błądzą w niej i giną.

Czy ja wiem, co czas przyniesie?

Czy ja wiem, dzieciно?

Wiem: choć będą liczby inne
Znaczyć czasu miarę,
Zawsze wschodzić, jak wschodziło
Będzie słońko stare.
I tak samo trzeba będzie
Chleb zdobywać w trudzie...
Bóg jest wielki, On wie jeden,
Czy się zmienią ludzie...
Może to się na zegarze
Cyfra zmienia ino?
Czy ja wiem, co czas przyniesie?
Czy ja wiem, dziecino?

(*Nowy Rok 1900.*)

APOSTROFA.

Uderzyły srebrne dzwony
I czas zadał w nowy róg.

.

Niechaj będzie pochwalony
Wszchemogący, wielki Bóg,
Co w przestrzeni nieskończonej
Drodze świata kreśli łuk!

*

* *

Cześć wam, ludzie pracownicy,
Myśli, serca, czynu kwiat,
Z których dzielnej wciąż prawicy
Siew dla naszych żniw się kładł!
Cześć wam, bracia pracownicy
W trudach — od zarania lat!

*

* *

Pozdrowienie wam — młodzieży,
Co jak złoty błyskasz nów!
Nim zkolei wasz pobieży
Na bój życia zbrojny huf,

Gromadź mądrość do śpichlerzy
Duszy — obok tęczy snów!

A gdy już pod przyszłe plony
I wasz pójdzie orać pług,
Niechaj będzie pochwalony
Wszchemogący, wielki Bóg!

Uderzyły srebrne dzwony
I czas zadął w nowy róg.

(1900.)

O NIESZCZĘŚLIWI, KTÓRZY CHCIEĆ NIE MOGĄ.

— O nieszczęśliwi, którzy chcieć nie mogą!
O nieszczęśliwi, co chcieć nie umieją!
Wiecznie żebraków wlec się będą drogą
I dusze karmić jałmużny nadzieją,
I łudzić siebie, że już z losem walczą,
Kiedy doń rękę wyciągną służalczą.

Patrz! błyskawica pośród chmur się kręśli
I na strwożoną ziemię pada gromem.
To chęć błysnęła w głębiach ludzkiej myśli,
Staje się jasnym, potężnym, widomem
Zjawiskiem woli... Grom runął i ginie,
Wstrząsnąwszy ledwo chmur powłoką czarną.
Lecz pocisk woli odradza się w czynie,
Pada na ziemię jako pełne ziarno...
A ziarno rośnie, gdzie może, jak może —
W szczelinie skalnej, czy na żyznej roli,
Do współdziałania zmusza i niewoli
Słońce, deszcz, rosę, — w żelaznym uporze
I w krwawym pocie czoła, skąd powstało,
Czerpiąc otuchę, hart i moc wytrwałą.

Rośnie... Już runi puszcza pęd zielony,
Już w górę kłosa wystrzela złotemi.
Tysiąc ziarn takich — to kłosów miliony,

To zboża łany, serdeczny szmat ziemi,
Gdzie słońca blaski mienią się i palą,
I wiatr srebrzystą przechadza się falą;
To pole — w plony dla przyszłości szczodre,
Usiane w chabry, niby w gwiazdy modre,
Co jak lazurów strzępki się migocą; —
To niwa — rosą pojona przed nocą,
Skowronków piosnką rozbudzana błogą,
A w dzień szumiąca niw hojnych nadzieją...

.
O nieszczęśliwi, którzy chcieć nie mogą!
O nieszczęśliwi, co chcieć nie umieją!

Otwarte brogi, gotowe śpichlerze,
Czerni się rola w brózdy poorana,
Złotego siewu pożąda co rana,
Jak fal ożywczych spieczone wybrzeże...
Lecz gdzież są siewce, siewce? Wielkim krokiem
Czemu nie chodzą tem błoniem szerokim?
Czemu nie sypią ziarna z hojnej dłoni?
— Nie chcą! Nie mogą chcieć już pono! — Oni
Stoją nad rolą, jak nad pustą kartą,
Wolą rozważyć — współsenni — czy warto
Wznieść dłoń do góry, chwiejną ruszyć nogą,
Czy warto kochać, cieszyć się nadzieją, —
Miał kroczyć naprzód wielką życia drogą,
Czynów i pracy wytkniętą koleją...

.
O nieszczęśliwi, którzy chcieć nie mogą!
O nieszczęśliwi, co chcieć nie umieją!

(1902.)

Z RAD DLA MOICH SYNÓW.

I.

Czy z ziarn twych czynów wszędzie kłós,
Pytanie to daremne:
Tylko „dziś” pewne daje los,
A „jutro” dla nas ciemne.

Lecz by mieć duch bez troski skaz,
Nie znać, co niepokoje,
Postępuj tak, byś w każdy czas
Mógł rzec: — „Zrobiłem swoje!”

II.

Chcesz być czemś w życiu, to się ucz,
Abyś nie zginął w tłumie;
Nauka — do potęgi klucz,
W tym moc, co więcej umie.

I zważ, nie popchną tego wstecz,
Ani pochłoną fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale.

III.

Trzeba przebojem w życiu iść
Wśród przeciwności wielu.
Opada marnie chwiejny liść,
A strzała sięga celu.

Lecz wśród życiowych krocząc kniej,
W zdarzeniu czy potrzebie,
Dla drugich zawsze serce miej,
Nie żałuj tylko siebie!

IV.

Szczęście — to nieuchwytny ptak,
Gdy je dla siebie łowią,
Złocisty często mija szlak,
Nad chatą wzlata wdowią.

Lecz choćby Los czy Ból cię zmógł,
Czy pochód Zła zwycięski,
Pomnij: najwyższym sędzią — Bóg
I gorszy grzech od klęski.

(1907.)

RONDA.

I.

POWIEDZ, ŻE KOCHASZ...

Powiedz, że kochasz, choćbyś nie kochała!
I cóż, że później oberwie się skała
Pod czyjem szczęściem i pod życiem może?
Będzie to kiedyś — o jesiennej porze,
Ty rzekniesz wówczas:

— „To wiosna skłamała.”

Rzekniesz: „Niewinnam, jako lilja biała,
Bo jaśmin szeptał i róża szeptała,
I w całym jasnym szumiało mi borze:

Powiedz, że kochasz!”

A ten, co pyta, czy mu serce pała?...
Może chce zoczyć, jak ta złota strzała,
To słowo „kocham” wylata w przestworze,
W jakim się będzie mieniło kolorze...
Nie psuj harmonji! Choćbyś nie kochała,
Powiedz, że kochasz!

(1902.)

II.

LOGOS SŁOWA, CZCZE SŁOWA...

Słowa, czcze słowa!... Kwiaty, płóche kwiaty!
O wy, kielichów bursztyny, szkarłaty,
Co słodką wonią upajacie noce,
A dni — barwami! Gdzież po was owoce?
Kędyż tęzowe rozwiały się szaty?

Oto rozsuwa wzorzyste makaty
Wiosna, nadziei lejąc aromaty,
Mówi, jak młodość: — Upieszczę, ozłocę...
Słowa, czcze słowa!

A te wyznania, zaklęcia z przed laty,
Których w pamięci buja rój skrzydlaty,
Jakież w ich brzmieniu dziwne drgały moce!
Zdały się w twardej wykute opoce,
A przecie zwiędły, jak wiosenne kwiaty...
Słowa, czcze słowa!

(1902.)

III.

ZAWSZE I NIGDY.

Zawsze i nigdy! Poco temi słowy
Łudzić się, droga? Przy ścieżce życiowej
Zawsze — to góra w skalnych urwisk zbroi,
A *Nigdy* — przepaść. Człowiek o nich roi,
Ale tam sięga tylko skrzydłem mowy.

Co? chmurka spadła na twarz mej królowej,
Że żagiel naszej miłości różowy
Dwóch najpewniejszych pozbawion ostoi:
„*Zawsze i Nigdy!*”

Nie smuć się, droga! Bo cóż, że nam z głowy
Zsunie się kiedyś ten wieniec godowy?...
Patrz! Rząd pokoleń, jak wodą ze zdroi,
Tą jedną w życiu ufnością się poi.
Że na tej ziemi czczemi tylko słowy:
„*Zawsze i Nigdy.*”

(1903.)

BŁOGOSŁAWIENI.

Zonie mojej.

Błogosławiony, kto w duszę bliźniego
Zdoła wlać radość, jak promyk do celi,
Kto ze stubarwnych tęcz ludzkich nadziei
Choć jedną smugę do stóp mu uścieli.

Błogosławione i godne szacunku,
Jako rodzica spracowane dłonie,
Są te, co ziarno oświaty złociste
Choćby na jednym posiały zagonie.

Błogosławione po trzykroć i święte
I jako matki rodzonej są ręce,
Co choćby jedno wypełnią niewinne,
Jedno marzenie dziecięce!

(1908.)

WIATR JESIENI.

Rówieśnikom.

Już się zerwał i pędzi z dzikiem wyciem na sztych,
Jak spuszczone psów sfora wygłodzonych i złych,
Skamłąc, dysząc, skowycząc, kłami dzwoniąc o kły...
Już się zerwał i miota kłęby mgły i dżdżu łyż
Wiatr jesieni, jesieni, jesieni.

Coraz bliżej i chyżej nieprzepartym tchem gnan,
Z głuchym liści szelestem już uderza w zrąb ścian,
To zabręczy szybami i przycichnie na mig,
To zza węgła skoczywszy, znów wydaje lwi ryk
Wiatr jesieni, jesieni, jesieni.

Tyle lat z wichrem życia duch mój naprzód się rwał,
I śledziłem spokojny tych niszczących sił cwał,
Co na żer jak watahy rozpętanych mkną mar,
Aż runęły i na mnie... do mej duszy się wdarł
Wiatr jesieni, jesieni, jesieni.

I już patrzę inaczej, jak się chylą i gną
Drzew konary i liści płynie chmara na dno,
I już zimny niekiedy obejmuje mnie strach,
Gdy harcuje z poświstem po ścierniskach i krzaczach
Wiatr jesieni, jesieni, jesieni.

*

* *

Bo już do mojej duszy się wdarł
Gwałtowny, chyży,
Niby na cmentarz w Dziadów noc
Wśród drzew i krzyży,
Ten wiatr jesieni.

Bo to *mej* wiosny ostatnie już
Kolory zmiata,
I gasi znojny i hojny skwar
Mojego lata
Ten wiatr jesieni.

Rozrzuca, szydząc wspomnień stos —
Pozółkłe liście,
Co zastąpiły żywy kwiat
I świeże kiście;

Prac nieskończonych, straconych sił
Wstrząsa pokosem;
Rozprasza ziarna, co nigdy już
Nie wzejdą kłosem.

I po nadziejach łka, które gład
Tłoczy mogiły,
I po tych zorzach, co oczom mym
Nie zaświeciły...

*

*

*

Odwróciło się zwierciadło mej tęsknoty:
— Tyś to sprawił, wietrze jesieni! —
Odwróciło się zwierciadło mej tęsknoty:
Nie przed siebie patrzy —
poza siebie...

Pochód życia, równy morzu bezkresnemu,
Wiecznym rytmem postępuje dalej...

A ja żyłem nie sobie samemu!

Jam — przegubem jednej jego fali,
Co na grzbiecie iskrzy się i pieni,
Lecz choć spada, toczy ją na rzuty nowe...

Więc z pogardą podnoszę swą głowę
Na zwycięstwa twe, wietrze jesieni!
Nie przeraża mnie już pęd twój chyży,
Ni podmuchów twych syczące gady,
Chociaż wdarłeś się do duszy mej — jak w Dziady
Mar korowód pośród drzew i krzyży —
Wietrze zagłady!

(1909.)

TO WIEM.

Nie wiem, do jakich wędruje wybrzeży
Ludzkości nawa przez wieków przestworze, —
Lecz wiem, że wiecznie niewolniczym statkiem
Z czarną u masztu flagą być nie może.

Nie wiem, czy równość jednaka ogarnie
Wszystkich, jak dzieci, z tkliwością matczyną. —
Lecz wiem, że zawsze przemoc i bezprawie
Tej nierówności nie będą przyczyną.

Nie wiem, czy kiedy wyczerpią się do dna
Bólów i cierpień przepełnione czary, —
Lecz wiem: — nie będzie wciąż cierpienia źródłem
Odmienność mowy, plemienia lub wiary.

Nie wiem, jak często światłości i mroku
Zmienia się kolej ponad ludów bytem, —
Lecz wiem, harmonji wszelkich zjawisk świadom,
Że się noc każda musi kończyć świtem.

Wiem, że jabłonie zakwitną po zimie
Kwiciem jabłoni, a wiśniowem — wiśnie, —
Choć nie wiem, kiedy — w łzach oczekiwana —
Nad moim sadem znów wiosna zabłyśnie.

Nie wiem, jednostki bywa-li udziałem
Zabiegów swoich owoc rwać dojrzały, —
Lecz trud pokoleń — nie Syzyfa pracą:
Wiem, że swą bryłę wtoczą na szczyt skały.

Nie wiem, czy jeszcze zdobywa wąwozy
Szarż Somosierskich junacka zuchwałość, —
Lecz niema takich niedostępnych wirchów,
Gdzie nie dosięgnie rozumna wytrwałość.

I wytrwałości tej w pielgrzymce bratniej
Słowo nadziei ślę i liść wawrzynu...
...Nie wiem, czy Słowo rozrywa łańcuchy,
Lecz wiem, że ono jest pochodnią Czynu.

(1909.)

ZAJRZ TAM, POD ZIEMIĘ!

WSTĘP DO POEMATU
„W KOPALNI WĘGLA.”

Zajrz tam pod ziemię, o piewco
Swobody, słońca, lazurów,
Gęźbiarzu miłosnych wtórów,
Piękna rozsiewco!

Nad czarną czeluścią zgrozy
Jakiemi zwiążesz powrozy
Kunsztowną strofę?

By piekieł odtworzyć życie,
Jakim potrafisz kilofem
Wyciosać w mowy granicie
Celne wyrazy?

I z jaką wyrzucić mocą
Słowa tak ciężkie, jak głązy,
Co — gdy padają — druzgocą?

Tam rozejrz się w tym ciasnym szybie
Gdzie śmierć ze wszystkich stron dybie,
Oplata, ogarnia, ściska,
A nigdzie — tak nagła i bliska!
Gdzie na trud i ludzkie mozoły
Wszystkie czyhają żywioły,
By je zadusić lub zdusić.
Zatopić, stopić, roztopić,
Spalić, zawalić, rozwalić...

Tam spójrz, gdzie ci na dnie ziemi,
Skurczeni, spoceni, niemi,
W kurzawy węglowej chmurze
Grzebią się, by ci na górze
Mogli mieć w każdej potrzebie
Światło i ciepło dla siebie
I dla swych maszyn moc pędną.

A ty, markocisz, poeto,
Gdy kwiaty jesienią więdną!
Drga twórczo harfa twej duszy
Pod tak subtelną podniętą:
Że rankiem lub w nocnej głuszy
Gałązka — choinka czy brzoźka —
Szybę twą muska;
Że gdy deszcz pada, przez okno
Widzisz, jak liście drzew mokną;
Że słońca twarz świeci bladziej,
Gdy zbrzydnie kochanka lub zdradzi...

Czyż tylko to godne pieśni
I w piękno się ucieleśni,
Co *ciebie* cieszy lub gryzie,
I przez to, że *ciebie* dotyka?
Oderwij się, mdły Narcyzie,
Od własnej twarzy odbicia
W wodzie strumyka!
Nie wpatruj się w siebie samego,
Patrz dalej... głębiej... w nurt życia
I przejrzyj, co w nim — wieczystego!

(1913.)

W O J N A .

Więc cię poznałem, o Wojno! Tyś wielka, tyś straszna, Wojno!
Jak nawałnica spadasz na ziemię spieczoną i znojną,
Jak tajfun morzem i lądem wstrząsa twa moc i kolebie,
Gdzie stąpisz, nic się nie oprze, nic nie ostoi, prócz ciebie.

Czoło twe w chmurach, z chmur deszcz grotów ognistych strąca;
Głęboko w ziemi twe stopy brózd sznury ryją bez końca;
Krzyże twych ramion stalowych, wszere rozpostarte jak krata,
Spięły i skuły świat cały od krańca po kraniec świata.
Przed tobą groza i popłoch, jak mrok, co zmysły zasłania;
Za tobą zgliszcza i dymy i męki wyczekiwania.

*

* *

Więc cię poznałem, o Wojno! Tyś wielka, tyś straszna, tyś mocna!
Przedtem zdawałaś się ludziom jak złuda, jak mara nocna.
Gdy dzień twój nastał i wokół zorzą zatoczył się krwawą,
Tamto już snem, a tyś jedna — rzeczywistością i jawą.
Tyś jedna pługiem potężnym, co rolę zakrzepłą kruszy,
By w ludach doorać się prawdy, a w każdym człowieku — duszy.

*

* *

Ale przy tobie wieczyście tych dwoje: mąż i niewiasta,
Niewieście z ramion para szkarłatnych skrzydełk wyrasta,
Naprzód górą szybuje, miecz z laurem w ręku jak świeca,
Usta wołaniem rozwarłe, w iskrach i ogniach żrenica.
Mąż kroczy dołem, milczący, jak siewca z spuszczoną głową,
Jak siewca nad skibą rolną, dłonią porusza miarowo —
Chyłą się przed nim zastępy, czy pierzcha kto, czy zwycięża...

Imię niewiasty to Sława, a Śmierć — imieniem jest męża.

(1915.)

ZMIERZCH MŁODOŚCI.

R O N D A.

I.

Pierzchłaś, jak ptaszę... Daremnie się siłę
Gonić cię wzrokiem, a ja miałem tyle,
Ja miałem tyle ci do powiedzenia!
Teraz przede mną cały świat się zmienia,
Wszystko naokół w szarym widzę pyle.

Pocóż ci było mącić jasne chwile,
W jakieś igraszki bawić się motyle
I raptem, nawet bez słów „do widzenia”,
Pierzchać, jak ptaszę?

Młodości moja! za tobą się chylę
Nad swą przeszłością w smętku i bezsile
Pod nagłym ciosem twojego zniknięcia...
A może byłem ofiarą złudzenia?
Może mi temu lat już — nie wiem — ile,
Pierzchłaś, jak ptaszę?

II.

Banalny dramat — a sprawa straszliwa
Dla tego, kto ją zkolei przeżywa,
Smutna *comedia del'arte* ludzkości...

Odlotem, kresem lub zmierzchem młodości —
Tak się ten dramat banalny nazywa.

Jeden zeń czyni niesłychane dziwa,
Inny przed sobą samym go ukrywa,
Ale u widzów nie budzi litości
Banalny dramat.

Młodości, jak się rwą twoje przedziwa?
Czy jak ptaszyna umykasz płochliwa,
Czy krok za krokiem schodzisz w grób przeszłości,
Jak ten, co trwożnie stąpa wśród ciemności?
Powiedz, jak twego zmierzchu się rozgrywa
Banalny dramat?

(1927.)

Z EGIPSKIEJ KSIĘGI
„PRZEJŚCIA PRZEZ WIECZNOŚĆ”.

...Przez usta kapłana

Hathora, zmarłych opiekunka, rzecze:
— Którzy na ziemi żyjecie, pomnijcie,
Iż dusze one, co przez bramę Śmierci
Przeszedłszy, ciała swoje zostawiły
W martwocie, — same nie tracą żywota;
Istnieją nadal, a od was zależy,
Przez jakie czasu kręgi istnieć mają:
Bo w mocy żywych leży martwych trwanie.

— Którzy na ziemi żyjecie, to wiedzcie,
Że póki z waszej pamięci nie szczezną
Ci, co umarli, — póki tlić się będzie,
Choćby w pamięci jednego człowieka,
Jakby w kaganku najwątleszy płomyk,
O którymkolwiek ze zmarłych wspomnienie, —
Duch tego żywie — i żyć będzie póty,
Dopóki płomyk ów, przekazywany
Z głowy do głowy i z serca do serca,
Czy przez ród jeden, czy przez ludy całe,
Nie zgaśnie, — póki cień wspomnienia o nim
Jak mgła poranna, tak się nie rozproszy:
Bo w mocy żywych leży zmarłych trwanie.

Taka jest wasza potęga, żyjący!
I większa jeszcze, bo nie samo trwanie
Dusz zmarłych — wieście! — lecz i stan ich trwania
W bólu i męce lub w błogiej radości
Od was zależy... Bo pan, czy niewolnik,
Wielki Faraon, kapłan, czy trzód pasterz,
Gdy po swym zgonie — wspomniany wdzięcznie,
Trwać będzie w szczęściu...

Ale biada duszy,

Która po wyjściu z powłoki cielesnej
O nieprawościach swych, zbrodniach lub krzywdach
Za życia — czarną wyłobiła brózdę
Choćby w poczuciu jednego człowieka.
Biada! gdyż póki ta brózda czernieje
W czyjejs pamięci o nim, — cierpieć będzie!
Bo w mocy żywych leży zmarłych trwanie,
Bo w mocy żywych — błogość ich lub męka.

(1929.)

VI

NA PERONIE.

(1888.)

O B R A Z E K.

Matce mojej.

Wyjeżdżał gdzieś daleko aż do stóp Uralu,
Walki o byt losami pędzony surowej,
I wyjeżdżał na długo; — przy nim, pełna żalu,
Stała matka starszka w czarnym stroju wdowy,
Co żalobnie odbijał od siwego włosa,
Potęgował boleści wyraz w bladej twarzy
I w oczach, które kryła łez tajonych rosa.

Koło nich było tłumno: — szeregi tragarzy,
W krótkich niebieskich bluzach, — spoconych i zgiętych
Pod ciężarem pakunków, jakby juczne muły,
Co przewożą ładunki po wąwozach krętych,
Prędkim krokiem we wszystkich kierunkach się snuły,
Ciągąc za sobą ciężbę pstrą i rozmaity
Podróżnych, co przez stacji podwoje oszklone,
Jak woda, wzbierająca nad rzeki koryto,
Wylewała się, dążąc w tę lub ową stronę.

Koło nich było gwarno: — tętent stóp tysiąca,
Pędzących po asfalcie, skrzyp tacek z paczkami,
Łoskot drzwiczek, gwałtowną zamykanych dłonią,
Ów głuchy łoskot drzewa, co o drzewo trąca, —
Wszystko to się zlewało z ludzkimi głosami,

Z tą gamą słów, krzyków, brzmień, któremi dzwonią
W chwilach silniejszych wzruszeń biedne ludzkie krtanie,—
Słychać było śród gwaru śmiechy i szlochanie,
Odgłosy pocałunków, łajania, rozkazy...
Wtem dzwon zadźwięczał, przycichł i zabrzmiał dwa razy.

— „Mateczko! już cię muszę opuścić, bądź zdrowa!”
— „Żegnaj, dziecko jedyne, niech cię Bóg uchowa
„I błogosławi wszędzie z niebieskiego tronu.”
Młodzian, ucałowawszy drżącą rękę matki,
Co go krzyżem znaczyła, szepnął „do widzenia!”
I wskoczył; — za nim drzwiczki zamknięto wagonu,
Lecz on z okna jął patrzeć jeszcze, jak ptak z klatki,
Na matkę, która także, blada ze wzruszenia,
Wlepiła w niego łzami zamglone spojrzenia.

A już pociąg, do olbrzymiej podobny stonogi
Lub węża, gdy roztoczy wszystkie sploty swoje,
Pochłonawszy podróźnej rzeszy zastęp mnogi,
Zamykał swe rozwarte przed chwilą podwoje.
Głowa węża — maszyna — stała nieruchoma,
Jak sfinks z przytulonemi do siebie rękoma;
Lecz wewnątrz jej wielkiego stalowego łona
Wrzało już i czuć było, że ta bryła duża
Wnet zadrga straszną siłą, puści w ruch ramiona
I setki kół pociągnie i pomknie jak burza.
Czasem wstrząsnął powietrze świst przerażający,
A wówczas z niej do góry buchał obłok pary,
Czasem z boków przez różne szczeliny i szpary,
Jak nadmiar sił żywotnych — krople wody wrzącej
Sączyły się i z sykiem na ziemię padały.
A z przodu, niby z twarzy tej głowy wspaniałej,
Dwie latarnie — okrągłe, duże, jakby oczy
Potwora, co w wód głębiach czasem dojrzy człowiek,

Których ni sen nie morzy ani ła nie mroczy,
Oczy martwe, bezbarwne, bez rzęs i bez powiek, —
Szklanemi źrenicami przed siebie patrzyły,
Nieświadome kipiącej poza niemi siły.

*

*

*

A przed niemi — w chmurnego dnia pomroce szarej
Roztaczała się przestrzeń — łąk i pól obszary,
Lasów i gór i stepów pasy nieskończone,
Przez które biegły prosto, ścieląc szlak ze stali,
Dwie równoległe linje, dwie siostry rodzone,
Dla oka gdzieś pozornie łączące się wdali,
Lecz nigdy niezłączone, chociaż zawsze bliskie,
Jak dwa pokrewne duchy, co przez ścieżki śliskie
Żywota jednocześnie dążą obok siebie
Z nadzieją, że się z sobą połączą niedługo,
Lecz nie łączą się nigdy...

Dwie równoległe linje, co powierzchnię ziemi
Garbatą, połamaną, sieciami mocnemi
Pokryły, jak rycerza pancerz z drutu tkany, —
Co przeryniają zbożem falujące łąny,
Wdzierają się w dziewiczych puszczy święte tajniki,
Kędy szumi dąb stary, harcuje zwierz dziki, —
Po łąk modrym kobiercu jak wstęga się ścielą,
Zuchwale się wieszają nad bagnisk topielą
I na żelaznych łukach przeskakują rzeki, —
A potem po płaszczyźnie pustyni dalekiej,
Którą całunem białym śnieg zimą okrywa,
Ciągną się długo, długo, proste jak cięciwa;
To o gór niebotycznych uderzą podnóża,
Jak kula skalne łono przewiercą głęboko,

I w czarne gór wnętrzości zapuściwszy oko,
Mkną dalej, prując w biegu wąwozy, przez wzgórza, —
Czasem w górę się wznoszą w nieprzerwanym pędzie
I jak bluszcz opasują dzikich skał urwiska,
I mijają zawrotne przepaści krawędzie,
Gdzie srebrna twarz lodowców w słońca świetle błyska,
I znowu, jak kaskada, spływają w doliny;
Aż nareszcie się kończą gdzieś na brzegu morza
Lub na granicy jakiejś odludnej krainy,
Kędy cywilizacji ledwie świta zorza.

Dwie równoległe linje — para szyn stalowych,
Łącząca z sobą wielkie ludzkości mrowiska,
Po której śliskich grzbietach, w odstępach miarowych,
Jak krwi szkarłatna fala, co z serca wytryska
I rozplywa się, tętniąc, aż do krańców ciała,
Z hukiem, gwizdem, hałasem, ciskając do góry
Snopy iskier i dymu popielate chmury, —
Ogromne swym ciężarem, lecz lotne jak strzała,
Pędzą długie pociągi, natłoczone rzeszą
Mężczyzn, niewiast i dzieci, z których jedni śpieszą
Z radością i nadzieją po wawrzyny sławy,
Po wiedzę, zyski, zdrowie, rozkosze, uciechy, —
Drudzy, z rozpaczą w duszy — na bój z losem krwawy
Lub na życie tułacze bez kąta ni strzechy.

*

*

*

Syn na matkę spoglądał z wagonu i w głowie
Kotłowało mu myśli niezliczonych mrowie,
Lecz on widział narazie tylko czarną postać
O smutnej bladej twarzy, co musiała zostać
Na starość sama jedna, bez żadnej opieki,

Bez nikogo, co zbliska strzegłby ją, dbał o nią,
Podczas gdy on odjechać musiał w kraj daleki,
Nie wiedząc, czy wczas wróci, by synowską dłonią
Zamknąć jej tyłu łzami zroszone powieki
I grudkę ziemi rzucić na jej stare kości...
Więc żal mu ścisnął serce. Lecz siła młodości,
Drgająca w nim, mówiła: „wrócisz, miej nadzieję,
„Wrócisz rychło, bogaty, matkę znajdziesz żywą,
„I znowu na jej twarzy radość zajaśnieje
„I na resztę dni swoich zostanie szczęśliwą.”

Nieruchoma, jak posąg wyciosany z głazu,
Stała matka, spojrzenia zatopiwszy w synie.
Jeszcze w oknie twarz jego, jak w ramach obrazu
Czarnoksiężskie zjawisko, co wnet z oczu zginie,
Widziała, — lecz widziała raz ostatni może.
— On odjeżdża, — coś wewnątrz niej szeptało. — Boże!
Odjeżdża! i tak strasznie, okropnie daleko,
Jak gdyby nad nim trumny zapadało wieko...
Taki młody! niedawno jeszcze na swem łonie
Pieściła go, a teraz nagle w jakiejś stronie
Nieznanej sam się znajdzie,—w jakimś obcym tłumie,
Gdzie go nikt, nikt nie kocha, nie zna, nie rozumie.
Tam żyć będzie, pracować... ależ taka praca
I starszych i silniejszych od niego zatracą!...
Ileż tam czyha zgryzoł, chorób, a tęsknota
Do swoich niezwalczona, co człowiekiem miota
Jak wicher liściem z drzewa, zerwanym śród burzy...
Komuż tam słowo rzeknie, skargi swe wynurzy,
Gdy go samotność niema porwie w swoje kleszcze?
On umrze tam — szeptały przecucia złowieszcze, —
Umrze!... A może w błocie zagrzęźnie po szyję,
Może rdza otoczenia w duszę mu się wpije,
Jak Harpja wysysie z duszy te miłości zdroje,

Które ona weń wiała, jako w dziecko swoje.
Może zapomni matkę, i inowę... i wiarę...
Przed oczami jej nagle jakieś widma szare
Mignęły: męża, ojca i pradziadów duchy,
Wielkie, blade postacie; — słyszała szmer głuchy
Ich głosów, co mówiły: „to twoja w tem wina,
„Matko! czemuś od siebie wypuściła syna,
„Gdyś mu nie dała woli tak mocnej, tak silnej,
„Jak ten, co nas przytłacza w grobach, głąz mogilny?”

I naraz niemoc straszna ciałem jej owładła,
Chłód przejął, a choć znikły z przed oczu widziadła,
Nie wiedziała, czy stoi we śnie, czy na jawie,
I tylko pustkę jakąś czuła pod piersiami,
Pustkę dziwną, tłoczącą, namacalną prawie,
Co pierś jej gniołła nakształt skorupy lodowej,
I rosła wciąż; — już gardło objęła kleszczami,
I wyżej szła — i oto już dosięgła głowy...
Ocknęła się i w świetle spostrzegła pamięci,
Że pustka nie jest pusta, lecz że w niej się mieści
Bezdenny, bezgraniczny ocean Boleści,
Po którym Furji stado miota się i kręci:
Blade widmo Rozpaczy z powrozem na szyi,
Zwątpienie, nakształt długiej z gładkim grzbietem żmii,
I patrząca oczami bazyliuszka — Trwoga.
Dziki, drapieżne Zmory, co otchłań złowroga
Wszech nędz i wszech utrapień na człowieka zionie.
Wszystkie kołem w jej czaszki wnętrzu wirowały,
Gryzły czaszkę zębami, młotem biły w skronie
I do oczu krwawemi łzami się rzucały, —
Jak wzburzonego morza rozhukane tonie,
Wichru szalonym pędem wparte między skały,
Co, pieniać się, rwą skały, uderzają o nie
I albo znajdą ujście, lub rozsadzą skały...

Lecz znalazło się ujście w matki czaszce starej,
Od dziecka wyłobione, przez żadne zapory
Nie zamknięte w lat długim biegu, — ujście Wiary.
Przez nie modlitwy falą odptynęły Zmory.

MODLITWA MATKI.

I zaczęła się modlić, lecz nie tą modlitwą,
Którą szepcą bezmyślnie nawykłe już wargi,
Gdy duch buja zajęty ziemskich spraw gonitwą, —
Nie tą nawet, co jękiem brzmi gwałtownej skargi,
A kryje wewnątrz siebie zimnego bluźniercę,
W którym modli się tylko myśl, a milczy serce;
Lecz modlitwą poczętą w bezmiernej miłości
Matczynej, co za głosem mknąc wiary mistycznej,
Z każdej mózgu cząsteczki, z szpiku każdej kości,
Z każdego nerwu włókna, jak płyn magnetyczny
Wytryska, ku osobie ukochanej leci,
Myśli jej i uczucia w niewidzialne sieci
Osnuwa, — wszędzie za nią i z nią idzie społem,
I bronią jest i tarczą i stróżem-aniołem.

I zaczęła się modlić — modlitwą, co ciało
I ducha wskrósł przenika palącemi żary.
Wstrząsa niemi i miota, jak łonem Agary
Jęk syna na pustyni, — co istotę całą
Wtłacza w piersi i z piersi znów w górę wypycha
Do ust, do ofiarnego ludzkich ciał kielicha, —
Co w słowa nie ujęta, przez wielkie westchnienie
Wybucha z ust, w wszechświata ulata przestrzenie
I w niebiosą uderza z takiej siłą Wiary,
Że od niebios wyjednać zdolna cudu dary.

O! różne są modlitwy, które na tułaczem
Życia drodze odmawia człowiek-egoista

W chwilach troski, cierpienia, strachu lub rozpacz, —
Ale żadna z nich nie jest tak wzniosła, tak czysta,
I żadna tak szlachetna i żadna tak szczerą,
Jako modlitwa matki! — Więc czy nad kołyską
Dziecka, co z białych osłon jak kwiatek wyziera,
Bujasz, niby jaskółka, szybująca nisko,
Czy jak gniewna orlica, trwożna o pisklęta,
Namiętna, nieprzytomna, rwąca wszystkie pęta,
Wylatasz z wezbranego falą bólu łona, —
Święta matki modlitwo, bądź błogostawiona!

*

*

*

...Wtem dzwonek kolejowy uderzył raz trzeci —
Pociąg drgnął, jakby zwierzę wypuszczone z sieci,
Co próbuje sił swoich po długiej niewoli;
Poruszyły się z brzękiem koła i powoli
Przesuwać się zaczęły przed matką wagony.
Najprzód odbiegł ten, w którym twarz syna widziała,
Potem inne: zielony, żółty, znów zielony,
Coraz prędzej, — ostatni mignął już jak strzała.
I oto w dal szeroką pomknął pociąg żywo,
Jak rumak w stepie, pary potrząsając grzywą.
I znowu przed oczami w pomroce mgły płowej
Legła przestrzeń, a na niej szlak szyn dwulinjowy...

(1888)

ZAMEK LOCKSLEY.

(„LOCKSLEY HALL” ALFREDA TENNYSON’A).

„Comrades, leave me here a little, till as yet is early morn,

„Leave me here, and if you want me, blow upon the bugle - horn.”

Druhy, tutaj mnie zostawcie, póki jeszcze ranny czas,
Tu zostawcie, a chcąc wezwać, niech w róg zadmie który z was.

Tu w tem miejscu, tak jak niegdyś, brzmi wrzaskliwych czajek chór,
Co nad zamkiem Locksley ciągną przez posępny szary bór.

Ponad zamkiem Locksley, który patrzy dumnie w mglistą dal,
Na piaszczysty szlak wybrzeży i na grzbiety sinych fal.

Nieraz nocą z jego okien, nim spocząłem w słodkim śnie,
Bieg śledziłem Oryjona, jak na zachód zwolna mknie.

Nieraz Plejad konstelację ztamtąd wzrok podziwiał mój,
Niby w srebrnej mgle spowity świętojańskich muszek rój.

Tu po brzegu tym błądziłem, karmiąc dum młodzieńczych świat
Mądrych nauk opowieścią i tysiącznych wiedzą lat;

Za mną szereg przeszłych wieków słał się niby żyzny kraj,
A jam chłonał terażniejszość, jak obietnic słodkich raj.

I sięgałem myślą w przyszłość, jak myśl tylko sięgnąć śmie,
I widziałem obraz świata w snów spełnionych cudnej mgle. — —

*

*

*

Wiosną gila pierś się krasi, szkarłat bije z jego piór,
Wiosną płoczej czajki grzebień łśni, jak koralików sznur,

Wiosną u gołąbek świeci żywszy blask na źrenic dnie:
Wiosną serce u młodego do miłości silniej lgnie.

Ona była wątła, blada, jak na taki wczesny wiek,
A jej wzrok z uporem dziwnym za mym ruchem każdym biegł.

Rzekłem jej: „Kuzynko Amy, powiedz, powiedz prawdę mnie,
Wierz mi, jam poświęcił tobie wszystkie życia swego dnie.”

Na jej twarz i białe czoło zszedł rumieńca nagły blask,
Jak na blade niebo nocy purpurowej zorzy brzask.

I zwróciła się, — jej łono drżało, jak łabędzi puch,
Oczy łśniły, jakby ognie w nich rozniecił jakiś duch.

Rzekła: „Kryłam swe uczucia, bo myślałam, że to źle;”
Rzekła: „Kocham cię, kuzynie” — z płaczem — „dawno kocham cię!”

Miłość wzięła miarę czasu, wlała weń swój słodki czar,
Popłynęły nasze chwile, jakby szereg złotych mar.

Miłość wzięła harfę życia, uderzyła w nią, jak w dzwon,
Struny naszych serc zabrzmiały w jeden wielki szczęścia ton.

Nieraz w wieczór na tym brzegu, gdzie przelata stado mew,
Słodki szept jej brzmiał mi w uszach, jak namiętny wiosny śpiew;

Nieraz rankiem tu, w tym borze, gdzie szeleści zcicha chróst,
Dusze nasze się łączyły przy spotkaniu naszych ust...

O kuzynko Amy moja, moja i nie moja już!
O ty ciemny, głuchy lesie! o ty pusty brzegu mórz!

Ha! fałszywa była ona, zdolna do największych zrad,
Była lalką w ręku ojca, służebnicą niskich rad!

Wartoż tobie szczęścia życzyć, tobie, co wzgardziwszy mną,
Chciałaś gdzieś po partję sięgnąć aż na mętnych uczuć dno?...

Ale stało się; już odtąd panem twoim będzie on,
Wszystko wzniosłe w tobie zmrozi, jak wiosenne kwiaty szron.

Żeby stanąć z nim na równi, na dół schodzić będziesz wciąż,
Bo wszak musi wierna żona zostać taką, jak jej mąż.

A on będzie cenił ciebie, gdy miodowy minie nów,
Trochę mniej od swych wierzchowców, nieco więcej od swych psów.

Patrz! wzrok jego nieprzytomny, — czy od wina? Boże broń!
Nie myśl tego, ale idź doń, całuj go, pieść jego dłoń!

Cóż to? jaśnie pan zmęczony, myśli mu się płaczą? Śpiesz,
Śpiesz, dobieraj słów najśodszych, rozweśelaj go i ciesz!

Cóż on na to ci odpowie, — każdy łatwo zgadnie to!...
Stokroć lepiej, bym cię przedtem zabił własną ręką swą.

Byśmy razem spoczywali na mogiły zimnej dnie,
Zdala od tej strasznej nędzy, którą ludzkość życiem zwie. — —

Hańba tym społecznym fałszom, co zadają prawdzie kłam,
Tych wymagań ćmie społecznych, wiecznych dla uczucia tam!

O! przekleństwo tym czczym formom, gwałcicielkom świętych praw!
Temu złotu, co pokrywką jest dla zła i głupstwa spraw!

*

* * *

Wielki Boże! wszak ja bluźnię, bluźnię teraz z winy tej,
Która była tak kochaną, jak nikt w świecie oprócz niej.

Lecz czym warjat, żeby kochać to, co krzewi tylko jad?
Wyrwę z serca, choćby z sercem razem, ten zatruty kwiat.

Tak, wyplenię go na zawsze, choćby szereg moich dni
Był tak długi, jak wiek kruka, co czarnemi pióry lśni. — —

W czym jest ulga? czy w podziale wspomnień? lecz przez jaki cud
Mogę ją oddzielić od niej, i tę kochać, com znał wprzód?

Pomnę jedną, co zginęła, słodki był jej głos i ruch.
Ach! pamiętam ją, wciąż do niej rwie się mój stęskniony duch,

Lecz czyż mogę ją umarłą zwać, w jej miłość wierzyć? — Nie!
Gdy kto kocha, to na zawsze, — ona nie kochała mnie.

O pociecho! marne słowo! prawdą pieśń poety brzmi:
Za koronę wszystkich nieszczęść jest wspomnienie lepszych dni.

Strzeż się wspomnień, żeby ciebie nie zdjął też rozpaczny dreszcz,
W owe długie, martwe noce, kiedy w okno bije deszcz,

Kiedy on, jak pies, o łowach na głos śni; a oczy twe,
Goniąc nocnej lampy cienie, po ścian zimnych błędzą tle.

Wówczas dłoń się jakaś zjawi, wskaże zdala na twe łzy,
Na twe łoże opuszczone, na pijaka, co tam śpi.

„Nigdy, nigdy!” — szepnie zcicha lat minionych błądy duch,
I piosenki dawnej echa przemkną nagle przez twój słuch.

Jakieś oczy dobrze znane przez mgły nocnej wyjrzą cień;
A ty darmo głowę chować i przyzywać będziesz dzień...

Lecz natura da ci ulgę i osłodzi ciężki los,
Małe usta się uśmiechną i zadzwięczy miły głos.

Dziecię, mój ostatni rywal, znów ci spokój wróci twój,
Drobne rączki, pieszcząc ciebie, zatrą w sercu wspomnień rój!

Tak, to dziecię nawet ojca w oczach twych pozbawi skaz,
Bo wpół będzie twem, wpół — jego, wda się pewno w każde z was.

O! już widzę cię, jak stara, krzepka doświadczeniem lat,
W młodocianą córki duszę wszczepiasz zasiew zdrowych rad:

„Tak, uczucia — źli doradcy, — ona o tem dobrze wie;
„Tak, cierpiała sama przez nie!” — O! niech wstyd zabije cię!

Zgiń! — lub nie! — ruń niżej jeszcze, — bądź szczęśliwa! co mi tam!
Mnie do czynów brać się trzeba, bym nie zginął z bólu sam. — —

Ale dokąd mam się zwrócić w takie, jak dzisiejsze, dnie?
Wszystkie drzwi zaparte złotem, tylko złoto wejść tam śmie.

A przed każdą bramą ciżba, a na rynku każdym tłum,
A ja darmo: „co tu począć?” pytam gniewnie własnych dum.

Jakżeby na polu bitwy za ojczyznę zginąć chciał,
Walcząc mężnie w zbrojnych szykach, wśród kul świstu, huku dział!

Ale dzisiaj brzęk gwinei rany cześci goi już,
A narody tylko zcicha szemrzą, chyłkiem ostrząc nóż.

Mamże odżyć w własnym smutku? Więc odrzucę kilka kart.
O, ty stary Ojczy-Czasie, powróć sercu dawny hart!

Niech zatętni tak, jak niegdyś, nim ugodził we mnie cios,
Kiedy w głowie mej przeszłości wszechpółężny huczał głos.

Kiedy rwałem się do życia z całą wiarą młodych lat,
Jak to chłopię, co raz pierwszy z domu ojca wyjdzie w świat

I po drodze śpiesząc nocą, nad stolicą widzi już
Gorejących światła lunę, niby blask promiennych zórz.

Serce jego drga zapalę, chciałby wnet na skrzydłach dum,
Wzlecieć pod te jasne światła, wmieszać się w ten ludzki tłum.

*

*

*

Ludzie, bracia-pracownicy, wciąż snujący nową nić,
To, co dzieje się, jest tylko wstępem tego, co ma być.

Bom ja sięgał myślą w przyszłość, jak myśl tylko sięgnąć śmie,
I widziałem obraz świata w snów spełnionych cudnej mgle.

I widziałem niebo w ogniu, jakby w blasku krwawych zórz,
A na jego tle czerniały rzędy statków wszere i wzdłuż.

I słyszałem, jak w niebiosach biły gromy, huczał grzmot,
A to łoskot był straszliwy od walczących z sobą flot.

Flagi wszystkich państw błyskały przez obłoki gęstej mgły,
A na lotnych wiatru skrzydłach echa walk po świecie szły.

Wreszcie flagi pozwijano, ucichł gwar wojennych ech
W państwach powszechnej Federacji, w Parlamencie ludów wszech.

I przestały ziemią rządzić przemoc albo ślepy traf,
I usnęła słodko, cicho, pod osłoną świętych praw...

Tak marzyłem, zanim przenikł namiętności pożar mnie,
Nim zostawił z wyschłym sercem, z okiem, które żółcią tchnie.

Z okiem, dla którego wszystko strupieszale, zgaśle, złe;
Nawet wiedza — pełnie tylko przez zwątpienia mroczną mgłę

I potrzasa nad księgami siwą głową wtył i wprzód,
Podczas gdy, jak lew zgłodniały, wciąż naciera silniej lud.

Lecz nie wątpię, że zaświeci kiedyś zorza lepszych lat,
Że widnokrąg myśli ludzkiej ponad słońca sięgnie świat.

Ale cóż to znaczy temu, który za młodości dni
Tylko smutek znał, choć także i w nim żądza szczęścia tkwi...

*

*

*

Wiedza rośnie, ale rozum marnie tęskni, tak jak ja;
Świat się zwiększa i rozszerza, lecz jednostka w bólu trwa.

Wiedza rośnie, ale rozum smętny strasznie niesie plon,
Że jedyne szczęście — spokój, a jedyne spokój — zgon. — —

Hej! wezwijcie mnie już, druhy! niech róg znak powrotu da!
Wiem, że mnie od wzgardy waszej strzegła tylko miłość ma.

Lecz jam wzgardy godzien, — poco na zbutwiałych strunach gram?
Dziś, zem kochał twór tak płochy, wstyd swój dobrze czuję sam.

Ale precz z tem! do niewiasty trzeba mieć niewieści żal.
A kobieta — to łódź chwiejna, mknąca wśród życiowych fal;

Jest to dziecko, jej pragnienia wobec siły męskich żądz,
To jest woda wobec wina, błady księżyc wobec słońca!

*

*

*

Tu więc darmo ulgi szukać. — Ach! a gdyby wrócić mnie
Nad brzeg Indu, gdzie przepędził pierwsze życia swego dnie.

Kędy w bitwie pod Mahrattą mój nieszczęsny ojciec padł
I zostawił mnie sierotą, bez opieki rzucił w świat.

Albo, wbrew zwyczajom wszystkim — powędrować dalej... tam,
Na podzwrotnikowe wyspy, aż do złotych słońca bram,

Kędy większym żarem płoną gwiazdy na lazurów tle,
A palmowe gaje kwitną, w czarodziejskim toną śnie,

Kędy oko nie spostrzeża ani żagli, ani flag,
Tylko nad lustrzaną falą przelatuje cicho ptak,

Tylko wiatr kołysze szczyty umajonych kwieciami drzew...
O wy, wiecznej wiosny wyspy! kraśne córki rajskich stref!...

Tam rozkoszniej życie płynie, niżli tu, gdzie wrzask i zgrzyt,
Gdzie na rynkach, placach, drogach, wszędzie walka wre o byt.

Tam namiętność wolno buja, nie zna, co to sieć lub mur.
Tam pojedę i za żonę pojmem jedną z dzikich córek.

Moje dzieci silne, zręczne, nosić będą nóż i łuk,
Dzidą godzić będą w słońce, przez strumieni skakać smug,

Tropić po dziewiczych lasach będą zwierza chyży krok,
A nie ślęczyć nad księgami i wyteżać darmo wzrok! — —

O szalony! znów marzenia! — Mamże zniszczyć wieków trud,
Cenić dzikich barbarzyńców wyżej nad chrześcijański lud?

Jakto, mam się bratać z nimi, mieszkać wśród ich nędznych leż
I mieć tylko te uciechy i te troski, co zna zwierz?

O szalone moje słowa! Czyżbym już tak nisko spadł,
Ja, syn czasu pierwotny, dziedzic tyłu sławnych lat, —

Ja, co wolałbym stokrotnie, by wyginał ludzki ród,
Niżby ziemia stanąć miała, jak przez Jozuego cud?

To odległość ludzi tylko. — Tu potrzeba walczyć nam,
Niechaj ludzkość się nie cofa od postępu złotych bram!

Niech przez mrok i cień wciąż kroczy tam, gdzie jasne światła lśnią:
Lepiej sto lat Europy, niżli Azji wieków sto!

*

*

*

Ojcze Czasie! (swęgom nie znał) ty mi dziś z pomocą śpiesz,
Przewróć góry i zgłęb morza, gromy porwij, słońca zmierz!

O! już czuję, że do lotu znowu duch się zrywa mój,
Że znów w głębi mego łona bije dawnych natchnień zdroj.

Co bądź będzie, zamku Locksley, ty na zawsze bywaj zdrów!
Mogą runąć twe posady, — to nie zmąci moich snów...

Pędzi obłok ku wybrzeżom, czerni się na niebios tle.
Wichry pod nim wkrąg wirują, w jego wnętrzu burza wre.

Niech wyzienie nad tym zamkiem gromy, deszcze, śnieg czy grad,
Bo już powiał wiatr od morza — i ja dalej ruszam w świat.

(1887)

ŚMIERĆ NADZIEI.

Pamięci Ojca mego,
który nigdy nie tracił nadziei...

Słaniająca się, blada, tracąc z każdym krokiem
Resztki sił, — gdzieś w kotlinie nad górskim potokiem
Osunęła się, cicha, na zbladłe, jak ona,
Z ułudy barwnych kwieci utkane kobierce, —
Zdradliwa — a jak matka tuląca do łona,
Bez serca, — a zwodząca przecie każde serce, —
Nadzieja, wróżka wabna, wieczna zalotnica.

Umierała... Poblady już rozkoszne lica,
Zkąd słodkie ukojenie w każdą duszę sływa;
Zniknął uśmiech, którego pogoda pieściwa,
Cenniejsza niż słoneczne promienie dla świata,
Przestrzela mrok rozpaczy, płoszy zwątpień cienie.
Czasem oddech leciuchny z ust jeszcze wylata,
Jeszcze błysnie z pod powiek przymkniętych spojrzenie,
A chociaż już zamglone — taka jego władza,
Że gdzie sięgnie, tam zwiędły wnet kwiat się odmładza,
I podnosi z darniny pochyloną głowę,
Tam na chwilę topnieją kryształły lodowe
I płakać poczynają kroplami z opalu,
Jakby łzami rozstania, jakby łzami żalu.

Czy zwróciły się ku niej śmiertelnemi groty
Ostrza zawodów ludzkich, co na nitce złotej,

Wysnutej z jej warkocza, wiszą nad głowami,
A które jej olśnienie przed wzrokiem zasłania,
I zanim nic się zerwie, bezpieczeństwem mamie?...
Może ją zatrul gorzki jad rozczarowania,
Co słodyczą jej własne zaprawiały dłonie?
Może, węzowym splotem objawszy za szyję,
Zdławiły ją tych pragnień niespełnionych żmije,
Lęgnące się powoli na jej zradnem łonie?
Może, widząc przed losem bezsilność swą całą,
Zgasta z żalu... i oto Nadziei nie stało!

Nagle dreszcz jakiś przebiegł wśród całej natury:
Nic nie wie, a zadrżała dziwnym niepokojem.
Drgnęły wód morskich tonie, skał kamiennych mury,
Co załękłe doliny groźnych oblicz rojem
Otaczają, — potężniej, szczelniej się stłoczyły.
Łód, co twardą powłoką ścina żywe zdroje,
Jak gdyby utrwalenie poczuł mroźnej siły,
Zakrzepł trwarciej i mocniej ścieśnił węzły swoje.
Łańcuchy brzękły same, pękło niespodzianie
Serc kilka, tysiąc liści opadło przedwcześnie;
Wiatr, co szumiał po lesie i zwykłe swe granie
Niósł po węglach i strzechach, zajęczał boleśnie
I zawył tak okropnie, jakby wołał: biada!

Pierwszy, kto ten niepokój dopatrzył wśród świata, —
Był mędrzec, co zjawiska wszechistnienia bada
I nad praw ich poznaniem długie strawił lata.
Mędrzec o wzroku orlim, a sercu z kamienia,
Co przez czasu otchłanie, przestrzeni bezmiary
Przechodzi i rozświetla tajemnic pieczary,
Krocząc zwolna, lecz pewnie, twardym wiedzy szlakiem.
A kroczy bez litości, żalu, rozrzewnienia,
Z jednakim wciąż spokojem, z uczuciem jednakiem,

Nowe gromadząc prawdy, jak nowe zdobycze. —
Oto przybył... i spojrział w Nadziei oblicze.

I stała się rzecz dziwna: mędrzec niewzruszony,
Co bez śladu łez w oczach zbadał nędż miljony,
Co bez dreszczu rozwijał ludzkich cierpień zwoje,
Tu po raz pierwszy w życiu rozdarł szaty swoje
I zapłakał...

Tymczasem nieznanego ciosu
Świadomość mrowia ludzkie przenika powoli...
Gromadzą się i trwożni — wielką tłumną rzeszą
Do mędrca po wyznaniu strasznej prawdy śpieszą.
Łachman ledwie pokrywa wychudzone ciało.
Przybyli, z ust spieczonych dech bucha kłębami.
— „Mistrzu! — krzyczą — tu jakieś nieszczęście się stało!
Ty płaczesz! ty, coś nigdy nie płakał nad nami.
Jakież cios w nas uderzył, mów! Ta postać w bieli
Co znaczy?” — Mistrz wznosił głowę: — „Wyście powiedzieli” —
Zawoła — biada! biada!” — Po chwili milczenia,
Zmierzywszy tłum dyszący łzawemi oczyma,
Głosem, co wstrząsnął tłumem, jak grom potępienia,
Rzekł: — „Nadzieja umarła! Nadziei już niema!”

Rozległa się wieść straszna wśród górskiej kotliny,
Złowrogiem echem skałom odbiły ją skały.
Jak lawina na niższe runęła doliny,
Potem na równin szlaki zbiegłszy pędem strzały,
Stoczyła się do morza. Od powierzchni morza
Uderzyła ku szczytom aż w niebios przestworza
I znów spadła na ziemię nakształt meteoru.
A tu w sercu każdego żyjącego tworu,
Od najlichszego płazu do władzy olbrzyma,
Zabrzmiało jak przekleństwo: „Nadziei już niema!”

I świat zaległa cisza, jaka nad mogiłą
Bywa, kiedy koło niej zamilknie pacierza
Szept ostatni. Na pozór nic się nie zmieniło,
Tylko fala, co wiecznie gdzieś dąży, gdzieś zmierza
I nie zna odpoczynku o żadnej godzinie,
Stanąła, bo już nie wie, czy dokąd dopłynie.
Tylko wiatr zwinął skrzydła i swe rączę loty
Powstrzymał, bo już zwątpił, czy dokąd doleci.
Tylko słońce tak tęsknie, tak smutnie zaświeci,
Tak żałośnie za chmury kryje krąg swój złoty,
Jakby straciło wiarę, czy jutro znów wstanie.
I tylko w myślach ludzkich wszelkie spodziewanie,
Pragnienie i dążenie, ufność i otucha
Zastygły, jakby przyszłość noc objęła głucha,
Jakby ludzkość zawisła nad przepastną głębią,
Gdzie groźne skał urwiska ponuro się zębą,
Żaden błysk nie dochodzi ni z dna, ni od szczytu;
Gdzie grzmotem przerażenia huczy zrab kamienny,
A duch zarówno zwątpił w rozpacz bezdennej,
Czy przed nim nieśmiertelność, czy otchłań niebytu...

I tłum stał skamieniały, niemy, w ziemię wryty,
Jak ten, co niespodzianie u nieznanej płyty
Grobowej przystanąwszy, wyczytuje imię,
Imię, którego dawno nie wymawiał może,
Lecz nie zapomniął, — ono na dnie serca drzemie
I budzi się niekiedy w największym potworze, —
Imię kochane, święte — Matki-rodzicielki.
Więc czuje, osłupiały, ogrom ciosu wielki,
Ale głosu wydobyć nie może, ni szlochu,
Stoi, jak garść marnego, zmiażdżonego prochu.

Nagle!... Czyby wiatr świeży powiał nad głów falą?
Wznoszą się głowy, szuka spojrzenie spojrzenia,

W oczach przestachu wyraz w radosny się zmienia,
Słowa tłoczą się do ust, usta ogniem palą, —
Wreszcie głosem tak wielkim prawie, jak głos Boga,
Wybucha niespodzianie tłum przed chwilą niemy.

— „Mistrzu! Tyś się omylił! Próżna twoja trwoga,
„Nadzieja nie umarła, skoro my żyjemy!
„Ona umrzeć nie może... Patrz!...”

Z głębi parowu

Postać w bieli powstaje... wzlatuje... I znowu
Nadzieja tak, jak światło rozsiane w błękiecie,
Dosięga i przenika wszędzie, gdzie jest życie.

(1896)

CZAS-GRABARZ.

Gdy tok życia się zmienia, dni ubiegłych wspomnienia
Z dziwną tłoczą się siłą,
Jak opary na łące, podnoszą się płynące
Widma tego, co było.
W oczach duszy stęsknionej — cały okres miniony
Na nowo się odtwarza,
Jakby płótno szerniało, w którym farby spłowieało
Odświeża dłoń malarza.

I żal za serce bierze po tej skończonej erze,
Błyszczącej zza obłoku;
I przeszłości tej szkoda, co spłynęła jak woda,
Bystra woda w potoku.
Różne były w niej chwile — różnobarwne motyle,
Lecz się z lotem ich zżyło,
A przyszłości oblicze — niepewne, tajemnicze,
Kto wie, co w sobie skryło...

Próżno człowiek się smuci: co minęło — nie wróci,
Choćby kochał najtkliwiej,
Co czas-grabarz pogrzebie, tego sam Bóg na niebie
Nie wskrzesi, nie ożywi.

(1912)

TRZYMAJ SWĄ BOLEŚĆ W KARBACH!

Pamięci mego syna Józefa.

Trzymaj swą boleść w korbach, w korbach najsurowiej,
Trzymaj, jak ptaka w klatce, choćby najokrutniej.
Niechaj się domyślają, lecz niech nikt nie powie:
„Jak ci ludzie nieznośni, że tak głośno smutni.”

Płacz po swych utraconych tylko w samotności,
I wtedy przed szlochaniem zagryzaj swe wargi,
Tłum zewnętrzne wybuchy nad sobą żałości,
Nie roztkliwiał się próżno przez jęki i skargi!

A nie myśl, że to maska, którą wkłada pycha,
Lub chęć, by ból zgasł rychlej, jak płomień duszony.
Przeciwnie! Bo najtrwalsza bywa boleść cicha
I najdotkliwszy smutek — w milczeniu znoszony.

(1928)

CHOĆ WŁOS OJCA ZBIELAŁ...

(Z dramatów lotnictwa.)

Pamięci mego syna Kazimierza.

Oderwał się od ziemi... już wzbija się wysoko.
Oderwał się od ziemi... już graży się w obłoku.

Pomknął, by dla człowieka podniebne podbić światy,
Arcytwór myśli ludzkiej, kunsztowny ptak skrzydlaty.

Przeszywa toń powietrzną i zwały chmur nawyłot,
Prześciga wiatr ta trójca: — skrzydliska, motor, pilot.

Cześć im i cześć ludzkości w jej pędzie niedościgłym!...
...Ha... Patrzcie!... Coś się stało z motorem czy ze śmigłem?...

Ptaka spada...

spada...

runął!

Bóg wie, czyją to winą...

Maszyna roztrzaskana, a lotnik? — lotnik zginął...

Nic to! — Niech nowi lecą z odwagą nieulękłą,
Choć gdzieś włos ojca zbielał, a serce matki pękło.

(1936)

CHOC WŁOSZCZYŃSKA

Włoszczyzna to jest...
Ciekawostki...
Włoszczyzna to jest...
Ciekawostki...
Włoszczyzna to jest...
Ciekawostki...

NA ŚMIERĆ JANA MATERKI

Wszak Jaa nie żyje! Liliś! Jaa nie żyje
Dziś już nie żyje, co zwiadczyś mi
O pójściu Ono, o chwyceniu wycieczki,
Gdzie smutny jest, gdzie...
I wpełnia z nami to...
O wiec kady, kady...
Głęboko i mocno...
Co słysze...
W...
W...
Jaa...
W...
Wy...
Co...
Najlepiej...
Tak...
Liliś...
W...
On...
P...
O...
W...
G...
D...
I...

NA ŚMIERĆ JANA MATEJKI.

Mistrz Jan nie żyje! Zasłoń jasne lica
Genjuszu sztuki, co świecisz ludzkości!
O polski Orle, z chmurnych wysokości,
Gdzie smutny bujasz, zleć jak błyskawica
I zapłacz z nami tu nad mistrza trumną!
O łuku każdy, arkado, kolumno
Świątyń i zamków całej polskiej ziemi,
Co stoją jeszcze lub runęły w pyle,
W pyle i w gruzach, — nad zwłokami temi
W kir się obłóćcie! Przy świeżej mogile,
Jak służebnice wierne, jako kwiaty
Wkoło rozścielcie się równianką smutną,
Wy — barw ognistych łuny i szkarłaty,
Co mistrz rwał z tęczy i ciskał na płótno
Natchnioną dłonią! Wy linje i cienie
Tak niepochwytne, jako ducha drgnienie,
Linje, przez które twarzy się użycza
Wyraz wewnętrznych walk i żądź bez miary, —
Gniewu, miłości, rozpaczy i wiary,
Pychy i skruchy, radości, tęsknoty...
O, złączcie razem wasze dziwne sploty
W wieniec tryumfu ponad mistrza głową,
Bo on was ujął, jak wieszcz lotne słowo,
Przez was tajniki serc ludzkich wyrażał
I życie w ludziach, jak Twórca, odtwarzał.

*

*

*

Mistrz Jan nie żyje. — Jego dzieło żyje!
Przez pole sztuki przemknął, jak zwycięski
Hufiec przez błonie, lecz on nie niósł kłęski,
I w piersi grotem nie godził niczyje;
Przeszedł jak burza, lecz za nim szło słońce,
Szło słońce Piękna, wciąż przygasające,
Wciąż przez genjuszów znowu rozpalane.
On słońcu temu wydarł promień nowy
I smugi jego skierował świetlane
Na mroczne głębie przeszłości dziejowej.
Rozwarł grobowców spleśniałe podwoje,
Rozświetlił szatni wnętrza i zbrojowni,
Pieczęci brózd, pergaminów zwoje,
I mgły rozproszył ze zwycięstw widowni.
Z ruin, ze szczątków, z tego, co się kruszy,
Brał formę sobie, a dla formy — duszy
Szukał i znalazł w dziejów sławnych księdze,
W miłości kraju, w natchnienia potędze!

*

*

*

I spójrzcie! Oto przed zdumionym wzrokiem
Jakie się z grobów podnoszą postacie!
To boju szykiem, to spokojnym krokiem,
W zbroi, habicie lub godowej szacie,
Idą, harcują, walczą albo radzą.
O mistrzu, jakąś obdarzon Ty władzą!
Gdzie proch był marny, — mieni się pas lity.
Błyszcza atłasy, płoną aksamity;
Gdzie krew zakrzepła — znów krew łśni posoką;

Gdzie złoto zgasło, — znów nęci blask złota.
Z ciał, twarzy trupia opada martwota,
Prężą się żyły, ogniem tryska oko,
Wszędzie, miast śmierci, znów się budzi życie!
A my olśnieni wołamy w zachwycie:
„To z mogił nasi powstali przodkowie!”
A obcy każdy wstrzyma się i powie
Na widok owych wspaniałych postaci:
„Patrzcie, jakimi byli ci Sarmaci
„W te dziesięć wieków, gdy w wolności żyli
„I pierśią własną wiernie nas bronili
„Od hord najeźdźczych wciąż płynącej toni.
„Dziś ich poznałem dzięki mistrza dłoni,
„Wielki to naród, chociaż nieszczęśliwy!”
Tak, nieszczęśliwy naród, ale żywy,
Gdy takich mężów miał i takie czyny,
A dziś ma mistrzów takich, co wawrzyny
Zwiędłe wskrzeszają w blasku sztuki świętym,
Dla wszystkich drogim, przez wszystkich pojętym.

*

*

*

Jasna i prosta była mistrza droga:
Miłował prawdę — więc prawdę malował,
Wierzył, więc wiary nie krył i nie chował
I w dziełach swoich znać rękę Boga.
Kochał swój naród, — więc nie żółci czare
Rozlał przed Jego widnokręgi szare,
I nie upajał go greckiej pogody
Pięknością samą, co jest oku miłą,
Lecz wolę miękczy, — nie nęcił przyrody
Bezduśzną światel grą. On z prawdy siłą,
Z potęgą formy, co wielbi świat cały

Brał z dziejów jego karty pełne chwały,
Które narodu skroń wieńczą, jak dżadem,
I są dlań chlubą, otuchą, przykładem...

*

*

*

Więc dziś, gdy śmierć Cię od nas porwała,
Uniosła w duchów świat,
Twa sława, mistrzu, hen! aż do nieba
Za Tobą pójdzie wślad.

Święty Stanisław, Patron narodu,
Sam spotka Cię u wrót,
Z ust księdza Skargi znów na cześć Twoją
Słów wieszczych spłynie miód.

Przyjmą Cię męże, z którymi myślą
Za ziemskich żyłeś dni,
Królowie Polscy w złotych koronach,
Tak dobrze znani Ci.

I wzniesie Zygmunt August nad Tobą
Unji Lubelskiej krzyż,
I Zygmunt Stary uderzyć każe
W swojego dzwonu śpiż.

Jan Trzeci z dumą pokręci węża,
Jak gdy pod Wiedniem stał,
Witołd miecz ujmie, jak pod Grunwaldem,
Na wrogów pędząc wćwał.

Królowe nasze uśmiech Ci dadzą,
Ten — z szczęsnych swoich lat
I Orleańska rzuci Dziewica
Do stóp Twych lilji kwiat.

Przyjdą Hetmani i Wojownicy
W kontuszach, deljach pstrych,
W pancerzach lśniących, a sam Kościuszko
Na czele stanie ich.

Stanie w kurzawie pól Raclawickich
Śród zbitych ludu mas,
A za nim szabli, konfederatek
I kos błyszczących las.

I wstaną męże wielkiego serca,
Wspaniałych, wzniosłych dum,
Marszałek Sejmu, a z nim radosny
Trzeciego Maja tłum.

Rejtan do Twojej przyciśnie piersi
Tę pierś szlachetną swą;
Stańczyk kraj szaty całować pocznie
Z wdzięczności świętą łzą.

Długosz Twe imię na wieki wpisze
Do sławnych dziejów ksiąg;
Mędrzec z Torunia to imię wliczy
W słońce sztuki złoty krąg.

I przeprowadzą Cię męże owi
Przez krwawych mogił wał,
Tam, gdzie smutniejsze duchy się gnieźdzą,
Jak orły pośród skał.

Tam wieszczów trójca powita Ciebie,
Wyciągnie bratnią dłoń,
Adam koronę z lauru i cierni
Na Twoją włoży skroń.

I rzeknie: „Mistrzu formy przeczystej,
„Ducha, co wiecznie trwa,
„Bądź z nami! niechaj przy naszych piórach
„Paleta spocznie Twa!

„Boś Ty był wielki w Sztuki krainie,
„Którą świat cały czci.
„I byłeś wielkim synem swej ziemi:
Z Twych dzieł jej chwała lśni!”

(15 Listopada 1893)

DO GOŚCI — POETÓW.*)

Mości panowie i goście łaskawi!
Na waszą piję cześć, za wasze zdrowie
I na podziękę wam.

Ten dzień zostawi
W pamięci mojej, w sercu mem, panowie,
Ślad niezatarty. Wśród wrażeń zamieci,
Które, zaledwie powstaną — już znikły,
Jest to dzień dla mnie i zaszczyt niezwykły:
Dziś gośćmi mymi są polscy poeci!

Polscy poeci! Odkąd w ostre kleszcze
Wzięta myśl polska i wola i mowa,

*) W ostatniem dziesięcioleciu XIX wieku grono poetów, przebywających w Warszawie, zbierało się kolejno u siebie mniej więcej co miesiąc. Na tych zebraniach odczytywano nowe utwory i dyskutowano o sztuce. Nazwano ich „Kołem Parnasistów”. Na zebrania te uczęszczali: Stanisław Krzemiński, Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), Jan Zacharjasiewicz, Kazimierz Kaszewski, Julian Adolf Świećicki, Aleksander Kraushar, Kazimierz Gliński, Kazimierz Julian Jasiński, Antoni Pilecki, Andrzej Niemojewski, Edmund Bogdanowicz (Bożydar), Władysław Bukowiński (Selim), Marjan Gawalewicz, Józef Jankowski, Or-Ot (Artur Oppman), Edward Stoński, Ignacy Baliński, Zdzisław Dębicki, Jan Nitowski, Józef Waśniewski; niekiedy St. M. Rzętkowski, Jan Gadomski, J. Komierowski (Pomian), Lucjan Rydel, Ferdynand Hoesick i kilku innych.

Dziwić się trzeba, że istnieją jeszcze
Wśród nas ci mistrze natchnionego słowa...
Śnieg pokrył pola, żaden zdrój nie płynie,
Strasliwa zima skuła świat w okowy,
A tu słowiki śpiewają w gęstwinie,
Skowronki nucą, jak w ranek majowy...
A tłum powiada: ta rzesza skrzydlata
To niedobitki minionego lata,
To na wymarcie skazana gromada,
Więc przecz ich słuchać? — Mylnie tłum powiada.
Nieprawda! Wiosny to nowej zwiastuny,
Co przez stal lodów, przez śniegów całuny
W ojczyściej mowy własnej, świętej szacie
Głoszą ludowi: my trwamy — wy trwacie!
Nie lekkomyślne to, lecz wierne dzieci,
Co strzegą ognia, nim słońce zaświeci...

Bo nie jest wieczna zima, w której hoży
Słyszać skowronka śpiew przez śnieżne błonie;
Bo żyje naród, na którego łonie
Pieśniarz pieśń snuje, a poeta tworzy.

(18 kwietnia 1896)

DO BOLESŁAWA PRUSA.

(W dwudziestą piątą rocznicę działalności pisarskiej)

Czarnemi głoski na szarym papierze,
Powszedniem, zwykłym, drukowanym słowem,
Z hetmanów pióra jeden dank dziś bierze
Po pasmie walk ćwierćwiekowem.

Ten skromny wieniec kładziem mu na czole...
Lecz ty wiesz, Prusie, że dań to nie marna:
Bo szary papier wszak to twoje pole,
A czarne głoski — twe ziarna.

Bo w jędrnym słowie żyje myśl skrzydlata,
A ty wiesz, Prusie, jaka jest potęga
Myśli, co z głowy natchnionej wylata
I tam, gdzie mierzy — dosięga.

Tys w nas dosięgał wielekroć, — my chcemy
Choć raz tym hołdem sięgnąć w serce twoje,
A z nami legjon, wdzięczny, chociaż niemy,
To czytelników twych roje.

*

*

*

Więc w ich imieniu składamy ci dzięki,
Żeś sztandar myśli dźrzyzył dłonią chrobrą,

Żeś głowy swojej nie szczędził ni ręki
W pracy o prawdę i dobro.

Żeś uczciwości gościńcem przez życie
Szedł prosto, gardząc bocznymi drogami,
Wyznając zawsze, że nie zła wykrycie,
Ale zło samo już plami.

Żeś umiał krześć przedziwną wymową
Śród miast zaułków i przez polne miedze
Prawdę, co wiecznie, jak miłość, jest nową: —
Przez pracę, cnotę i wiedzę!...

Żeś widział postęp nie w waśni jałowej
Klas i pokoleń śród oskarżeń zgrzytów,
Ale w spajaniu społecznej budowy
Od fundamentów do szczytów.

Żeś cenił wyżej nad lśniące marmury
Cegłę i wapno, strój prosty nad szczy, —
Żeś wciąż ostrzegał przed pawimi pióry
Zbytku, próżności i pychy.

Żeś był dla swoich na każdy blask chciwy,
Co krzepi duszę lub oświeca czoła,
Lecz z obcych kwiatów tylko miód prawdziwy
Niosłeś do ula, jak pszczoła.

Żeś nas goryczą nie poił jedynie,
Smutkiem ni żalem, lecz łań zdroj pociechy,
Żeś nad łez falą, co po świecie płynie,
Rozsiewał jasne uśmiechy...

*

*

*

I dalej, dalej myśli nasze biega,
A nowym laurem skroń się twoja wieńczy
Za nowe strugi natchnienia twojego,
Co błyszczą barwami tęczy.

Za te obrazy i za te postacie,
Za mrowisk ludzkich mistrzowskie odbicie,
Któreś odtworzył w powieści swych szacie,
Ruch im nadając i życie.

Wspomnę o kilku, — nie czyn mi wymówki,
Bo tak mi dobrze, gdy przestaję z nimi. —
Więc dzięki tobie za chłopca z „Placówki”,
Co strzeże matki swej ziemi.

I za ten cudny kwiat jabłoni białej,
Co w dziewic naszych wynalazłeś sadzie,
Miękki jak puchy, czysty jak kryształy, —
Za dziewczę słodkie, za Madzię.

Za tego męża z dwóch epok przełomu,
Co lot miał orli, a serce gołębie,
Za druha jego, co mimo pogromu
Na swych nadziei trwał zrębie.

I za ten obraz w starożytnej ramie,
Gdzie ludzkość cała tłoczy się w pstrym tłumie,
Jedna głów fala o drugą się łamie,
A tonie ta, co mniej umie...

*

*

*

Czarnemi głoski na szarym papierze,
Powszedniem, zwykłem, drukowanem słowem,

Z hetmanów pióra jeden dank dziś bierze
Po pasmie walk ćwierćwiekowem.

Ten skromny wieniec kładziem mu na czole...
Lecz ty wiesz, Prusie, że dań to nie marna:
Bo szary papier wszak to twoje pole,
A czarne głoski — twe ziarna.

Ćwierć wieku jeszcze — a zaszumią kłosy;
Przez miast zaułki, przez zielone miedze
Chór dźwięczny, zgodny, popłynie w niebiosa:
Przez pracę, cnotę i wiedzę!...

(1 stycznia 1897)

PAMIĘCI JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

Jak często myślą — innej doby dzieci —
 Ku pierwszej wieku biegniemy połowie,
Gdy po szeregu jałowych stuleci
 Świat znów się w swojej przekształcał budowie,
I ku tym mężom, których pamięć świeci
 W dziełach i czynach, i w pieśni i w słowie...
Pomknęli w przeszłość, jakby rzeką spławną,
 Niedawno jeszcze, a zda się tak dawno.

Oto już setna urodzin rocznica
 Korzeniowskiego. — Pamięćcie, starzy?
Owa powaga rozumnego lica,
 Ów cichy spokój i powaga twarzy,
I owa żywa, błyszcząca źrenica,
 Znać, że się za nią miłość w sercu żarzy.
Z nieśmiertelników znów splata się wieniec,
 Płyną wspomnienia: liceum... Krzemieniec...

Kijów i Charków... profesorska toga,
 Wreszcie Warszawa i praca dla szkoły.
A żywot cały — nie kwiecista droga,
 Szlak kamienisty, trudy i mozoły.
Lecz z natchnień gwiazdą, co dana od Boga,
 Nad wybranemi tylko płonie czoły...

Choć wy go, starsi, pamiętacie lepiej,
I u nas młodych wspomnień kwiat się szczepi.

Tak! nieraz, mistrzu, gdy w pamięci staje
Działalność twoja — serce się rozrzewni.
Jakoś ze sceny gromił obyczaje
Śmieszności bronią, co sięga najpewniej.
Nieraz nam szemrzą jak rodzinne gaje
Powieści twoje: „Kollokacja”... „Krewni”...
I szumią niby Czeremoszu fale
Serdeczną skargą „Karpaccy górale”.

Tak! i to pomnim, że w epoce owej
Wiele z tych pojęć, co cząstką natury
Stały się naszej, tyś zaszczeptał w głowy;
Że byłeś jednym z tego hufca, który
Kochać nauczył chleb własny a zdrowy
I chleb ten dawał, — co literatury
Dobywał taczkę z cudzoziemskich piasków,
Z „niemieckich pieluch i francuskich pasków.”

A jeśliś nie był burzą, co grom ciska,
I nie był słupem ognistym Mojżesza,
Byłeś jak deszcz ten, co pada na rżyska,
Rolę dla pługa zmiękcza i lemiesza;
Jak domowego byłeś blask ogniska,
Co skupia wkoło, ogrzewa, pociesza...
Więc dziś przed tobą w rocznicy wiekowej
Chylim z uznaniem i z wdzięcznością głowy.

(1897)

DO DEOTYMY.

(W dniu Jej jubileuszu.)

Kiedy przed laty niby ranna gwiazda
Błysnęłaś strugą kryształowej pieśni,
Roje skowronków porwały się z gniazda,
Chórem śpiewacy ozwali się leśni,
Tysiącem pereł górskie źródła trysły,
Wiatr halny orłem rzucił się w przestworze,
Wzdęła się fala siwo-płowej Wisły,
Rytmiczniej jęło kotysać się morze.

Stały się dziwy! ku Twojej młodej głowie
Zewsząd czarowne spłynęły widziadła: —
Wróżki w zielonej zakłętej dąbrowie,
Wabne rusałki z modrych wód zwierciadła,
Białoksiężnice w dolin śpiące głębi,
W habrowych wieńcach złotych niw boginie,
Cały świat duchów nad Tobą się kłębi
I na fantazji wzdętych żaglach płynie,
Niewidny tłumom, lecz Tobie widomy. —
Z ruin zamkowych wybiegają gnomy,
Mistyczne róże, ciosane w granicie,
Kwitną dla Ciebie, z pod siedmiu pieczęci
Swe tajemnice zdradzają Ci skrycie

Księgi, — mądrości stróże i pamięci.
A nad Twem czołem w obłoku zawisli: —
Złoty duch piękna i srebrny duch myśli.

Dzieją się dziwy! Z Twej duszy natchnionej,
W alabastrowej słów rzeźbionych szacie
Cudne ku niebu strzeliły postacie:
Białe genjusze, skrzydlate eony,
Symbole pojęć, ideałów mary,
Uczuć odbicia — i w promieniach wiary
Płyną świetlane pod stropem błękitu,
Na szczytach myśli, wśród zagadnień bytu.

A gdy je miłość ziemi zarumieni,
Wdół mkną, choć nieba nie traci ich oko.
O! jak się dumnie rozlały w przestrzeni,
O! jak się w czasie zaryły głęboko,
Na tej równinie, poprzez cierpień pole!

— — — — —
Czas wstecz się cofa — jak skrzydła sokole
Mignęły wieki; — przeszłości otchłanie
Tętnią... Czy znowu pędzi huf rycerzy?
To rapsod dźwięknął — krótko, niespodzianie,
Jak miecz, gdy w pancerz stalowy uderzy;
To epos rozbrzmiał, jak trąb złotych granie,
Jak wiatr od morza, potężny i świeży.

To pieśń jest Twoja! Walkę serc i dłoni
I poświęcenia pielgrzymkę tę długą,
Kędyś u morskiej rozpoczętą toni
O dziejów świecie, — promienistą smugą
Oświetla, wiodąc od chwały do chwały
Aż na Kahlenberg, gdzie wielki, wspaniały,

Stanął chrześcijaństwa zwycięski obrońca,
Jak przed zachodem — złota tarcza słońca.

To jest pieśń Twoja! Wielkie śpiewa czyny;
A tem jest większa, że w każdym swym tonie
I w strofie każdej — nad ziemskie wawrzyny
Do Boga ducha podnosi i dłonie,
I wielbi godło, przed którym się zniża
I korzy wszystko, święte godło Krzyża.

O Deotymo! gdyś jak ranna gwiazda,
Błysła przed laty na wyżynach pieśni,
Gdyś białym orłem porwała się z gniazda,
Twój lot z zachwytem śledzili współczesni.
A wieszczę nasi, ci wielcy i smutni,
Których grobowce dawno laur oplata,
Dziedziczkę w Tobie uznali swej lutni,
I w Tobie, siostrze, powitali brata!

O! wieszczem było wieszczów pozdrowienie!
Dzisiaj po latach jakże Cię uczymy?
Jak spełnim godnie naszych serc pragnienie,
Gdy nad proch życia, ponad śniegi zimy,
Wzniosłaś świątynię, co stoi wspaniała,
Zdobna w posągi, kolumny, marmury,
I wiary zniczem na ołtarzu pała,
I w niebo strzela sklepieniem wyniosłem...

Rzekłaś: Od wieków do wieków pieśń posłem,
Lecz kim jest przeto ten, co pieśni stwarza,
Co z bram przeszłości w przyszłości podwoje
Skrzydlate posły śle nakształt mocarza?
Pieśniarz jest królem, jeśli pieśni swoje

Oblekł królewskim Sztuki majestatem,
Jeśli roziskrzył wieszcz natchnień słowo
Blaskiem nadziei, miłości szkarłatem...

Oto Ci niesiem koronę laurową
I pieśni polskiej głosimy królową!

(27. V. 1897)

WIECZÓR WIEKU — RANKOWI.

(Z książki „Stulecie Mickiewicza”)

Zmierzch zapada nad stuleciem, co się kończy,
Zmierzch przeszłości... Już zachodu łuna blednie,
A sklepieniem — kędy czas, jak słońce we dnie,
Toczy rydwan — po fałdzistej chmur opończy
Jeszcze ku niej złote smugi jutrznia sączy,
Jeszcze na niej odbłask świtu się różowi...
Pozdrowienie wieczór wieku śle rankowi.

Pozdrowienie tobie, ranku, pozdrowienie!
Za świetlane twoje brzaski, jasne zorze,
Za szkarłaty twego wschodu żywe, hoże,
Za złocisty snop promieni, co w przestrzenie
Tak wystrzelił nad mgły gęste, szare cienie,
Że przez niego strop obłoczny wiąże, łączy
Świt ze zmierzchem tego wieku, co się kończy.

Oj! obfita była rosa rankiem owym!
Djamentami drgała, lśniła łąka cała,
A gdy wiatr potrząsnął drzewem, to spadała
W bujnych kroplach deszczem srebrnym, kryształowym,
Łzom podobna, łzom rzęsimym, łzom perłowym...
Nie ma takiej o zachodzie, — snać posucha
Stała we dnie, a noc idzie chmurna, głucha.

Oj! bogaty w jasnych ptaków rój skrzydlaty
Był ten ranek! Jak skowronki lotne, chyże
Wyfrunęły z pól i z lasów, — a jak spiże
Zadzwończyły pieśnią wielką ponad chaty,
Ponad chaty, ziemi szmaty... kraje... światy...
A te ptaki srebrny sokół wiódł ku górze,
A tym pieśniom nie zagłuchnąć w wieków chórze.

Pozdrowienie tobie, ranku, pozdrowienie!

(1898)

W 50-TĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI SŁOWACKIEGO.

(3 kwietnia 1899 r.)

*I oddała Cię ziemi — popiołem
Garstka druhów w ów dzień przed półwiekiem,
Byś sam leżał ze sławy aniołem,
Sam, daleki, w tem mieście dalekiem.
Lecz choć proch twój pozostał tam dumny,
Anioł sławy twej dawno wstał z trumny.*

Jak ogromne z za morza okręty,
Do tych „chleba zjadaczy” powrócił.
Jak duch mocny na skrzydłach rozpięty,
Objął dusze, bo pieśń twoją nucił,
Bo z twej pieśni miał wieniec u głowy,
Płomienisty, złocisty, tęczowy.

Nie ma głazu i nie ma kamienia,
Gdziebyś pieśnią jak w pierś nie uderzył,
Ani głębi takiej, — ani cienia,
Których tęczą swych dumbyś nie zmierzył:
Kędy spojrzeć — rosą brylantową
Myśl twa błyska i lśni twoje słowo.

*

*

*

I oddała Cię ziemi — popiołem
Garstka druhów w ów dzień przed półwiekiem,
Gdzie sam leżysz ze sławy aniołem,
Sam, daleki, w tem mieście dalekiem.
Lecz gdy anioł twój dawno wstał z trumny,
I Ty wrócisz w swój dom, prochu dumny.

Jak Mickiewicz, wstąpisz między króle
Do wielkiego, wspaniałego grobu,
Bo szarpały jednakie was bóle,
Płaszcz z purpury pokrywa was obu.
Bo wy obaj w niewoli godzinie
Królujecie duchem tej krainie.

Od Atrydów kamiennego łoża
Grób to świętszy... — Ale, prochu dumny,
Pierwszy drgnij, gdy od morza do morza
Wstrząśnię groby, mogiły i trumny,
Zbudzi zmarłe ta wieść — błyskawica:
Nie piastuje już was niewolnica!

NA ODSŁONIĘCIE POMNIKA MICKIEWICZA
W WARSZAWIE.

*„Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.”
„Pan Tadeusz.”*

Błogosławiona bądź Wieszcza tęsknoto,
Boś jest jak wróżka, co odsłania skarby,
Boś jest jak ogień, co przetapia złoto
I jako słońce, które cudne farby
Na śpiącej w mroku zapala dolinie.
Jak głąz przytłaczasz Jego pierś natchnioną,
Zanim z niej taki zdrój pieśni popłynie,
Że zadrzy każde najzimniejsze łono,
Że każde ucho w te pieśni się wpije
I z pokolenia poda w pokolenie
Ich ton z uczuciem, że słuchając — żyje!
Że każda дума i myśl i marzenie
Pomknie za niemi w wędrówce dalekiej,
— Czy tkwi przy ziemi, czy buja po niebie; —
Że każde serce ukocha na wieki,
Co pieśń ta śpiewa... i z nią, Wieszczu — Ciebie!

Błogosławiona bądź ludu tęsknoto,
Kiedy pieśń taką pozna i ukocha.
Za lada wiatrem próżno się nie miota
Wciąż w inną stronę, niby fala płocha.

Jak rzeka, naprzód szare nurty toczy
Za Wieszcza głosem, za echem tej pieśni,
A tęskniąc po Nim — by upieścić oczy,
Które od ziemskiej On odrywał pleśni, —
Śpiżowy posąg nad chwiejnych głów fale
Na granitowym stawia piedestale.

Nie wiem, — gdzieindziej jak wdzięczność współbraci
Na szczycie chwały męża swe umieszcza,
Lecz hołd, co niesiem tej drogiej postaci,
Zaprawdę! godny jest wielkiego Wieszcza,
Bo jak pieśń Jego, tak z serc naszych płynie —
Podobny strudze krynicy przejrzystej;
Bo tak bezmierny, jak morza głębinie,
A jak grosz wdowi — tak szczery i czysty.
Bo tak gorący, jak miłość, co bucha
Z istoty Jego dla Boga i ludzi;
Bo taki rzewny, jak tęsknota głucha,
Co w piersi Wieszcza wielkie pieśni budzi.

„Kurjer Codzienny” № 355 z 24 grudnia 1898 r.

HENRYKOWI SIENKIEWICZOWI

(Grudzień 1899) — POWIEŚĆ POLSKA.

A kiedyś przyszedł do mnie w dniach młodości,
Pnąc się, jak junak, na sławy krużganek,
Mojemu wianu niejeden zazdrości,
Bo możną panią byłam wśród ziemianek
I niepoślednich już dziedziczką włości.
Lecz Tyś mnie ujął, jak rycerz-kochanek,
Tryumfalnemi powiódł z sobą drogi
Z pańskiego domu na królewskie progi.

I oto stoję — mnogich rzesz władczyni —
W Twojego słowa złocie i purpurze.
Tysiączne głosy słyszę: — „Trwajmy przy niej,
Bo lśni jak tęcza, rozpięta na chmurze,
Bo — jak ów obraz powietrzny w pustyni,
Wędrowców oczy nad ściernie i kurze
Podnosząc — krzepi, a krzepiąc — nie ludzi,
Lecz upragnioną dal zbliża do ludzi.”

*

*

*

Naprzód z ufnością, jak na łono matki,
Garść kwiatów polnych złożyłeś w ofierze:
Liljowe dzwonki, jaskry i bławatki,
Z których los codzien dań okrutną bierze.

A takieś blaski tchnął w te biedne kwiatki
I w rosy krople przystroił tak świeże,
Ze skroń mą kryją jak pereł zawieją,
A w swej prostocie przeze łyzy się śmieją.

Potem mi dałeś płaszcz tkany wzorzyście
Z przędzy życiowej — na nim dusz bukiety:
Te, co jak narcyz chylą białe kiście
Ku swemu w wodzie odbiciu, — kobiety
Śnieżne jak lilje, płonące ogniście
Jak róże, — męże biegnące do mety...
I pokazałeś, czem ta dusz gromada
Silna i słaba, szkarłatna i blada.

I uderzyłeś w pierś góry olbrzymiej,
Co nad łańcuchem pokoleń się zwiesza
I jasnym ogniem wybucha lub dymi,
Mroczy lub światła błyskami pociesza.
Ale — zbratany z duchami wielkimi —
Tyś w pierś tę laską uderzył Mojżesza,
I z łona skały popłynęła struga
Djamentów sznurem, czysta, wartka, długa.

*

* * *

I przyszli obcy do ogrójca mego
Z Twojego źródła czerpać wody żywej.
Szli obojętni, dziś z zachwytem biega,
Chłoną Twe dzieło i wołają: — „Dziwy!
Z zapoznanego uroczyiska tego,
Z tej głuszy mistrz się nam zjawił prawdziwy.
Zkąd w nim czar taki, świetność, jasność ducha?”

I dziś świat cały, gdy Ty mówisz, słucha.

A mówisz pięknie! Nie tak się wspaniale
W pałacach włoskich pstre marmurów złomy
Piętrzą, jaśniejąc w pełnej słońca chwale,
Jako twe słowa, podobne ruchomej,
Żywej wód toni, — bo jak morskie fale,
To z hukiem toczą swych wałów ogromy
Na brzeg, to — ciche, rzewne, lazurowe,
Pieszcza, jak miękka dłoń, kochaną głowę.

A mówisz mądrze! Całą bytu dobę
Objąłeś wzrokiem: — południ wesele,
Ranków słoneczność, nie samą żałobę
Zmierzchów i nocy... Choć widzisz zła wiele,
Życie dla Ciebie nie jest jak Niobe
Lub jak Medea mściwa; — w Twojem dziele
Wyżej nad walkę żądz, losu zawilość,
Jest Bóg, jest wiara, nadzieja i miłość.

*

*

*

Mój bohaterze! Iż gwieździe na czole
Mojem przed światem przyćmić się nie dałeś,
Nowym ją złocąc blaskiem, i na chwałę-ś
Ludzkości loty rozwinął sokole,
Wciąż wyżej dążąc, — za czyn Twój i wolę,
Że mogąc, — wielkim stać się też umiałeś,
Iżeś — najpierwszy w lat ostatnich dobie,
Berło nad sercem swem oddałam Tobie!

DO MARJI KONOPNICKIEJ.

A gdyś poszła w świat szeroki
Rzucać pieśni swych uroki,
Jakby ziarna na zagony,
By z serc bratnich zbierać plony,
 Ż mnogich bratnich serc.

To najtkliwsze swe uśmiechy
Pod słomiane słaś strzechy,
Najcieplejszy promyk duszy —
Tym, co w mroku, w cieniu, w głuszy.

I szły od nich w serce Twoje
Ciche bóle, twarde znoje,
I w Twojej duszy się zmieniały
W pieśni dźwięczne, jak kryształy.

Więc gdy przyszło Twoje lato,
Plon obfity zbierasz za to:
Widzisz w mrokach zórz świtanie,
Masz serc bratnich miłowanie,
 Mnogich bratnich serc!

(1902)

LUBLINOWI.

(Toast na bankiecie w Lublinie w czasie odczytów na powodzian
24 stycznia 1904 r. *)

Piękna jest ziemia wasza i bogata!
Wiosennym rankiem słońcu się uśmiecha,
Niby przez Boga rzucona makata,
Aż duszy radość i oczom uciecha.
I gród wasz piękny, — starych gmachów barki
Prostuje dumnie w niebo nakształt arki.

Tak, nakształt arki! Bo arką przymierza
Byłeś — Lublinie — w jednej dziejów chwili.
Pamiętam, dzieckiem, u Wilji wybrzeża
Przymierza tego miłość mi szczepili,
Jako dziedzictwa pokoleń skarb święty,
Którego żadne nie zerwą odmęty.

Tak mi jej obraz dziś w duszy się ściele,
Jak ją na płótnie wskrzesił mistrz krakowski...
W Dominikańskim było to kościele:
Król podniósł w górę godło Męki Boskiej.

*) Zimą 1903/4 r. na rzecz powodzian w Królestwie grono pisarzy pod przewodnictwem Henryka Sienkiewicza (W. Lewicki, H. Radziszewski i I. Baliński) wygłosiło szereg odczytów w 14 większych miastach. Organizował odczyty ówczesny wiceprezes Warszawskiej Kasy Literackiej, Stanisław Libicki.

Podniósł wysoko, jakby w niebo sięgał,
Za dwa narody na wieki — przysięgał.

Nie wiem, na jakie niebieskie potęgi
Ten z Jagiellonów klął się tu ostatni,
Lecz nie zapisan w żadnych dziejów księgi
Drugi ślub taki ani sojusz bratni.
Choć wciąż szarpany, rwany, zatrutowany,
Odżyje znowu...

...Piękna jest ziemia wasza i bogata
Krasą i pracą, jak żniwiarka hoża,
Zarumieniona na przełęczu lata.
Nad waszym grodem świeci sławy zorza...
Takich klejnotów skarb obowiązuje,
I wiemy, że to dusza wasza czuje.

Z kielichem w dłoni przemawiam, — toastem
Więc na cześć waszą kończę słowa swoje:
Niech lśni pomyślność nad ziemią i miastem,
Niech płyną pracy i miłości zdroje!
A dzieło Unji, bratniego przymierza,
We wszystkich duszach niechaj się rozszerza!

ZNOWU GŁOS Z WILNA. *)

„W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy! nikt nie woła.”

(A. Mickiewicz)

I.

Pielgrzymie, ku dalekiej płynący ostoje
Na tęsknoty korabiu przez dziejów odmęty,
Choć żaden cię nie wzywał głos w tej mowie świętej,
Którą macierz rodzona duszę dziecka poje,

Czułeś, że to nie ciszy znak, co u podwoju
Trwa cmentarzysk, z kądem zwolna, jakby dymów skręty,
Uleciał w nieskończoność sznur dusz wniebowzięty, —
Jeno milczenie, strażnik ust w stalowej zbroi.

Cisza nad przestrzeniami zwiesza się oponą,
Jakby w śnie nieprzespanym skrzepło wszelkie łono
A jęki zagarnęła śmierć w przepastne koła,

Nie! pod tą pieczęcią życiem drgają wargi,
Wzbierają krzykiem piersi i tłoczą się skargi...
Pielgrzymie, łódź swą zawróć!... *Głos na ciebie woła!*

*) Wiersz ten był drukowany w „Kurjerze Litewskim” z d. 2 września 1905 r., jako w pierwszym dzienniku polskim, który wówczas wyszedł w Wilnie od czasów powstania 1863 r.

II.

Czy słyszysz, bracie? To z naszej strony
Znów płynie słowo — duch,
A takie ważkie, jak szczere złoto,
A miękkie, jako puch.
Już samem brzmieniem serce raduje,
Jak stary, wierny druh;
Nim w duszę padnie ziarnem złocistem,
Upieszcza tęskny słuch.

Z tej mowy, bracie, pierwszy brzask myśli
Tęczowych czerpał farb,
W niej na dnie naszych dusz się układał
Dziecięcych wrażeń skarb.
Ona w świątyniach u stóp ołtarzy
Trzymała wiernie straż
I w niebo biła najświętszą z modlitw
Do Boga: — Ojczy nasz!

Czy słyszysz, bracie? Z naszego grodu
Znów płynie słowo — duch.
Już samem brzmieniem serce raduje,
Jak stary, wierny druh.

Z pod świętojańskich murów w tej mowie
Głos nauk wokół biegł,
Wśród lasów, błoni wiedza się łała,
Jak woda nurtem rzek.

Tryskały pieśni i słowa wieszczę, —
Najczystszych krynic zdroj,
Co lśnią jak perły, jak manna karmią,
Jak tarcze są na bój.

I w niej — pod dłonią Błogosławionej
Zadźwięczał pierwszy śpiż,
Gdy niosła ślubny pierścień miłości
I świętej wiary krzyż.

Czy słyszysz, bracie? Z naszego grodu
Znów płynie słowo — duch.
Już samem brzmieniem serce raduje,
Upieszcza tęskny słuch.

III.

Dzienniku, w dobie nowej — tyś jest jak chleb razowy,
Jak chleb z własnego żyta,
Codzienna myśl strawa — swojska, jędrna i prawa,
Niech więc każdy cię czyta!
Chodź po siołach i dworach — i po miejskich komorach
Szlakiem pracy wiekowej,
Jako kramnik wędrowny, nauczyciel wymowny
I jak lirnik wioskowy.

Gdy nawiązać ci dano nić przed laty zerwaną,
Co postępu ścieg snuła,
Kieruj ziarn strumień siewny, — radź, jak stawiać krok pewny,
Z przeszłością łącz jak stuła.
Szczęść Boże! kuźni nowa, bądź godna tego słowa,
Którym mówisz do ludzi:
Niech świt ciska przed oczy, rozproszone jednoczy
I drzemiące niech budzi!

W PÓLWIEKOWĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI MICKIEWICZA.

(26 listopada 1905 r.)

Ty zagrodowy szlachcicu litewski,
Którego prochy na Wawelu leżą!
Nietylko w pieśni purpurze królewskiej,
W krainie wzlotów nad szczytów rubieżą —
Lud między króle złożył Cię i woje,
Lecz z mieczem czynu, lecz i za śmierć Twoją!

Boś Ty był jeden, jeden z tych niewielu
Wśród twórczych duchów i sztuki mocarzy,
Co wieszczym głosem wzywając do celu,
Sam ostrą drogą w przedniej dążył straży,
Co nie stanąłeś i na bok nie zszedłeś:
Gdzie pieśń twa poszła — i Ty tam poszedłeś.

A gdyś odrzucił złotostrunną lutnię,
To nie żeś zwątpił w jej moc ani własną,
Lecz już nie chciałeś trwać w błękitach smutnie,
W wszechświecie sztuki było ci zaciasno.
Musiałeś spełnić, Ty — najprawszy synu,
Wieczyste dzieło ofiarnego czynu.

Duch Twój zwyciężył, choć dłoń martwa padła...
Lecz Tyś ją podniósł, skoczyłeś na wyłom.
A nie Erynji gnały Cię widziadła,
Jak po teatrum... Ufałeś swym siłom.

Konrad przed blaskiem dnia nie zmrzył powiek...
Genjusz — kochałeś, walczyłeś, jak człowiek!

Krzyżowców szlakiem po tę Ziemię Świętą
Otoś popłynął na niepewnej nawie,
Żeby odzyskać, co Matce odjęto...
Już nie ciągnęły tęsknoty żórawie,
Ni rymów sznury ani poematy
Za Tobą wówczas: — szedłeś wstrząsać kraty!

Pół wieku mija, gdyś nad Złotym Rogiem
Śpiewał ostatni psalm — z krwi swej i potu,
Psalm bohaterstwa... Śmierć mu epilogiem,
Straszna, zdradliwa, nawet nie od grotu...
Że obowiązkiem to Ci w sercu grało,
Przeto w królewskiej mogile Twe ciało,

A w pokoleniach dusza... Za miliony
Nie tylko cierpieć, lecz zginąć — artyści!
Któż targnie dźwięczniej śpizowemi dzwony,
Któż twórczych widzeń moc wspaniałej ziści?...
Musim być z niego, — czy w słońcu, czy w grobie...
A ci, co przeczą temu — kłamią sobie.

WARSZAWA NA PRZEŁOMIE XIX WIEKU.

FRAGMENTY.

Stołecznemu miastu.

I. 1796 — 1806.

O! lecz zaprawdę nie wiem, jakie z bóstw Parnasu,
Którą z Muz wielowładnych laurowego lasu
Wezwać mi, by kastalskim czystym pojąc zdrojem,
Jak wyrocznia natchnieniem kierowała mojem,
Gdy śpiewam — godny stanąć między bohaterzy —
Stołeczny gród sarmacki, odkąd nowej ery
Zaczął wiek dziewiętnasty w szeregu stuleci
Czas, co nieścigłym pędem wiecznie naprzód leci.

Każdą wezwać przystało córę Mnemozyny,
Bo wszystkich w losach miasta dotknięte dziedziny:
Od Melpomeny, która w zadumie złowrogiej
Wieńczy ofiary Fatum, sroższego nad bogi,
Do tej, co płąsa wdzięcznie w pieściwym układzie,
Raz Nimfie, raz namiętnej podobna Menadzie.
Każdą! — prócz ciebie, Klio!... Bo raczejby z karty
Dziejów, w twych dłoniach tkwiącej, okres ten był starty!...

Jak gdyby w zmorze sennej zastygła Warszawa.
Bywają stany takie: pół-sen a pół-jawa.
Ciało żyje, powoli dźwiga się i rusza,
Lecz drzemie w mgle ponurej odrętwiała dusza;

W gorącym uniesieniu choć się czasem zbudzi,
Mgła tłoczy... Kiedy minie? Nikt nie zgadnie z ludzi.
Opustoszały, ścichły dziejomowne gmachy
Oprócz komendy pruskiej... Jeżeli z „pod Blachy”,
Czy zkądnąd dźwięk jakiś głośniejszy dołata,
To dzwonienie puharów albo brzęk dukata,
Co stoczył się ze stołu.

Minerwy kapłani

Jedni łączą się z sobą, naukom oddani...
Tak trwał gród, gdyby pseudo-klasyczne poema,
Gdzie jest „*ład, rym i zadziw*” — jeno duszy niema.

II. 1806.

Ej! fanfara tryumfu zkąd brzmisz, rogu złoty?
Aleksandrynów rzędy, niby szyk piechoty
Pruskiej — długie, miarowe, splątały się, mącą,
Jak lody w krę rozparte falą nurtu rwącą.

...Jena — grzmot! Berlin — burza już huczy na niebie!
W mieście głucho, choć wokół ziemia się kolebie.
I nagle w samo serce z wichrem wojny wpada
Chrzęszcząca, czelna, wierna, żołnierska ballada.

Przeszła góry, przeszła rzeki,
Za morzami była,
Przez ciał góry, przez krwi rzeki
Dziesięć lat dzwoniła.

*

*

*

W szary dzień listopadowy
Zatętniały gdzieś podkowy.

Hen! od Woli hufiec wali,
A na Wiśle most się pali.

Szwolężerzy czy szaserzy...
Wieść, jak pożar, w mig się szerzy.

Żagwią iskry wkrąg rozprasza
Na zaułki, na poddasza:
Francuzi!... Francuzi!...

Zajechali do Ratusza,
W mieście kto bądź żyw się rusza.

Z nocy — dzień, bo rozświecono
Okna... Nie, to dusze płoną.

Kawalerji huf Murata,
Za nim sam pogromca świata —
Napoleon!... Napoleon!...

III. 1812 — 1813.

A ballada w tysiąc koni
Coraz głośniej chrzęści, dzwoni,
Wieńca strzępy niesie w dłoni,
By na grodu złożyć skroni...

Znów przepada, jak ballada,
Pośród śnieżnych ginie błoni,
Jeno wiatr jej nutę goni,
Jeno echo dzwoni... o niej...

IV. 1815 — 1830.

Duszo miasta, silniejszaś od duszy człowieka!
Nie zawsze deszcz wydarzeń po twych murach ścieka,
Jak sznur łąz, co wypala niezatarte blizny;
Ty czerpiesz niepożytość ze szczerb i siwizny,
Z milczącej swych kamiennych pamiątek wymowy!
Ku tobie zewsząd zdąża zastęp ludzi nowy.

Oplatają cię wieńcem bujne przedmieść bluszcze
I wzmózonego życia wartka fala pluszcze.
A choć nie możesz jaśnieć blaskami dawnemi,
Znowu jesteś ogniskiem i mózgiem swej ziemi.

*

*

*

Na czwartkowych wieczorach pana generała
Klasycyzm swe ostatnie wytacza już działa.
A choć walczą z nim pierwsze przelotne jaskółki,
Już słyhać szum potężnych skrzydeł, jakby pułki
Słły husarji... Poezja zwyciężyła nowa:
Rządcom serc wnet ustąpią dawni rządcy słowa. —
Już w tym samym pałacu dojrzewa pacholę,
Co ku myśli zenitom pchnie loty sokole.
Już ptak rajski, tęcz wszystkich kolorami dumny,
Chwilę u Zygmuntońskiej przysiada kolumny
I leci w świat, jak smutne, wędrowne zórawie.
Najpierwszy... O! ten nie był za życia w Warszawie,
Lecz gdy w lat kilkadziesiąt ponad tłumów głowy
Wzniósł się grudniowym rankiem — w postaci spiżowej,
Z ręką na sercu, z okiem, co się w niebo zwraca, —
Któż nie czuł, że najbliższy do domu powraca?

*

*

*

A ballada we sto koni
Znów zachrząści, znów zadzwoni...
I przepada, jak ballada.
U wiślanej tonie toni,
Jeno wiatr jej nutę goni,
Jeno echo dzwoni... o niej.

(„Kurjer Warszawski” № 1 r. 1906)

DOŻYNKI ORZESZKOWEJ.

Gdy zapadła noc bezgwiezdna, mroczna,
Której znikąd nie był widny kres;
Gdy wśród ciosów przyszło odrętwienie
I nie stało więcej krwi ni łez;
Kiedy naród, jak bezskrzydły sokół,
Wszystek lotów pochop wprężył w duch
Po hejnały mistrzów myśli wieszczey,
Po ich hasła wytężając słuch, —
Jak ów tułacz, co w stepie dalekim
Łowił z Litwy szum, by koić ból; —
Tak on pytał, zali po dawnemu
Zabrzmi głos i z nadniemeńskich pól.

Nie zawiodła ziemia łąk i lasów,
Zkąd tylekroć potężny bił dzwon;
Straż duchowa stanęła nad Niemnem
I w hetmanów chórze drga jej ton!...

To z niewieściej piersi płynie pieśń
I ozywce, twórcze wschodzą słowa...
A my z dumą mówim tyle lat:
Orzeszkowa tam jest, Orzeszkowa!

*

*

*

*

*

*

Głos jej wśród nocy długiej brzmi wiernie i stale,
Wydzwaniając, jak zegar, hejnał po hejnale.
Zrazu cichy, potężniał bólem, wiedzą, wolą...
Słał się nad chat sznurami, płynął ponad rolę.
Niósł szmer Niemnowej fali, Białowieży echo,
Brzęk sierpów, gwar miasteczek, cichy szept pod strzechą.
I drgał skargami wszystkich mieszkańców tej ziemi,
Garnąc z równą tkliwością skrzydłami bratniemi.
I wskazywał, co bronić, — uczył, co wypleniać,
Czego strzec jako świętość. — co krzewić, co zmieniać, —
Przenikał dusze...

Z duszy ziemi, narodu, człowieka

Brał ton najszlachetniejszy, co nieraz ucieka,
Kryje się, — a dobyty dźwięczy nutą złotą.
I brzmiał przestrogą brata i siostry pieśczętą,
Brzmiał, jak wyrok sędziego, przyjaciela rada,
I był czasem jak matka, co nad dzieckiem biada,
To jak mędrzec, co w przyszłość wzrok spokojny zwraca.
Spizowe wieścił hasła: obowiązek!... praca!...
Postęp, wolność i równość! miłość! poświęcenie!...
Lecz nigdy — rozpacz, nigdy — zabójcze zwątpienie!...
Aż z lat biegiem, harmonji pełen i potęgi,
Głos jej objął całego pokolenia kręgi.
I szła muzyka coraz szersza, coraz trwalsza,
Jak echo gry Wojskiego, coraz czystsza... doskonalsza...

*

*

*

*

*

*

Samotna prawie, wyszłaś w noc
U Niemna na robotę,
By ziemię płużyć, kopać, pleć,
I rzucać ziarna złote.

Za Tobą leżał gruzów zwał,
Przed Tobą — skrzepła rola,
Na wzgórzach — mgła, w nizinach — mgła...
Oj! dola-ż była, dola!

Nie opuściłaś w znoju rąk,
Przez ściernie brnąc i piaski,
A dzisiaj — patrz! — dożynki Twe,
I zórz świtają brzaski.

A dzisiaj patrz! Twe imię lśni
Wśród sławnych niewiast świata,
I cały lud ze wszystkich siół
Dla Ciebie wieniec spleta.

I jak szeroki polski łąn
Głos płynie z serc głębini:
Autorce cześć, działaczce cześć
I mądrej cześć mistrzyni!

(1907)

DO IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO.

Na zebraniu pożegnalnem w Warszawie w maju 1910 r.

„A słońce Prawdy wschodu nie zna i zachodu...”

Również granic i dzielnic nie zna duch narodu
I różnic w nich nie czyni; większa, czy możniejsza,
Żadnej wyżej nie stawia, sławy nie pomniejsza,
Lecz dokąd trzeba, zewsząd najdzielniejsze syny
Na placówki jak wartę śle — nie po wawrzyny.

Tak niegdyś, przed stu laty prawie, Profesorze,
I jak Ty, na podlaskim wyrosły ugorze,
Do Wilna mistrz Leleweł przyjechał z Korony,
Bo tam najsilniej jaśniał — przedziwnie złączony
Z żarem wiedzy żar cnoty, wartością mu równy.

Tak później do stołecznej naszej Szkoły Głównej
— W krótkim między chmur zwałem przelocie promieni —
Ze wszech stron współrodacy przybyli uczeni.
Dzisiaj w innej dzielnicy dzień mniej chmurny błyska;
Więc gdy tam płonie główne zarzewie ogniska,
Pod Wawelem się kupią polskiej wiedzy chramy,
Tu żegnając Cię z żalem, tam z chlubą witamy,
Gdy w prastarej Uczelni stajesz na mównicy,
Którą zdawna wstawili godni poprzednicy,
Z której w młodzież rzucone uczonego słowo
Najszerzej sięga, ziarnem jest i jest budową...

*

*

*

Słuchaj! Życzenia druhów czyż stwierdzać należy?
Jedno Ci tylko powiem: niech wśród tej młodzieży
Taki ogień się żarzy, taki duch się szerzy,
Jaki ożywił tego, co najwyżej strzela,
Co w Wilnie koronnego witał Lelewela.
Niech w sercach jej się krzewi ideał i cnota
Adama i Juljusza, Zana i Czeczota...

Więc takie Ci rokując od słuchaczów wieńce,
Na cześć młodzieży polskiej w Twoje piję ręce.

TOAST NA UCZCIE JUBILEUSZOWEJ
PROF. BRONISŁAWA ZNATOWICZA.

Cny i dostojny Jubilacie
I drogi panie Bronisławie!
Pozwól, że w świetnej tej kolejce
Ja puchar życzeń też postawię.

Czerpię je z Twojej specjalności,
Choć przedsięwzięcie to zbyt płocze,
Nie jestem bowiem przyrodnikiem
I chemji tylko-m liznął trochę.

Lecz się nie boję i z fantazją
Na obce sobie wpływam wody,
Bo rytm i rym — mojemu wiosły,
Co także siłą są przyrody.

Więc wszystkie wzywam tu pierwiastki,
Aby stanęły w posłuszeństwie:
Stałe i lotne, promieniste,
Chodzące luzem czy w małżeństwie.

Więc wzywam węgla połączenia,
Wzywam alkalja i cyjanki,
Kwasy i szczawy, niech się stawiają
I hołd Ci niosą, wiją wianki.

I wzywam ciała kapryśniejsze
Niż dama, spazmom hołdująca,
Co się lokują gdzieś w pechblendzie
Lub w rozpalonem jądrze słońca.

Niech służą Ci! Lecz za podstawę
Pod owych życzeń monumentum,
Niech się też stawiają, a nie skąpo,
Stateczne *aurum* i *argentum*.

Gazów za wiele jest na świecie,
— Nie wszystkie nawet pachną różą, —
Lecz tych solidnych dwóch metali
Nigdy nikomu nie za dużo.

(1912)

DO MARJI SKŁODOWSKIEJ-CURIE

(2 grudnia 1913 r. — Na przyjęciu w Resursie Kupieckiej)

Pani, słów wiele słyszałaś. — Wieńczyły
Skoń Twoją chórem rodzinnej Twej mowy.
Nie dziw się temu! Rzadki dzień godowy
Dałaś Ojczyźnie, macierzy swej miłej.
Przez Ciebie pełna radości i dumy.
Więc na Twój widok milczenie się kruszy.
Nie z ust, lecz z serca tych słów płyną tłumy,
Bo słowo — dźwięcznym jest promieniem duszy.

A dusza widzi, widzi w walk kurzawie
Tę najszczytniejszą, — której się nie godzi
Nawet zwać walką, bo nie w krwi powodzi,
Ni w łzach ni w jękach, ale w czystej sławie,
W tryumfie wspólnym wszystkim ludom błyska, —
Widzi szturm prawy genjuszu i myśli
Po nową prawdę do wiedzy zamczyńska...
A tam wśród pierwszych Twa postać się kręśli!

Dusza narodu jest jak dusza matki:
Lubi na czele widzieć swych junaków
I „ten mój!” — wołać. Blizn ni zasług znaków
Nie zapomina i tęczowe kładki
Między rodzeństwem ponad wieków głębie
Przerzuca chętnie. — Wierzaj! w dumie rącej

Na przodowników ona widzi zrębie
Ciebie za mędrcom z Torunia... i łączy...

Słońce — to z nieba! Nie ludzkie — wolności,
Ale to — Boskie, dla wszystkich świecące!
Jak my nie mamy dumni być, o słońce,
Że z tej krainy są, co w twej jasności
Pierwsi tajników głównych nie dostrzegą,
Nauki wzrokiem przejrzą Apollona!
Polak królewskość odkrył tronu twego,
Polka dobyła rdzeń twojego łona...

Pani! Ojczyźnie dałaś dzień godowy,
Nie z ust, lecz z serca witamy Cię słowy.

W 117-TĄ ROCZNICĘ.

Wiersz, wygłoszony na pierwszym publicznym obchodzie urodzin Mickiewicza w Nowogródku, d. 24 grudnia 1915 r., pod okupacją niemiecką.

Mówią, że zmarłym duszom w urodzin rocznicę
Danem bywa przekraczać doczesności progi,
Że wolno im na jedną chwilę-błyskawicę
Od grobu do kolebki szlak swej ziemskiej drogi
Przelecieć wstecz i sercem drgającym, człowieczem
Ogarnąć, co kochali: ludzi, kraj i sprawy...
Wtenczas, wiążąc na mgnienie nić rozciętą mieczem
Śmierci, cieszą się z jasnej, smucą z doli łzawej
I z siejby własnych czynów — zboża lub kąkola,
Jak gospodarz, idący wzdłuż swojego pola.

Duchu wieszczą, coś tutaj pod zamkiem Mindowy
Przed stu siedmnastu laty ujrział światło dzienne,
Jeżeliś dzisiaj na swój szlak życiowy
Rozwinął skrzydła promienne,
Skrzydła duszy, i z wielkich grobowców królewskich,
Ze wzgórza Wawelskiego do tych pól litewskich
Zleciał, gdzie jako dziecię, pacholę, młodzieniec,
Pierwszych uczuć i wrażeń splotłeś trwałe wieniec; —
Jeśli skrós dym wystrzałów, kurz krwi, zgłiszcz pożogę
Znalazłeś dla ducha drogę

Do swej strzechy w Zaosiu, może już spalonej,
Do swego Nowogródka, gdzie dom twój i szkoła,
Gdzie w świeżych brózdach grobów — biały mur kościoła
I baszt szczątki — jedyne przeszłości ostatki; —
Jeśli Twa dusza do nich przez te krwi opony
Zleci i spojrzy okiem Gustawa-Konrada, —
To, jak ojciec do dzieci i jak syn do matki,
Po przez łzy się uśmiechnie, mimo żalu rada,
Widząc, że my tu jawnie, głośno po raz pierwszy
Dzień Twój święcim i czarem poim się Twych wierszy.

Naród wziął Cię za światło w czarnej nocy bólów,
Naród złożył Twe prochy pośród swoich królów,
Do najszczytniejszych mistrzów ludzkość Cię zalicza,
W tysiącach miast po świecie, w kraju, na obczyźnie,
Gdzie są Polacy, imię sławią Mickiewicza,
A głucho być musiało w najbliższej ojczyźnie,
Głucho w rodzinnem mieście, głucho na tej ziemi,
Którejś krasę uwiecznił słowy przedziwnemi,
Co wzajem duszę Twoją rzeźbiła zamłodu
Na pociechę i sławę całego narodu...
Nie wolno było laurów zwieszać Ci nad czołem,
Nie wolno było głośno pism Twych czytać społem,
Ani uczyć o Tobie jawnie i otwarcie, —
Tuś był na zapomnienie skazan i zatarcie...

Aż dzisiaj po raz pierwszy!

Aż dzisiaj po raz pierwszy,
Kiedy się zatrząsł świat,
Gdy smok ognisty wojny
Na rodzaj ludzki spadł,

Gdy poprzez Polskę całą
Aż do Tatrzańskich skał

Potoczył się, jak lawa,
Zniszczenia straszny wał.

Spłonęły nasze dwory
I długie sznury siół,
A ludzi rój pognano
Hen! jak w mogilny dół...

A my się tu ostali, tu przed obliczem Nieba,
Niepewni o dzień jutrzejszy, o kęs chleba,
Jednak już, już raźniejsi, że nie pokryjomu,
Lecz głośno słać możemy chlębę swego domu
I modlitwy o wolność Jego zacząć słowy:
*„Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
„I w Ostrej świecisz Bramie,— Ty, co gród zamkowy
„Nowogródzki ochraniaś z jego wiernym ludem...”*

BISKUPOM POLSKIM.

Biskupom polskim cześć! Poczet ich długi
Już dziewięć wieków kroczy dziejów szlakiem,
Zawsze na przedzie, pod hetmańskim znakiem
Przez pole trudów, chwały i zasługi.

Poczet to świetny. Mnogie laurów wieńce
Składać mu trzeba i kwiatów naręcze...
Nad wielu-ż głowy — świętości obręcze,
U wielu-ż palma męczeństwa tkwi w ręce!

Mężowie święci i błogosławieni,
Obrońcy Wiary, światła krzewiciele,
Pierwsi w Senacie i w Radzie na czele,
Kanclerze, mistrze, statyści, uczeni.

Przez nich niezłomnie wznosi się duch Wiary
Nad krajem naszym w zmiennej losów fali.
A w dniach rozbicia oni z nami trwali,
Jako potężne narodu filary.

Cześć niech im będzie — Książętom Kościoła,
Wioślarzom polskim u Łodzi Piotrowej!
Niech przez wiek wieków wieniec wawrzynowy
Wdzięcznej Ojczyzny ozdabia ich czoła.

(1919)

PROBIA

VI

THE HISTORY OF THE

... ..
... ..
... ..
... ..

... ..
... ..
... ..
... ..

... ..
... ..
... ..
... ..

... ..
... ..
... ..
... ..

... ..
... ..
... ..
... ..

PROŚBA.

Posłuchaj, dziewczę, prośba moja krótka,
Więc lic swych jasnych nie kryj ani chmurz.
Posłuchaj, dziewczę, prośba to malutka,
Więc serca swego nie martw ani trwóż.
Posłuchaj, dziewczę, prośba to cichutka.
Jak niepochwytny polot czystych dusz,
Które do niebios rajskiego ogródka
Na białych skrzydłach niesie anioł-stróż.

*

*

*

Posłuchaj, dziewczę, do mego ogródka
Wstąp, wstąp i zasłoń go od strasznych burz.
Posłuchaj, dziewczę, droga to bliżutka,
Więc serca swego nie martw ani trwóż.
Co kwitnie w ogródku — historia to krótka:
Kwitnie tam kilka purpurowych róż,
Dokoła z lilij białych jest obwódka,
Białych, jak szaty nieśmiertelnych dusz.

Jest tam i trawka — zielona, mięciutka,
Jak puch gołębi lub jedwabny plusz.
Trawkę tę kryje srebrzysta narzutka
Z rosy, co błyszczy w świetle rannych zórz,

Jest tam i ścieżka, jak wstążka wążutka,
Której nie zmrocył żaden ziemski kurz,
A na jej końcu kwitnie niezabudka,
Mego ogródka jasny anioł-stróż.

Ta niezabudka, ach! ta niezabudka,
Świeżość swą brała z lic twych, jasnych zórz,
A barwy swoje wzięła bałamutka
Z twych oczu, lśniących jako błękit mórz;
A swą niewinność przejęła filutka
Z twych myśli czystych, jak kwiat białych róż.
Sama wykwitła tu, w głębi ogródka,
Lecz nic jej nigdy ztąd nie wyrwie już!

To mój ogródek, dziewczę, rzecz drobniutka,
Ale go szkoda dla wichrów i burz.
Więc usłysz prośbę mą, wstąp do ogródka,
Jak słońca promień wstąp, jak anioł-stróż.
A kiedy przemknie twa nóżka malutka,
Po ścieżce, której nie krył ziemski kurz,
To tam, gdzie jasna kwitnie niezabudka,
Swe złote serce, dziewczę moje, złóż!

(1886)

KOTEK ANGORA.

Była to pora, gdy noc skrzydła swoje
Zwolna roztacza nad powierzchnią ziemi,
Szarej godziny pora.

Na niskiej sofie siedziało ich dwoje —
Dziewczę i młodzian, a pomiędzy niemi
Kotek Angora.

Kotek miał śnieżny włos, bez żadnej plamy,
Długi, puszysty i jak jedwab miękki,
A był własnością i pieszczochem samej
Panienki.

Ona od kotka nie była mniej biała,
Choć krew na twarzy jej kładła dziewczęcej
Barwy różyczki polnej, —
Nad czołem obłok z jasnych włosów miała
Od kotka włosów przejrzystszy i więcej
Od nich swawolny.

A serce?... serce — kto wie, może ona —
I serce miała płochsze niż u kotka,
Ta — swej rodziny i znajomych grona
Pieszczotka.

W tej chwili — z grzywką rozwianą na czole —
Igrała z kotkiem, co jak figlarz wielki,
To krył się w głąb kanapki,

To włos najeżał, zginał grzbiet w półkole
Albo wyciągał do rąk właścicielki
Swe białe łapki.
Czasem go ona chwyciła w objęcia,
Do lic tuliła pieszczocha — pieszczotka,
Wówczas łączyły się główki — dziewczęcica
I kotka.

A młodzian, patrząc na obraz uroczy
Tej płoczej z kotkiem igraszki dziewczęcej,
Czuł dziwną burzę w łonie.
Czuł, że mgłą jakąś zachodzą mu oczy,
Że krew mu z serca wybucha goręcej
I bije w skronie.
A kiedy czasem po futerku gładkiem
Kotka wiódł ręką i muskał włos miękki,
Czuł, że drżał cały, gdy dotknął przypadkiem
Jej ręki.

I zdało mu się, że to nowe w łonie
Jego wre życie, że jest nakształt ciała,
W którym duch obcy gości.
Usta mu drżały, jak gdy wiatr zawionie —
Listki osiny, tak niemi miotła
Fala miłości.

I zaczął mówić, a — chociaż nieśmiały —
Głos jego mowy dźwięczał dziwnie słodko,
Gdy drżące usta powoli szeptały: —
„Pieszczotko!”

„Pieszczotko, słuchaj! chcesz-li moją zostać,
Chcesz-li przeze mnie poznać na tym świecie
Miłości raj i ciszę?
Ja będę kochał i pieścił twą postać,

Piosnki ci nucił, jak matka, co dziecię
Do snu kołysze.
Czy chcesz, pieścizotko, zanim spoczniesz w grobie,
Przez życie całe, w dzień jasny, w noc ciemną,
Być ciągle razem, ja zawsze przy tobie,
Ty — ze mną?"

I długo, długo mówił tak młodzieniec.
Ona na kotka wzrok spuściła skromnie;
Co w sercu jej — któż zgadnie?
Na kraśne lica wystąpił rumieniec,
Słuchała, wreszcie szepnęła: — „Pan do mnie
Mówi tak ładnie...
Lecz pierwszej trzeba spytać się matysi.
Tylko — z pośpiechem dodaje pieścizotka —
Niech pan pamięta, że ze mną wziąć musi
I kotka.”

(1887)

DO PRZYJACIÓŁKI.

Ja ci nie powiem: bądź jak twarda skała,
Wiecznie spokojna i wiecznie milcząca,
Co nigdy zimna nie zna ni gorąca
I nigdy ogniem wewnętrznym nie pała,
Ale z jednakim spokojem odtrąca
Deszcze i gromy, wiatr i promień słońca.

Ja ci nie powiem: bądź jak fala płochą,
Co w lekkim pędzie przebiega wód tonie,
Wszystko unosi z sobą, wszystko chłonie,
Każdy brzeg pieści, każdą muszlę kocha,
I wciąż ku nowej obraca się stronie
Za lada wiatrem, co nad nią zawionie.

Lecz ja ci powiem: bądź jak pszenna rola,
Pracą rąk ludzkich hojnie użyźniona,
Palona słońcem i deszczem pojona.
Na niej, jak w życiu zła i dobra dola,
Kąkol i zboże krzewi się, lecz ona
Zdrowy siew tylko przyjmuje do łona.

Jako ta rola bądź! ze swego serca
Wypleń chwast każdy, każdą skazę marną,
Pychę, obłudę i nienawiść czarną, —
Aż wzejdą kłosa, jak z niwy kobierca...
A choć tych kłosów plon inni zagarną,
Lecz w nich tkwić będzie twego szczęścia ziarno.
(1887)

NA PIERWSZY ŚNIEG.

Na pierwszy śnieg, na pierwszy śnieg,
Co nocką pokrył błonie,
Frunęła lekko, niby ptak,
Stopami w śniegu tonie.
A każdy krok, a każdy skok
Tych nóżek — zwinny, prędki,
Na śniegu drobny kładzie ślad
I błonie znaczy w centki.

Ten pierwszy śnieg, ten świeży śnieg
To serce moje było.

Oj! wyłobily-ż nóżki jej
Sieć śladów w niem zawiła.

Ten pierwszy śnieg, ten czysty śnieg
To było serce moje.

Pokryły przez nią serce to
Blizn krwawych liczne roje.

Przyprószy śnieg lub zwieje wiatr
Stóp ślady z pól kobierca.

Czy zetrze kiedy czas lub los
Te blizny z mego serca?

Przechodzi rok, za rokiem rok,
I dnie za dniami biegą...

Czy zniknie ból, czy zniknie żal,
Po tobie z serca mego...

(1888)

OCZY KOBIETY.

(Z FRANCISZKA COPPÉE'GO.)

„L'Eden resplendissait dans sa beauté première.”

Raj promieniał w pierwotnym blasku swym i krasie.
Ewa, ledwie przed chwilą stworzona w tym czasie,
Z zamkniętymi oczyma, w traw i kwiatów toni
Spoczywała z Adamem, uśpionym koło niej;
A dla przyszłego grzechu, co już Duch ciemności
Obmyślał, była ona precudnej piękności.
Owal twarzy, splotami włosów przysłonięty,
Wspierał się od niechcienia na jej rękę zgiętej,
Co lśniła pod włosami jakby marmur biały;
A od łokcia po bioder kolumnie wspaniałej,
Tworząc wabnemi skrety łuk wdziękiem nęcący,
Biegła linja uroczą aż do stóp leżącej.

Wielki Stwórca był dumny ze swego stworzenia.
Wszystkie czary i wszystkie cuda przyrodzenia,
Które świat w kornym hołdzie do stóp Jego strąca,
Wszystkie łączyła w sobie ta kobieta śpiąca.
By świeżych kwiatów wonią napoić jej tchnienie,
Bóg wziął wietrzyk, co leśne przebiega przestrzenie;
Żeby drzeniem ożywić jej łono dziewicze,
Wlał w nie fal oceanu rytmy tajemnicze.
Oto mówiła przez sen: — dla tych słodkich szmerów

Wziął gruchających ptasząt śpiew w cieniu szpalerów,
A dla jej włosów, jasnych jak złoto płynące,
Zgarnął blask smug promiennych, które zsyła słońce,
I z róż wonnych kielichów ulepił jej ciało.

Lecz Ewa się budziła, — z powiek umykało
Ostatnie widmo senne, jak lekkie westchnienie,
I już się pod rzęsami łamały promienie.
Wówczas, widzialny w ognia płomienistej rzece,
Bóg wreszcie zechciał streścić uroki kobiece
W jednym, lecz najgłówniejszym, co wszystkie jednoczy, —
I niebios nieskończoność tchnął w kobiety oczy.

(1888)

DO NIEZNAJOMEJ.

Czasem pyłek, co z kwiatu zsunie się korony,
Gdy nią zefir swawolny potrząsa i chyli,
Nie opada natychmiast, lecz wiatrem niesiony
Ulatuje daleko za śladem motyli.

I gdy wiosna znów przyjdzie, gdzieś na grudce ziemi,
Do krawędzi starego muru przytulonej,
Lub w ustroni pomiędzy krzewami leśnymi
Wykwita niespodzianie kwiat z nieznanej strony.

Kobietko! czasem z spojrzeń, które rzucasz codnia
Na tłumy, mijające ciebie bystrą rzeką,
Jedno pada na serce obcego przechodnia
I wykwita miłości kwiatem gdzieś daleko.

*

*

*

Kwiat, co zakwitł w obczyźnie, tęsknotą trawiony,
Za każdym wiatru wiewem chwieje się i kłoni
W nadziei, że powróci w swe rodzinne strony,
Zkąd pyłkiem po lazurów przywędrował toni.

Ty zmienisz się... utraci lub nabierze siły
Blask oczu, od ujrzonej raz staniesz się różną, —
A on wciąż owych spojrzeń, co twojemi były,
Będzie szukał po świecie, lecz szukał napróżno.

(1889)

W NOC LETNIA.

Słyszysz, luba, ten szept cichy
Nocną dołą,
Te szemrzące wokół głosy?
Wonnych kwiatów to kielichy,
Otulone w krople rosy,
Gwarzą sennie między sobą.

Chcesz podstuchać razem ze mną
Kwiatów plotki?
Miłość nasza je zachwyca,
O niej gwarzą nocą ciemną.
— Nie widziałam — bladolica
Mówi lilja — takiej słodkiej.

— Nie pamiętam tak prawdziwej —
Fiołek mały
Szepnął zcicha wśród pacierzy.
— Ani — westchnął goździk tkliwy, —
Takiej rzewnej, czystej, świeżej. —
Nieśmiertelnik: —
— Ni tak stałej.

Obudzona tym szelestem
Z dumy sennej,

Rzekła róża, płonąć cała: —
— Choć miłości kwiatem jestem,
Nigdy jeszcze nie widziała
Tak gorącej i płomiennej.

(1890)

CZY TY PAMIĘTASZ?

Czy ty pamiętasz, jak dziećmi — przebrani
Podczas świąt jakichś za parę górali —
Chyżośmy w gronie rodzinnem płąsali?
Czy ty pamiętasz to, pani?

Na fortepianie grała panna Róża,
A nam kazano polkę tańczyć wkoło.
Jam się bał trochę, ty wznosiłaś czoło,
Dumna, że tańczysz jak duża.

Wszyscy nam wówczas klaskali, — mówiono,
Że z nas prześliczna para i dobrana,
Że gdy wyrośniesz na „panią” i „pana”,
Będziemy mężem i żoną.

Tak nam wrócono, lecz się omylili,
Bo się rozeszły dróg naszych koleje,
I dziś ty nie wiesz, co się ze mną dzieje,
Ja nie wiem, gdzieś ty w tej chwili.

Przeszło dzieciństwo i raz jeden potem,
Raz jeden tylko myśmy się spotkali,
Niby dwie łodzie na wzburzonej fali,
Ale na chwilę, przelotem.

A w owej chwili czasu nam nie stało,
By w głosach nuta zadźwięczała czuła,

By nić uczucia z oczu się wysnuła...

Tak, czasu było zamało!

A szkoda! może wróżba to prawdziwa

Była dla przyszłych tych „pani” i „pana”,

Może z nas para byłaby dobrana

I może para szczęśliwa...

Lecz darmo! Dzisiaj w przeszłości otchłani,

Gdy te wspomnienia widzę — wiecznie świeże,

Spytać się tylko dziwna chęć mnie bierze:

Czy ty pamiętasz to, pani?

(1891)

ODPOWIEDŹ PIĘKNEJ DAMIE.

„Wszystko idzie po grudzie,
gdy niema nadziei!...”

... Oto

Z Twego listu to smutne dla mnie biorę motto,
Bo snując się jak zmora z mych marzeń przedziwem,
Ono chyba powinno być ich *leit-motivem*.
Nieprawdaż? — Ale z takim hasłem na sztandarze
Rzucać się w ogień walki czyż rozsądek każe?
Rozsądek i ów bożek doświadczonych ludzi,
Który nigdy nie zwiedzie i nigdy nie złudzi, —
Spokój! Bo my „dzisiejsi”, sceptycy z zasady,
Bez pewności zwycięstwa nie szukamy zwady,
I jeśli ryzykuję, to na równe stawki.
Lecz burzyć ołtarz bożka dla czyjejs zabawki,
I za stracony spokój ustroić swą głowę
W platoniczne choć śliczne wawrzyny flirtowe, —
O! to dla nas zamało. Szukać zapaśniczki
Dla walk flirtowych tylko — szkoda rękawiczki,
Z którą można w arenę rzucić mimowoli
Serce — i w bezcelowej znaleźć się niewoli,
Nie wiedząc, co przeciwnik postawił na kartę.
Takie boje dzisiejszych rycerzy nie warte.
Dziś rycerz od turniejów cofa się igrzyska,
Gdy wie, co może stracić, a nie wie, co zyska.

O piękna pani, wierzaj, nowalje majowe
Nie zawsze tak zawrotnie działają na głowę.
O! można ich zażywać z ochotą, z rozkoszą,
Lecz gdy owoców letnich zapowiedź przynoszą.
Bez niej — nie dziw, że dowcip tak krucho się klei:
„*Wszystko idzie po grudzie, gdy niema nadziei...*”

A jednak pani-ś dobra, piszesz o przyjaźni...
A gdybym Ci roztworzył świat swej wyobraźni
W chwilach, gdy *leit-motiv'u* zwrotka się oddała,
I wraca zawsze chętna złudnych rojeń fala?
Kiedy mi się wydaje — czasem późną nocą
Bywa to — że nadziei światełka migocą...
Najprzód prąd romantyzmu, który w każdym łonie
Słomianym ogniem choćby jedno mgnienie płonie: —
Precz więzy! precz przesady! przez wieki, przez lata
Żyć we dwoje, wbrew światu i zdala od świata! —
Lecz przypomnieć Ci wolę, — to' potrwa niedługo —
Te romantyczne zwrotki za Wiktorem Hugo.
Zajrz do „Legendy wieków”, tytuł: „*Eviradnus*”:

„*Chodź! Dwóm wierzchowcom popuścmy wodze,
W kraj snów nas pęd ich poniesie.
Ty mię porywasz, ja cię uwodzę,
A tam ptak śpiewa gdzieś w lesie.
Głowa przy głowie pomkną, jak zplątka,
W kraj cudów błoniem szerokiem...*)*”

.

Lecz pęd ten szybko mija, zawiele on łamie,
Zawiele burzy, innych czasów nosi znamię.
Przytem w jego uroku już się kryje zdrada,

*) Przekład Felicjana.

Bo rwąc jedne łańcuchy, wnet nowe nakłada.
A czyż może być radość, gdzie niema swobody,
I gdzie tak wiele wspomnień idzie z nią w zawody, —
Wspomnień, wyrzutów, żalów? By mknąć mimo świata,
Nie starczy taka para rumaków skrzydłata,
O jakiej śpiewa Hugo. — Wiek lokomotywy
Wypłoszył nawet z uczuć i cuda i dziwy.
To też słomiany ogień chwilę w myśli płonie, —
Niepraktyczny, niepewny i nie w dobrym tonie.

Wnet inna fala rojeń cichutko nadpływa,
I bardziej nowożytna i bardziej pieściwa.
Mieni się w pragnień ogniu, niby złota łuska,
Tak słodko i nęcąco wyobraźnię muska,
Tak kusi i tak wabi — ponętnie, zdradliwie,
Że się nie chce pamiętać już o *leit-motiv'ie*.
Posłuchaj, to ja piszę, a nie Wiktor Hugo:

Precz z tą iluzją stałej miłości,
Co próżno mamy!
Gdy wciąż nie można, dobrze się kochać
Choćby czasami.

W chwilach spotkania, kiedy się uda
I jak się zdarzy,
W cichych sam na sam — bez wiedzy świata,
Bez obcych twarzy.

Na te spotkania, pod cień dyskretny
Przygodnej strzechy
Przynosić z sobą same radości,
Same uśmiechy.

Zostawiać wszystko, co więzi, martwi,
Mroczy żałobą,

Być bez pamięci i bez nazwiska,
Być tylko sobą!

Przed światem, ludźmi nie zdradzać wcale
Z dystynkcją wszelką,
Że ma się kilka tajemnic małych
I jedną wielką.

A kiedy prysnie urok tych spotkań
I upojenie,
Nić, co łączyła, zerwać cichutko,
Niepostrzeżenie.

Znów w obojętnych tłum się zanurzyć
Z mglistym wspomnieniem
O jakichś jasnych, słonecznych krążkach
Pod liści cieniem.

Jaka będzie odpowiedź Twoja, nie śmiem pytać.
Nie pisz! Z Twych oczu, Pani, wolę ją wyczytać.

(1892)

PO ROZMOWIE.

DWA SONETY.

I.

I tak się zakończyła ta nasza rozmowa...

Jeśli można rozmowę nazwać turniej słów,
Gdzie walki cel śmiertelny, jakby blady nów,
To błysnie, to się znowu za obłokiem schowa.

Gdzie groty w pierś nie godzą, lecz jak chmura płowa
Lecących puchów, — z wiatrem mkną w szlak ten lub ów...
Czasem tylko coś dźwięknie, jak zgrzyt zwartych kłów,
Jak krzyk, którym ofiary z gniazd wypłasza sowa.

Jednak wbiły się w serce stalowymi ćwieki,
Jak w trumnę, — stokroć mocniej, niżby padły wprost...
Już wiem, że dusze nasze obce są na wieki,

Że miłość między nami runęła — jak most,
Podmyty rwącym prądem pieniającej się rzeki,
Co łączył z jednym brzegiem — drugi brzeg daleki.

II.

I tak się zakończyła ta nasza rozmowa...
Jak ostrze gilotyny, spadła stałą słów
I w pół przecięła życie. Sam zostałem znów.
Sam! — a ta w zaschłych ustach gorycz piołunowa.

A ta straszna, rozwarta, jak jama grobowa,
Próżnia! a ten w pamięci wyżłobiony rów...
Gdzie w strzępach pocałunków, upojeń i snów —
Przesycenie, jak pająk, pod kwiatem się chowa...

Ha! w tej przeszłości bliskiej, a tak już dalekiej,
Wiem teraz, że nie łączył nas miłości most!
Miłości kurhan sypią, gdy zamknie powieki,

Smutny tam rośnie cyprys, nie piołun lub ost...
Nie! w nas chuć tylko biła krwawemi wypieki,
Lecz dusze obce były, jak będą na wieki!...

(1893)

SELANKA.

Fanszetta czarnooka, kraśna jak jagoda,
Jasnowłosa Koletta z wejrzeniem anioła
I wdziękiem towarzyszkom równa — Nina młoda,
Przyjaciółki lat jednych i z jednego sioła,
Szły po wodę do źródła, — droga niedaleka. —
Szły po wodę do źródła, co pod gajem płynie
I przez łąkę wążutką wstążką wdał ucieka...
Rozmawiały. — Szczebiocą ptaszki tak w gęstwinie.

Chytre słonko do ziemi aż się przytulało,
Żeby z dołu ciekawie zajrzeć im w oczęta.
Wiatr rozchyłał gałązki z galanterją całą,
By słodkie im do ucha szeptać komplementa.
A trawy, polne kwiaty i ziół wonnych snopy,
Z których ożywczą strugą wdał aromat płynie,
Chyliły się, by drobne całować im stopy.
Rozmawiały. — Szczebiocą ptaszki tak w gęstwinie.

Rozmawiały. W lat kwiecie, ach! i w kwiatów porze,
Pod nieba przejrzystego kopułą błękitną.
O czym, jak nie o kwiatach, dziewczę marzyć może,
O kwiatach, co w ogródkach i w serduszkach kwitną.
Rozmawiały, — a z fali słów wciąż się wynurza,
Jak srebrnej piany smuga, wciąż to samo zdanie:

Ze najpiękniejszym kwiatem na ziemi — to róża,
Że najpiękniejszą rzeczą w życiu — to kochanie.

Wtórzyły tej dziewczęcej rozmowie wiosennej —
Śród drzew — szelestem każda gałązka i listek,
Na łące — cichym szmerem ruczaj nawpół senny,
W gaju — wdzięcznym szczebiotem chór ptaszęcy wszystek.
A z tych głosów natury także się wynurza
Pewnie z dziewczęcych rozmów podsłuchane zdanie:
Że najpiękniejszym kwiatem na ziemi jest róża,
Że najpiękniejszą rzeczą w życiu jest kochanie.

(1894)

CIEPŁO I CIEMNOŚĆ OTULIŁY ZIEMIĘ.

Ciepło i ciemność otuliły ziemię,
Żaden blask nie drgnie, gwiazda nie zamruga,
W gałęzi splotach każdy listek drzemie...
Czemu jak wieczność noc ta nie jest długa?

Ciepło i ciemność otuliły ziemię...
Najdroższa, tylko dłoń twą czuję w dłoni.
Ciepło — to miłość, ciemność — zapomnienie.
Więc zapomnijmy o czasu pogoni,
O tem, że kędyś słońca jest jaśnienie,
Wiew jakichś wichrów, jakichś myśli brzemie.

Ciepło i ciemność otuliły ziemię...
Ciepło — to miłość, ciemność — zapomnienie.
Najdroższa, tylko dłoń twą czuję w dłoni...
Najdroższa! duszę utopmy w tej toni,
Niech jej nie zmaci żadnej fali drgnienie...

Ciepło i ciemność otuliły ziemię...
Ciepło to miłość, ciemność — zapomnienie.
O! jak rozkosznie rzucić myśli brzemie
I trwać tak razem długo, nieskończenie,
W cieple i mroku, dłoń trzymając w dłoni.

(1895)

PIEŚŃ DLA KOBIETY.

Tyś powiedziała mi: — „Śpiewaj, lutnisto!
Lecz takich pragnę pieśni, co żar niecą
W niewieścich sercach, co pierś mą kobiecą
Na wylot strzałą przeszyją ognistą.

Niechaj pieśń twoja wpadnie mi do ucha
Tryumfu dzwonem i wstrząśnie mną całą,
Niech olśni zmysły, wzruszy duch i ciało
I śpiące ognie w pożary rozdmucha.

Niech mnie rozkoszą natchnie i upoi
I słodkie wizje, którym wierzyć miło,
Niechaj roztoczy z żywej prawdy siłą
Przed tęsknym wzrokiem wyobraźni mojej.

Takiej chcę pieśni, bo nie wzbudzą u mnie
Inne oddźwięku ni zachwyty dreszczu,
Spłyną bez śladu, jakby krople deszczu
Po marmurowej portyku kolumnie.”

*

*

*

Tyś powiedziała, pani, jam Twój sługa.
Na rozkaz lutnię chętną chwytam dłonią...
Słyszysz, jak struny potrącone dzwonią,
Choć strun tych wiele, pieśń nie będzie długa.

Bo zrywam wszystkie, których srebrne tony,
Choć brzmiały pełnią melodji i treści,
Nie zbudzą echa w duszy Twojej niewieściej,
Jak senny narcyz, w siebie zapatrzonej.

Więc precz odrzucam te, co dźwięcząc głośno,
Jak surm i kotłów rycerskie fanfary,
W przepaści głębiach, wśród dziejów mgły szarej
Nowego życia grają pieśń radosną.

I te potężne, jak burza huczająca,
Co myśli pochód wśród wieków kolei
Gromami znaczą, — lub z hymnem nadziei
Wrą się na szczyty, jak orły do słońca.

I te, co chłonąc każdy szmer natury,
Każdy szum cichy, płynący w przestrzenie,
Szelest snów trwożny i szept i westchnienie,
Nucają piosenki w takt, jak słodkie wtóry.

I te, co dumką skarżą się tułaczą,
Niby skowronki nad obcemi łany,
I te, co jękiem boleści wezbranej,
Nad cierpień morzem zawodzą i płaczą...

Patrz! u stóp Twoich leży strun połowa,
Za niemi nowych snop odrzucam cały...
Już u mej lutni tylko dwie zostały,
Dwie tylko struny: — złota i różowa.

Bo pieśń, co stworzę dziś na Twe żądanie,
A która całą istotę Twoją wzruszy,
Będzie, jak rzewny głos fletni pastuszej,
Jako słowika miłosne ćwierkanie.

O dwóch akordach tylko... Boski Febie!
Zlej zdrój natchnienia na swojego syna!
Słuchaj mnie, pani! już pieśń się zaczyna...
Uderzam w struny:

„Pięknaś!... Kocham Ciebie!”

AKORD PIERWSZY.

— Pięknaś! Z postaci Twojej, jak od słońca,
Spływa olśnienie na śmiertelnych oczy.
W Tobie potęga czarów się jednoczy
W harmonji kształtów, barw i linii tkwiąca.

Wszystko, co nęci, wszystko, co zachwyca,
Co wzrok przykuwa z niezwalczoną siłą,
W przedziwną całość w Tobie się złączyło
I w cudne Twoje zakłęto się lica.

I świeżość lilji i promiennność hoża
Jutrzenki rannej, co niebo rumieni,
I palmy smukłość pod snopem zieleni
I dal zawrotna błękitnego morza.

Pięknaś! to znaczy — Tyś klejnotem ziemi,
Perłą przyrody i świata rozkoszą,
Bóstwem, przed którym ołtarze się wznoszą,
Panią, królową między siostry swemi.

W I Z J E.

Pięknaś! to pierwszy akord pieśni mojej,
Słyszysz, jak dumnie w powietrzu rozbrzmiewa;
Kraży nad Tobą, niby srebrna mewa,
I w blasków tęczę czoło Twoje stroi.

Spójrz! jasność nagła... W śnieżne mgły spowite
Jakoweś cudne płyną tu postacie.

To wiedzie w krasę nieśmiertelnej szacie
Swe córę wdzięczną boską Afrodytę.

Oto Helena — ludów pożądanie,
Helena — słońce wschodzące Hellady,
Co mglistych legend blask rozjaśnia błądy
I wieści ery dziejowej świtanie.

Za nią w róż wieńcu i pereł djademie
Piękności świata płynie szereg dumny,
Co wystrzeliły, jak śmigłe kolumny,
Nad piasek gminu, ponad szarą ziemię.

Oto — w koronach na czole wysokiem
Układna Ester, harda Teodora,
Dziś — bazyliissy, służebnice — wczora,
Co tron posiadały lic swoich urokiem.

Dalej — pieściwsze niżli bluszczów zwoje,
Zdradniejsze stokroć nad morza toń siną —
Lais i Fryne, Aspazja i Ninon,
Rozkosznych syren i zalotnic roje.

A wyżej — gwiazdy z promiennej krainy
Sztuki, co przez nią i dla niej jaśniały,
Natchnienia mistrzów, wieszczów ideały:
Eleonory, Laury, Fornaryny...

O cudne widma! o czarowne mary!...
Wszystkie tu płyną ku Twojej osobie
I mówią: „Siostró w piękności, cześć Tobie!
Panuj nad światem, pij ze złotej czary!”

...Olbrzymiej sali rozwarte podwoje,
Lśnią się marmury, złotem kapią ściany,

W powodzi błasków, naokół rozlanej,
Wybranych tłumów świetne krążą roje.

Nagle... czy światel jaskrawość się zmniejsza?
Ćmią się i bledną, jak przed słońcem zorze...
Wchodzisz! Ku Tobie głów faluje morze,
Szmer rośnie: „piękna!... piękna!... najpiękniejsza!...”

Weszłaś! — w olśnieniu stanął tłum jak wryty,
Pasje spojrzenia, oczy swe napawa,
Potem się kłębi, niby wrząca lawa,
I tysięcznymi wybucha zachwyty.

Tryumfu chwili jedyna, wspaniała!
Oto przed Tobą klęka kwiat młodzieży,
Rozum z dowcipem ściera się i mierzy
I sztuka blaski zdwojonemi pała.

Oto przed Tobą korzy się, jak dziecię,
Siła i berło schyla się mocarza;
Brutalne złoto u stóp Twych się tarza,
Bo Tyś jest piękna, jak żadna na świecie!...

*

*

*

To pierwszy akord, to pieśni połowa.
Za nim — jak jastrząb za gołąbką białą
Wnet akord drugi wylatuje strzałą,
Po złotej strunie brzmi struna różowa.

AKORD DRUGI.

— Kocham Cię! miłość w sercu mem wezbrała,
Jak fala, która dumnie wznosi czoło,
Wszystko zalewa i unosi wkoło
I płynie w słońca poźłocie lśnić cała.

A razem ze mną — na ziemi, na niebie
Wszystko, co żyje, przed Tobą się kłoni.
Zefir, co muska marmur Twojej skroni,
Z cicha Ci szept: — kocham, kocham Ciebie!

Kwiat, co z tęsknotą do Ciebie się chyli,
Swem wonnem tchnieniem miłość Ci wyznaje,
I tem wyznaniem szumią lasy, gaje,
I szeleszczący rój barwnych motyli.

A każdy promyk, co się chyłkiem wkrada
Pod rzęs jedwabnych przejrzystą zasłonę,
Mówi Ci: — Słońce jest Tobą olśnione,
Do Ciebie tęskni twarz księżycy błada!

I jeśli słowik — w snów i marzeń dobie —
Gdy ziemia tonie w powłoce liljowej,
Zapełnia śpiewem drzemiące dąbrowy, —
Najdroższa, wierzaj! on marzy o Tobie!

A w każdym dźwięku i blasku i woni,
Co hołd Ci niesie na ziemi i niebie,
To moje serce przemawia do Ciebie,
To moja miłość w ślad za Tobą goni.

*

*

*

Goni... jak burza, jak piorun dosięga...
Najdroższa, podnieś spuszczone powieki!
Przy Tobie stoi, stać będzie na wieki
Najwyższa serca ludzkiego potęga.

O spójrz! Już traw się zielenią kobierce
I słońce kwiatów kielichy nasycą
Wonią... Czy czujesz, jak płoną Twe lica,
Jak pierś się wznosi, jak bije Twe serce?

O, daj się porwać, daj się unieść fali,
Tych słodkich woni, gorących promieni, —
Miłości fali, co się w słońcu mieni
I jak wiatr rzeźwi i jak ogień pali.

Oto mną całym miota niby listkiem,
A jam już szczęśliw przez samą nadzieję,
Bo nic prócz Ciebie dla mnie nie istnieje,
Tobą jest wszystko i Ty jesteś wszystkim!...

*

*

*

Ostatni akord! Moja pieśń skończona.
Niech resztę echo w duszy Ci wydzwoni...
Co? Ty drżysz cała, jak lutnia w mej dłoni.
Co? Ty się chwiejesz, wyciągasz ramiona!...

Jam po królewsku obdarzył Cię iście
Tem, co jest tylko wybranych udziałem: —
Dałem Ci piękność i miłość Ci dałem,
Mej lutni skarby... Cóż Ci po lutniście?

Wędrowny śpiewak, przybyłem w tę stronę,
By pieśń dla Ciebie zanucić przez chwilę,
A jeśli teraz do stóp Twych się chylę.
To żeby struny podnieść odrzucone.

Ty dla mnie jesteś tylko modrej fali
Jasnym zwierciadłem, pluszczącym w jeziorze.
Żegnaj! Tam huczy i pieni się morze...
Na innych strunach idę śpiewać dalej.

(1899)

DO ZOCHNY.

(Z MUSSET'A.)

*„Bonjour Suzon, fleur des bois.
Es-tu toujours la plus jolie?”*

Jak się masz, Zochno, leśny kwiecie,
Czy jesteś zawsze najładniejsza?
Jak mnie tu widzisz, wracam właśnie
Z włóczęgi po szerokim świecie.
Różne tam dziwy oglądałem,
Kochałem się, wiersze pisałem,
Na jawie przeżywałem baśnie...
Lecz o to wszystko teraz mniejsza!
Zaszedłem znów pod Twoje okno,
Otwórz mi, Zochno!

(1909)

TA DZIEWCZYNA UMARŁA.

(Z „ballad sielskich” Pawła Fort’a.)

„Cette fille, elle est morte, est morte, dans ses amours.”

Ta dziewczyna umarła, umarła w zakochaniu.
Ponieśli ją do ziemi, do ziemi o świtanie.
Położyli samiutką, samiutką w jej sukience.
Położyli samiutką, samiutką w jej trumience.

Powrócili wesoło, wesoło o. zaraniu.
Śpiewali rażno, rażno: „Kolej przyszła na nią.
„Ta dziewczyna umarła, umarła w zakochaniu...”
A potem poszli w pole, — w pole, jak co rano.

(1911)

VII

SATYRY. BAJKI. FRASZKI...

LA DISEGNAZIONE

di [illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

TAK, PANIE!

Nieprawdopodobne,
a jednak prawdziwe.

ROZMOWA PRZY KOLACJI.

Na balu, przy kolacji sąsiadki nieznaney

Pytam, na talerzyki patrząc z porcelany:

— A pani czy maluje też na porcelanie?

— „Tak, panie!”

— Bardzo miłe zajęcie, co przy pewnej wprawie

Ku pożytkowi służy, jak i ku zabawie.

Pani pewnie poświęca wiele czasu na nie?

— „Tak, panie!”

— A co pani maluje zwykle? pewnie zgadnę —

Kwiatki: panienki zawsze lubią rzeczy ładne.

Cóż? prawda, że odgadłem jej upodobanie?

— „Tak, panie!”

Ej! myślę, porcelana nudzi ją wyraźnie,

Trzeba wziąć inny przedmiot, a więc dalej raźnie

Pytam się: — A czy pani gra na fortepianie?

— „Tak, panie!”

— Jaka pani szczęśliwa, że może, gdy zechce,

Wywoływać melodję, co słuch i myśl łechce!

A o Szopenie jakie też ma pani zdanie?

— „Ja, panie?”

— Tak, pani, nie kto inny: wszak rzecz naturalna,
Że go pani znać musi, gdy jest muzykalna.
Sądzę, że w nim gustuje pani niesłychanie?

— „Tak, panie!”

— A w Liszcie? wszak to także talent znakomity,
Co wywoływać może największe zachwyty.
Prawda? muzyka jego to jak wichrów granie?

— „Tak, panie!”

— Lecz pani ich nie może lubić jednakowo,
Oni są tacy różni — a więc daję słowo:
Pani Szopena woli. Czy słuszne me zdanie?

— „Tak, panie!”

Oj, biedny Szopen, myślę, w grobie się przewraca!...
Co tu rzecz? Wtem błysnęła z majonezem taca.

— Czy chce pani łososia? doskonałe danie!

— „Tak, panie!”

No, przynajmniej jeść umie. A więc kontent z przerwy,
Wychylam szklankę wina, żeby nabrać werwy,
I ciągnę: — Pani pewnie lubi też czytanie?

— „Tak panie!”

— A cóż pani czytuje? Francuskie powieści,
Czy też przekłada pani rzeczy swojskiej treści?...
Sienkiewicza, co pisze tak nieporównanie?...

— „Tak panie!”

— Cieszy mnie, że Sienkiewicz tak panią zachwyca.
Nieprawdaż, że ciekawe są losy Kmicica?...
Czy pani już skończyła „Potopu” czytanie?

— „Tak, panie!”

— I jakież to na pani wrażenie sprawiło?...
Wszak prawda, że z ogromną napisane siłą?
Czy pani w tem podziela moje przekonanie?

— „Tak panie!”

— Przepraszam, pytam dalej, tknięty myślą nową, —
Że może niedyskretne trochę rzucę słowo:
Czy pani nie jest czasem w narzeczeństwa stanie?

— „Nie, panie!”

A więc nie zakochana!... O Boże, z tej łaźni
Kiedy mnie wydobędziesz, co tak strasznie drażni,
Bo dłużej tych nieznośnych znieść nie jestem w stanie

„Tak, panie!”

W tej chwili podawano kotlety cielece,
A więc pytam raz jeszcze w ostatecznej męce:

— A może pani woli kotlety baranie?...

— „Tak, panie!”

— No, proszę, jak to dziwne! — czy pani uwierzy,
Spodziewałem się tego, mówię jaknajszczerzej.
Czy zasłuży domyślność moja na uznanie?

— „Tak, panie!”

O nieba! nie wytrzymam! Wtem podają lody,
Z radości piję duszkiem całą szklankę wody.

— No, a na kotyljonie czy pani zostanie?

— „Tak, panie!”

— Czy tak? to życzę pani wesołej zabawy;
Co do mnie, mam już dosyć tej balowej strawy,
A zbytek przyjemności zaszkodzić jest w stanie.

— „Tak, panie!”

— Przepraszam więc, żem zbytnią nużył ją wymową.
Lecz za to w mojej głowie, pani, daję słowo,
Pamięć o tej rozmowie na zawsze zostanie!

— „O, panie! ”

Skończyła się nareszcie piekielna tortura.
Ach! żebyście widzieli, jakiegom dał nura!
Zmykam, a w uszach bębni, jak z dachu kapanie:

— „Tak, panie! Tak, panie! Tak, panie! ”

*

*

*

Niewiasty! wasz języczek zwykle prędko chodzi,
Lecz gdy która milcząca czasem się urodzi,
Od jej nieznośnych: „nie, panie! ” — „tak, panie! ”
Wybaw mnie, Panie!

(1886)

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

(OPOWIADANIE GIMNAZYSTY.)

Niezbyt to odległe czasy, byłem uczniem piątej klasy
I nie zdołał mojej twarzy jeszcze płowych wąsów cień,
Lecz już w sercu półdojrzałem jakiś dziwny pociąg miałem
Do panienek, i choć stałem wśród nich jak milczący pień,
Zawsze jednak, choć wśród panien stałem jak milczący pień, —
Miły był mi tańców dzień.

Otóż prawie nie spodzianie otrzymuję raz wezwanie
Na wieczorek, gdzie osoba miała także pewna być,
Która dla mnie od kwartału grała rolę ideału...
Ucieszony niepomąłu snuję słodkich marzeń nieć —
O kim? O niej naturalnie snuję słodkich marzeń nieć...
O kimż innym śmiałybym śnić?

Któż jest ona? Ach, nie wiecie? To prześlizne, lube dziecię,
Najpiękniejsze pensji kwiecie; takiej nie znał żaden z was!
Jaka grzywka, uśmiech jaki, jakie oczki i buziaki!
Niech się schowa nawet Czaki! *) To też gdym ją ujrzał raz,
Zmiętkło serce moje biedne, gdym ją ujrzał jeden raz, —
Chociaż było wprzód jak gład!

Od tej chwili, mówię szczerze, gdym ją spotkał na spacerze,
Jak z swą ciocią po chodniku niby bóstwo jakieś szła, —

*) Jadwiga Czaki była po Romanie Popiel-Święckiej pierwszą „naiwną”
w Teatrze Rozmaitości.

Codzień z sercem rozkrwawionem, ale z czołem podniesionem,
Pod kamiennym jej balkonem przechodziłem razy dwa, —
Regularnie jak zegarek przechodziłem razy dwa.

Straszna była miłość ma...

Więc radośnie snułem plany, jak w dzień balu ukochanej
Mojej będę przedstawiony i nastąpi związek dusz...

Jak jej niby odniechcenia zlekka dam do zrozumienia,
Że jej pięknych ocz spojżenia ranią mnie, jak kolce róż.
Że utkwiły w mojem sercu, jakby wonnych kolce róż,

Że kraśniejsza jest od zórz...

Nadszedł wreszcie upragniony dzień, więc biegam na wsze strony,
By przypadkiem się nie znalazł w toalecie jakiś brak.

Wyczyściwszy z wielką biedą blaszki mych guzików kredą
I skropiwszy się rezedą, żem jak wonny woniał krzak,

— Bo wiem, że rezedy lubią panienczki wonny krzak, —

Wkładam mundur — gdybyż frak!

Gdybyż frak! bo wówczas pewny byłbym łaski mej królowy.

Ach! bo ubiór ten powiewny ma dla panien dziwny czar.

Lecz gdy nie ma innej rady, wkładam mundur, cały błady.

I zabrawszy dla parady rękawiczek kilka par,

Ruszam, mając w swej kieszeni rękawiczek kilka par,

A w swem sercu — straszny żar.

Ach, pamiętam to, jak wczora! Była już spóźniona pora, —

Wchodzę... sala przepełniona iskrzy się od świateł stu.

Ledwem gospodyni rączki cmoknął, czuję, że gorączki

Przebiegają mnie zajączki, bo już widzę: — ona tu!

Nogi się podemną chwieją, bo już widzę: — ona tu!

Ach! i w piersiach brak mi tchu.

Któż zmieszanie me okréśli? Nie zdołałem zebrać myśli,

Aż tu ktoś pod rękę chwyta i przedstawia migiem już.

Kłaniam się przed mą królową, ona zlekka kiwa głową,
A ja myślę: jakie słowo szepnąć jej o związku dusz?
Bo wszak trzeba coś powiedzieć, by nastąpił związek dusz...
A tu zacząć — ani rusz!

Szczeńciem skocznej polki dźwięki wybawiły mię z tej męki:
Proszę ją — i wnet po sali w lekkim tańcu ze mną mknie.
Zrazu wszystko dobrze było, a na sercu lekko, miło.
A wtem лихо mię skusiło, żeby w lewo zwrócić się.
Kiedy w prawo dobrze idzie, poco w lewo zwracać się?
Straszna rzecz spotkała mnie.

Takt zgubiłem, tracę drogę, chcę się zwrócić i nie mogę...
I, o zgrozo! na jej nogę następuję — ciężko rzec!
Po tem strasznem wydarzeniu, w ostatecznem osłupieniu
Zostawiam ją na siedzeniu, a sam zmykam aż pod piec.
Cóż innego miałem robić, jak nie zmykać aż pod piec,
Choćbym wolał trupem lec.

Od tej chwili koło pieca stałem prosto niby świeca
I, nie śmiejąc tańczyć więcej, tęskny ku niej stałem wzrok.
Gdzie się tylko obracała, czy tańczyła, czy siedziała,
Wzrok mój za nią biegł jak strzała, wypatrywał każdy krok,
Z uwielbieniem i rozkoszą wypatrywał każdy krok,
Każdy w tańcu lekki skok.

Ach, jak piękna była ona! Lekka jakby puch zasłona
Okrywała jej ramiona, niby różę srebrny śnieg;
A jej jasnych włosów sploty, nakształt wielkiej chmury złotej,
Jak współniczki jej ochoty, mknęły za nią w tańca bieg;
A gdy na mnie wzrok rzucała, unoszona w tańca bieg,
Blask jej oczu serce piekł.

Więc czy dziwić się należy, że gdy nagle wśród młodzieży
Ruch się zrobił, bo już dano do kolacji miły znak,

Ja z pod pieca raptem wstaję i minawszy innych zgraję,
Rękę swoją jej podaję, cały w ogniu niby rak.
I do stołu ją prowadzę, cały w ogniu niby rak,
Nie wiem z ką i nie wiem jak.

Lecz gdy z nią do stołu śpieszę, w duchu się szalenie cieszę,
Że mnie tak poruszył w porę jakiś dziwnie szczęśny traf,
Ona bowiem patrzy wkoło i uśmiecha się wesoło.
Więc i ja podnoszę czoło i jak dumny krocę paw.
Ona idzie jak królowa, ja jak dumny krocę paw.
Z szczęścia drga mi każdy staw.

I siadamy. Któż jeść może, Boże wielki, w takiej porze,
Kiedy obok dziewczę hoże, przedmiot skrytych serca bić,
Siedzi sobie najwygodniej. Nie, to byłby rodzaj zbrodni.
Zakochani przecież głodni nigdy nie powinni być.
Chyba — uczuć; więc nic nie jem, gdy nie wolno głodnym być,
Nawet wody nie śmiem pić.

Ale miast rozmawiać raźnie, puszczam w lot swą wyobraźnię
I zapadam w rozmarzenia jedną z najstraszniejszych faz.
Zdaje mi się, że daleko płynę z nią srebrzystą rzeką,
Której fale zwolna cieką, a dokoła szumi las...
Że rozmawiam z nią cichutko, a dokoła szumi las...
I tak słodko mija czas.

Ach! i jeszcze mi się zdaje, że za lasem księżyc wstaje,
Że jej serce mięknie, taje, pod wyznaniem słodkim mem, —
Że uczucie moje dzieli i płyniemy w dal weseli,
W księżycowej tonąc bieli, oddychając jednym tchem...
Że płyniemy w dal błękitną, oddychając jednym tchem,
Że mnie ona kocha... Wtem!

Wtem... spostrzegam — słodka chwila — jej usteczek się rozchyła
Koralowa bramka mała, jak szkarłatny pączek róż.

Z ustek, jak zefiru tchnienie, wylatuje w świat westchnienie,
A ja wpadam w uniesienie, że nastąpi związek dusz,
Że rozumie mnie, gdy wzdycha... i nastąpi związek dusz...
Teraz trzeba mówić już!

Więc oparłszy wzrok swój na niej, zwolna mówię do niej: „Pani!
Ty westchnęłaś, więc rozumiesz, co się dzieje w duszy mej.
Znasz uczucie, co mnie rani, może nawet dzielisz, pani,
To, co w sercu czuję dla niej, więc pociechę w serce wlej!
Ty westchnęłaś, wzdychasz jeszcze, więc pociechę w serce wlej,
Odpowiedzieć słówkiem chciej!”

Ona nawpół nieprzytomnie nagle się obraca do mnie,
Róże lic jej dziwnie zbladły, oczy zaszła jakaś mgła.
O, wyraźnie jest wzruszona! więc z nadzieją w głębi łona
Czekam, co też powie ona. Wreszcie słyszę, mówi „a”,
Pomilczała przez czas jakiś, wreszcie słyszę, mówi „a”,
Potem ziewa raz i dwa.

Ziewa! czy mnie oko myli? Wtem odzywa się po chwili:
„Pan coś mówił, nie słyszałam, bo mnie strasznie spać się chce.”
...Jakto, ona spać chce — ziewa, gdy mi z serca się wylewa
Miłość taka, żeby drzewa kawał nawet zatlił się.
Nie przesadzam, żeby nawet kawał drzewa zatlił się.
Och! jakże zawiodła mnie!...

O, kobiety, coście warte! My stawiamy wam na kartę
Nasze serca i marzenia, wy ziewacie na to... Niel
Raz przez taką zranion strzałę, rękę, na gimnazjum całe
Serce swe zamienię w skałę, i już zacznę kochać się,
Chyba jak studentem będę... Wtedy mogę kochać się.
Bo już tak nie zwiodą mnie.

(1887)

MÓWIŁA...

Mówiła, a było to w czasie,
Gdy się nie żyje, lecz tańczy,
Gdy ludzkość bywa podobna
Do — wirującej szarańczy,
Gdy wszystkich porusza wkoło
Niezwykła, szalona siła...
W tym czasie mi ona to wszystko
Mówiła.

A była ładna! o ładna!
Z grzywką, rozwianą na czole,
Miała coś w sobie takiego,
Co to i nęci i kole.
Jej oczu głąb' tajemnicza
Jak stal sztyletu się lśniła,
Gdy dźwięcznym, srebrnym głosikiem
Mówiła.

Mówiła — na różnych balach,
Że miło jej tańczyć jest ze mną,
Że postać ma dlań sympatyczną,
Rozmowa nader przyjemną.
Że innych panien zwyczajem
Próżnoby zdanie swe kryła,

Że jest otwarta i szczerą, —
Mówiła.

Mówiła, — ja włosy mam czarne —
Że nie są w jej guście blondyni,
Że jasny włos, jej mniemaniem,
Zbyt łagodnymi ich czyni,
Że tylko w brunetach widnieje
Męska energja i siła...
Że lubi natury silne,
Mówiła.

Mówiła — ja ze wsi jestem —
Że wieś nad wszystko przekłada,
Że nawet w głuchym zakątku
Mieszkać gotowa i rada,
Że świat i miasto to dla niej
Rozrywka przelotna, choć miła,
Że woli życie domowe,
Mówiła.

A gdym ją na balu ostatnim,
Po walcu, o szóstej rano —
Z żalem prowadził na miejsce
Drżącą, wzruszeniem rumianą,
Z wejrzeniem, pod którym me serce
Topniało, jak wosku bryła,
Że to najlepszy z jej tańców,
Mówiła,
Parole d'honneur, mówiła.

I pewnieby z tego mówienia
Wyszło coś serjo, — ach! wierzcie!

Możebym, wzięwszy raz na kiel,
I ja powiedział coś wreszcie.
Lecz doszło do mnie przypadkiem,
— O! straszna to chwila była! —
Że ona, ona to samo
Już czterem innym mówiła,
Parole d'honneur, mówiła.

.
(1892)

NIECH ŻYJE LENISTWO!

O! jak wygodna jest leżąca poza!
O! jak wygodna jest poza leżąca!
Nie potrzebuje człek skakać jak koza,
O byle kogo próżno nie potrąca
I wie, że leżąc tak horyzontalnie,
Przynajmniej głupstwa żadnego nie palnie.

I marzyć może... A czemuż marzenie
Ma być czemś gorszem od rzeczywistości?
Jedno i drugie — tak samo złudzenie,
Jeżeli wierzyć filozofskiej mości.
Więc stokroć lepiej wybrać to, co tanie,
I marzyć w łóżku lub na otomanie.

Marzyć, wygodnie ułożywszy członki,
W miłym spokoju, bez znojów i trudów,
Jak z drzewa czynu puszczają się pąki,
Jak praca wkoło dokonywa cudów,
Jak oto miasta mnożą się i sioła,
Dobrobyt wzrasta i przemysł i szkoła.

A sam leżący w krwawym pocie czoła
Porasta w pierze, godności, zaszczyty,
Swą działalnością obudza dokoła
Ogólny podziw i słuszne zachwyty.

Już zdrój wdzięczności spływa nań gorącej...
O! jakże słodko marzyć tak — leżący!

Leż tak, kochanku, wy wszyscy panowie,
Leżcie tak dalej; a choć z pod was łóżko
Gdzieś się podziało i już biednej głowie
Dość trudno nawet spotkać się z poduszką,
Wartoż dbać o to? W tak błogiej postawie
Wytrzymaj próżniak i na twardej ławie.

Lecz niech wam czasem także się zamarzy,
Że jednak rządzi rzeczywistość w świecie
I mści się, skoro kto ją lekceważy,
I że z łatwością znaleźć się możecie,
Gdy się leżąca poza zbyt przedłuży,
Na nagiej ziemi, lub gorzej — w kałuży.

(1901)

CZARCIA RADA.

— „Ty, coś mi sprzyjał od młodości,
Żem się nad szarą wyniósł brać,
Boruto, djable mądry, radź!

Na górnym stoję już pomoście,
Co mi się słusznie należało,
Lecz stoję razem z kupą całą,
Zbyt wielu równych sobie mam.
Ten mnie poklepie, ów popycha,
Ten mruczy, tamten gani zcicha,
Pfe! Ja na wierzchu chcę być sam!

A tu na wyższy piąć się brzeg
Coraz mi ciężej... — lat przybywa
I opaślejszym stał się człek.
Do tego zawiść niegodziwa
Czyha, jak zwierz drapieżny w lesie.
Więc radź, Boruto, stary biesie!” —

— „Che! che! che! — śmieje się Boruta, —
Głowa u Waści snać zakuta,
Przecież osiągniesz cel najprościej
Ziemiąską teorją o Względności.
U was rzecz nie polega na tem,
— Chociażby ktoś miał rządzić światem —

By on rzetelnie stał najwyżej,
Lecz żeby reszta stała niżej.
Więc miast się w górę piąć, jak muł,
Kompanów swych pospychaj w dół...
Choć tam połamia sobie kości,
Ty sam zostaniesz na pomoście.”

(1918)

Z DOBY KRYZYSU.

I. BEZNĘDZNA NĘDZA.

S O N E T.

Wstąpiłem na kryzysem objęte przestwory:
Natura go nie czuje, ptak w gęstwinie ćwierka,
Z murawy kwiat wiosenny ku słoneczku zerka...
Szczęśliwa! nie wie nawet, jak ród ludzki chory.

A ludzie? ludzi tłoczy brzemień strasznej zmory,
Z oczu patrzy niepokój, z oblicz — poniewierka,
Każdy słuch swój wyteża — na szelest papierka
I za lada monety brzękiem biechy skory.

Są na sprzedaż: las, zboże, towary, pałace...
Tysiące rąk i mózgów wołają o pracę...
Kupować niema za co, ni pracować po co!

Rzekłbyś, ludzkość jest dziwną złożoną niemocą,
Przy dostatku wszystkiego tkwi w beznędznej nędzy,
Bo jak krwi w niej zastyga krążenie pieniędzy.

(1933)

II. SPÓR FILOLOGICZNY.

Raz się wśród dwóch filologów

Kłótnia rozegrała:

Czy „golizna” zaistniała,

Czy raczej nastąpiła?

„Zaistniała, bo istnieje,” —

Twierdzi pan z Krakowa.

A Warszawiak: — „Język polski

Nie zna tego słowa.”

— „To je pozna, skoro u nas

Dawno się używa.

Zaistnieć spłodziło *istnieć*,

To rzecz niewątpliwa!” —

— „Co za racja? Według pańskiej

Teorii płodzenia

Zabić — to początek *bicia*,

Zamorzyć — *morzenia!*”

I poczęli walczyć mistrze

Ciężką artylerją:

Akademja, Linde, Kryński, —

Potyczka na serjo.

A tak się zaciętrzewili,

Kłócąc się dowoli,

Że narazie zapomnieli,
Iż obydwaj — goli.

„Na co wam się to spieranie!
— Poznaniak się śmieje —
Lepiej myślcie, jak odstanie,
Względnie — odistnieje!”

(1933)

KAWALER I PANNY.

(BAJKA)

Przez panien szpaler
Kroczył kawaler.
A że ubrany nie według mody,
Przyblakłej nieco urody,
Zabawnie łypał oczyma
I dość niezgrabnie się trzymał, —
Więc panny płocze
Jęły zeń stroić żarciki,
Jak to potrafią podwiki.

Śród ich mimiki
Kawaler jak z bicza trząśł:
„O jedną — rzecze — miałem oświadczyć się z was,
Lecz gdym takiego doznał powodzenia,
Adiu! panienki, zamiar mój się zmienia!”

Dopiero pannom żal.

— „Tyś to zaczęła”.
— „To nie ja!” — „Tyś to!” — „To ty!”
Wstydzą się własnej pustoty,
Lecz okazja na męża fiu! fiu! już minęła...

Morał z tej bajki jak szydło wyziera:
Szanujcie, kiedy macie panny — kawalera!
(1898)

BRYŚ NA UWIEZI.

(BAJKA)

Że koty i kurczęta ścigał zbyt zajadle,
Wzięto Brysia na łańcuch, lecz pomnąc o jadle,
Uraczono niebawem pełną miską mleka.
Bryś łącno się zabiera do miłej roboty,
Gdy nagle — tuż, tuż, blisko
Sposzrzega koty.

Nie wytrzymał. Huź na nich! Ale łańcuch ściska,
Nie puszcza, — a przy skoku wywraca się miska,
I nadomiar przykrości — koty, niecne wrogie,
Miał w nogi,
Siadły tak — że choć łapą sięgnąć — niedaleko
I jęły własne jego wylizywać mleko.

*

*

*

Rozwaga — rzecz konieczna, Brysiu, luby zuchu,
A najbardziej dla tego, kto jest na łańcuchu.

(1900)

LIS I POWÓDŹ.

(BAJKA)

Mądry lis, co w niejednych bywał tarapatach,
Bo już dojrzały w latach
I nie lubiący gruszek zasypiać w popiele,
Przeszedł w życiu wiele,
Lecz tak mu się udawało,
Że bądź sprytem, bądź odwagą,
Przytomnością lub rozwagą,
Zawsze uchodził cało.

Raz znużony i od nory swej daleki,
W pobliżu jakiejś rzeki
Pod starej wierzby pniem na noc przypadłszy,
Zasnął, jak się patrzy,
Jak suseł, nie jak lis z lisów, ostrożności
Pełen i czujności...
Budzi się — mokro! W wodzie jest po szyję,
Czuje, że ledwo żyje.
Więc hyc na wierzbę. — Widzi — wszędzie rzeka.
Różnych zwierząt tłum ucieka,
Ale toną w wartkiej fali.
„To im się wcale nie chwali,”
Myśli lis. — „Wolę kataru dostać
I na tym pniu pozostać
Choć o chłodzie i głodzie,
Niżli utonąć w wodzie.”

I miał rację. — Niebawem ustąpiły wody.
Nasz lis, choć na zdrowiu nie bez szkody,
Choć głodny i osłabiony,
Wrócił z życiem w rodzinne strony.

Taką potem do księgi pamiątek
Zapisał radę dla młodych lisiątek:
— Gdy nie możesz biedy zwalczyć albo uciec od niej,
To trzeba ją przeczekać, choć najniewygodniej.
Gdy siłą nie poradzisz ni umiejętnością,
Jeszcze się ocalić możesz — wytrwałością.

(1903)

PTAKI I TEORJA DARWINA.

(BAJKA)

Raz do ptasiego państwa, gdzie choć w wolnym tempie
Dochodzą czasem słuchy o wiedzy postępie,
Przeniknęła, jako ciekawa nowina,
Teorja Darwina.

Coś piąte przez dziesiąte napaplały sroki
O przemianie gatunków, potem zawsze skora
Do uczenia — papuga pana profesora
Sosem to erudycji poląła głębokiej.

Zdębiały ze zdumienia wszystkie mózgi ptasie ;
I nie dziw! bo poprostu zrozumiały — zda się —
Że jedne w drugie można przeobrazać ptaki...
O, jakże to z okazji nie skorzystać takiej!
Więc — komisja z najmędrszą na jej czele głową,
Oczywiście — sową.

Członków w niej tuzin, różnego kalibru i pierza,
Z tych, którym sowa najbardziej dowierza.
Ona też zarządziła: — „Dla lepszej reklamy
Kogutów za heroldów komisji przydamy
I rozrzcimy gęsto wróbla bandy
Dla propagandy.”

Zrazu z ptaków drobniejszych i średnich gromadką
Jakoś szło gładko,

Zwłaszcza przy kogutów wrzaskliwej robocie
I wróbli świergocie:
Z dudka zrobiono szpaka, — jastrzębia,
Utuczywszy go hojnie, zmieniono w gołębia, —
Nawet niejedna indyczka i kurka
W pawie porosła piórka.

Lecz z dużymi ptakami — u szczytów — u góry
Szło trudniej, choć komisja wyłazi ze skóry...
Wreszcie i w ptasim rodzie nadeszła godzina,
Że z wiary w teorię Darwina
Nie zostało ani strzępa —
Kiedy w Orła zechciano przeistoczyć Sępa.

(1916)

OWCE DOBRZE STRZEŻONE.

(BAJKA)

Raz pan licznych owczarni w ciągłej trosce, czemby
Ochronić stada swoje przed wilczemi zęby
I ująć mocniej w karby nieposłuszne owce,
— Że to głupie zwierzęta lubią schodzić na manowce,
Choć owczarz im powtarza: pilnuj się! zastanów! —

 Z jakiejś swej wioski odległej
 Sprowadził okrutnych kilka sfor brytanów,
 By owiec strzegły.

Sądny dzień nastał dla owczarni całej,
 Gdy się te psiska tam dostały.
Przedtem, kiedy się owce skupiały w gromadę,
 Wilki nie zawsze dawały im radę
 I czasem tylko chwytaly ofiary.
 Teraz — nie dacie wiary? —
Wszystkim ciągle strach, bo co beknie która,
Pies cap zębami, a za skargę do owczarza
 — Jeśli się jaka odważa —
 Znów psom płaci owcza skóra.

 Pospuszczały na dół nosy
 Nieszczęśliwe merynosy,
 Ogony pochudły,
Miast jedwabistej wełny — poszarpane kudły,
Tułają się jak błędne, ze strony na stronę...
 No, ale zato są dobrze strzeżone!

(1927)

FRASZKI.

WIELKIE USZY.

(Z WOLTERA)

Dwór Wersalski twojemi pieśniami pomiata,
Chociaż je Paryż darzy oklaskami.
Niestety, Grétry,*) uszy wielkich tego świata,
Są często wielkimi uszami.

CZEMU SIĘ DZIWIĘ?

Niewiele rzeczy dziwi mnie — przyznaję —
W postępach ludzkich, lecz jedna najbardziej,
Kiedy pobudką postępów się staje
Chęć tych zdziwienia, którymi się gardzi
Lub za mniej mądrych od siebie uznaje.

(1921)

*) Grétry — znakomity muzyk francuski z XVIII w.

DO PISARZA — PYSZAŁKA.

Nie pusz się tak i nie sróż!

Choć niezawodnie
Można piórem i krzywdzić i walczyć niegodnie,
Lecz czy słusznie ztąd buta twa uzasadniona?...
Lada tyran w tem większych wyczynów dokona.

(1923)

O NIEKTÓRYCH KRYTYKACH.

Dawniej, gdy gość nieznany w progi domu wchodził,
Najprzód pytano zwykle zewsząd: — *Kto go rodzi?*
Dziś obyczaj podobny jeszcze się spotyka
W niejednego „podejściu do dzieła” krytyka,
Bo zanim je pochwali lub buty uszyje,
Nie — *jakie?* — śpieszy stwierdzić, lecz nasamprzód — *czyje?*

(1926)

POD MARYMONTEM.

Stojąc na szosie pod Marymontem,
W przejeżdżający mimo autobus —
Widzę, — jak bryłę śniegu i błota
Ciska ze złością przydrożny łobuz.
„Powiedz mi, chłopcze! — mówię do niego,
Pedagogiczną pragnąc dać radę —
Co ten ekwipaż tobie zawinił?”
Odburnął gniewnie: — „Bo w nim nie jadę!”

(1933)

UŁUDA I WYOBRAŻNIA.

Za omamy ułudy nie wiń wyobraźni!
Ona raczej przed niemi — ochroną twjej jaźni.

Ułuda to przepaska, co zasłania oczy,
I choć — zda się — różowa, zaciemnia i mroczy.

Wyobraźnia przestrzela kłęby mgieł i cieni.
Jak lampa elektryczna, smugami promieni,

Pierwsza to więź, we własnej dławiąca obroży;
Druga — siłą, co naprzód popycha i tworzy.

Złudzenia to ułudy dzieci, które rada —
Wyobraźni, jak jajka kukułcze, podkłada.

(1934)

„RECUBANS SUB TEGMINE FAGI.”

Niech, komu wola, grzechotem jazz-bandu,
Któremu rykiem wtóruje saksofon,
Słuch swój uracza wprost lub przez gramofon.
Non est de gustibus, non est disputandum!
Ja wolę w cieniu klonu lub kasztana
Słyszeć brzęk muszek i klekot bociana.

Lipiec... Południe... Świat wokół się pławi
Wraz ze mną w skwaru gorącej topieli,
Słońce już nawet nie złoci lecz bieli
W swych rozpalonych promieni kurzawie...
Przymykam oczy, lecz nie z odurzenia —
Z pełnego wszystkich fibrów odprężenia.

Wiem, że się w polu robota odbywa,
Robót królowa i korona — żniwa;
Że garstka bliskich w domu czy w ogrodzie
Krząta się zwolna ku mojej wygodzie.
Lecz zmysłów tylko dochodzi woń siana,
Ciepło, brzęk muszek i klekot bociana...

(1934)

Z KARTEK ALBUMOWYCH.

WACHLARZ.

Czasami wachlarz bywa tarczą
Z przejrzystej, różnobarwnej mgły,
Czasami skrzydła jego warczą,
Jak miecz, co ciska skry.

Czasami w kształcie snopka
Sygnałem w ręczce tkwi, —
A czasem to kropka
Nad „i”.

(1887)

AKROSTYCHY.

I.

Myślę, tyś jest jak żadna, taka pogodna, ładna,
A więc niech ci z czoła —
Radości światło czyste nie schodzi, bo zaiste,
Jakby złe życie było, gdyby smutkiem raniło
Anioła...

II.

Pani J. Z.

Jest jedna, co królowej zowie się imieniem,
A piękne swoje imię godnie nosić umie...
Dla niej cierpienie innych
własnem jest cierpieniem.
Wesołość, radość cudzą dzieli i rozumie.
I, jak królowa, w ciszy czy w rojnym salonie,
Gdziekolwiek się znajduje, świeci jak na tronie...
Ach! bo dobroć prawdziwa uwieńcza jej skronie.
(1887)

DO *

Gdybyś do wnętrza puszczy weszła o północy,
Wszystkie tam ptaki leśne, które drzemią w nocy,
Czekając, aż jutrenka błysnie upragniona,
Zbudziłyby się nagle z okrzykiem:

— „To ona!”.

(1887)

CZEMU?

Prysły lody, znikły śniegi i w świeżości krasie znów
Nowa wiosna się wyłania z szarej mgły zimowych snów,
Wraca znowu, jak po nocy słońce w świetle rannych zórz...
Czemuż raz trwa wiosna życia i nie wraca więcej już!

Drzewa biorą nowe szaty, każdy się zieleni krzew,
Szemrze strumień, wśród gałęzi brzmi radosny ptasząt śpiew,
Znowu bielą się czeremchy, rozchylają pączki róż...
Czemuż raz trwa wiosna życia i nie wraca więcej już!

Znowu jak za przeszłej wiosny dzień ożywcem ciepłem tchnie,
A wieczorne krajobrazy usypiają w nocnej mgle,
A porannej rosy krople znów zmywają z listków kurz...
Czemuż raz trwa wiosna życia i nie wraca więcej już!

Czemu — chociaż wśród natury w nieprzerwanym biegu lat
Każda pora znów powraca w całej krasie świeżych szat, —
W życiu ludzkim — od snów słodkich do szarpiących serca burz —
Wszystko, skoro raz przeminie, nie powróci nigdy już!?

(1888)

MŁODEJ PANIENCE.

Choćby ci w tym nowiutkim wpisali albumie
Mężowie o największym na świecie rozumie,
Talencie i powadze, choćby — dajmy na to —
Lord Bajron, czy Mickiewicz, Kopernik czy Plato,
A nawet z Wielkiej Wólki sam pan stryj dobrodziej:
„Wystrzegaj się miłości, bo miłość zawodzi!”
Nie ustrzeżesz się jej... Przytem powiem ci na uszko,
— Tylko nie zdradz przed stryjem! —
— Dobrze zrobisz, duszko!

(1889)

PRZY ROZSTANIU.

Rozstajem się na zawsze może
I już się więcej nie zobaczymy...
Ty pozostaniesz w cichym dworze,
Ja szlakiem pójdę w świat tułaczym.

I nie wiem, czyja lepsza dola:
Łodzi po falach kołataney,
Jak ją unosi wichrów wola, —
Czy u przystani przywiązanej?

Lecz wiem, że choć bez żalu może
Dziś rozstajemy się na wieki,
Ja będę śnił o cichym dworze,
Ty o wędrownkach w kraj daleki.

(1890)

NAD POŁUDNIOWEM MORZEM.

Pamiętasz?

Linja brzegu, jak rampa złotawa,
Wydłuża się wężowo przy morza orkiestrze...
Morze w bezwietrznej ciszy grać — zda się — ustawa.
Tylko coś szepce Niebu, jakby siostra — siostrze.
Z pod szafiru zasłony, co spuścił firmament,
Płynie z falą

do wszelkich snów
akompanjament.

Nagle —

szafir przecięła srebrnym rzutem mewa...
Jak pod muśnięciem smyczka — czarodziejskie skrzypki,
Morze w jeden ton cudny ozwie się... zaśpiewa...
Wzrok nasz raczej go przejął, niż słuch, — tak był szybki.

.
Różne zbudził on echa u nadmorskich gości,
Lecz nam wtedy zadźwięczał —
peanem Miłości.

(Lido. 1894)

DO DRUHÓW WIOŚLARZY.

Już wiek się skończył, drugi nadchodzi,
Jak my na naszej rozdartej łodzi
Bez żagla, steru — po wód odmęcie,
Wiosłami tylko robiąc zawzięcie,
Przeciwko wiatru i przeciw fali
Płyniemy dalej.

Wiatr się nie zmienia, ciągle dmie w oczy,
Ale obawa serc nam nie tłoczy,
Bo w naszej łodzi załoga wzrosła,
Bo rąk wciąż więcej chwyta za wiosła:
Ręce od pługa, od kielni, młota,
A wszystkich jedna trawi tęsknota...
Więc przeciw wiatru i przeciw fali
Płyniemy dalej.

I może rychło łódź z tej otchłani
Do upragnionej dotrze przystani,
Wydrze się z wirów mętnej topieli...
Więc z tą ufnością dzielni, wytrwali,
Jakośmy dotąd prosto płynęli,
Tak płyniemy dalej!

(6. 1. 1903)

VIII

PRZED ZAPADNIĘCIEM KURTYNY.

OSTRZENIE KOSY.

Przyprószył ziemię śnieg,
Jak wieku biel — me włosy...
Dlaczego słycać zkądś
Ostrzenie kosy?

Zwarzone resztki traw
I poschły w lesie wrzosy...
Dlaczego słycać zkądś
Ostrzenie kosy?

Nie ma co ścinać już,
Gdy szron lśni zamiast rosy...
Jakież to kosiarz chce
Użyć swej kosy?

.

Jest taki kosiarz, jest,
Ma gdzie zadawać ciosy...
Zostało
życie twe
Dla jego kosy.

(1936)

PRZED ZAPADNIEM KURTYNY

OSTRZEŻENIE

Przed rozpoczęciem walki
każdy żołnierz musi być
świadomy swoich obowiązków
i gotowy do poświęceń.

Ważnym elementem jest
dobry kontakt z dowódcą
i podległymi. W czasie walki
nie wolno tracić kontaktu wzrokowego.

Wszystkie czynności muszą być
wykonywane szybko i precyzyjnie.
Celem jest osiągnięcie
maksymalnego efektu.

Ważnym jest również
utrzymanie dyscypliny i
gotowości do walki.
Każdy żołnierz musi być
świadomy swojej roli w zespole.

(1938)

S P I S R Z E C Z Y

	str
I.	
Do starszego pokolenia (1886)	7
W setną rocznicę Konstytucji 3-go Maja (1891)	25
Źródło spokoju (1893)	29
Berezyna (1899)	31
Z nocnych gwarów: a) czyżby to był świt, matulu? (1897)	33
b) dlaczego żóraw tak skrzypi przy studni? (1898)	35
c) daj mi zasnąć (1902)	38
d) przedświt (1905)	40
e) ochotnik (1918)	42
Pieśń o rycerzu bez godła na tarczy (1911)	43
Krwawy jarmark (1914)	48
Do ucznia szkoły polskiej (1916)	49
Nie myśl, że wolność (1917)	50
Z akordów wolności (1919)	51
Do sztuki polskiej (1920)	53
Przed pomnikiem Ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie (1923)	54
II.	
900-lecie Świętego Wojciecha (1897)	59
Psalm rozbitków (1903)	61
Wiara (1904)	63
Widzenie (1905)	64
Łódź Piotrowa (1910)	66
Stance o Świętym Antonim Padewskim (1931)	70
III.	
Zapał (1886)	75
Do myśli ludzkiej (1887)	77

	str.
Trzy sonety: I. Quo usque (1887)	80
„ „ II. Dokąd? (1887)	81
„ „ III. Dlaczego? (1887)	82
Z cyklu „Sonety gorzkie” Jana Richepin’a:	
I. Wieża Babel (1888)	83
II. Żądza nieskończoności (1888)	84
W San Lorenzo „Do Nocy” K. A. Swinburne’a (1888)	85
Niech bieleje płótno szare (1890)	86
W Zaduszny Dzień (1891)	89
Znużenie Szatana (1901)	91
Mazur (1898)	93
Kto wolność raz pokocha (1900)	96
Czy ja wiem co czas przyniesie? (1900)	98
Apostrofa (1900)	100
O nieszczęśliwi, którzy chcieć nie mogą (1902)	102
Z rad dla moich synów. (1902—1907)	104
Ronda: I. Powiedz, że kochasz (1902)	106
II. Słowa, czcze słowa	107
III. Zawsze i nigdy	108
Błogosławieni (1908)	109
Wiatr jesieni (1909)	110
To wiem (1909)	114
Zajrz tam pod ziemię! (1913)	116
Wojna (1915)	118
Zmierzch młodości. Ronda. (1927)	120
Z egipskiej księgi „Przejścia przez wieczność” (1929)	122

IV.

Na peronie. Obrazek (1886)	127
Modlitwa matki	133
Zamek Locksley A. Tennysona (1888)	135
Śmierć nadziei (1896)	144
Czas-grabarz (1912)	149
Trzymaj swą boleść w karchach! (1928)	150
Choć włos ojca zbiałał. Z dramatów lotnictwa (1936).	151

V.

Na śmierć Jana Matejki (1893)	155
Do gości-poetów (1896)	161

	str.
Do Bolesława Prusa (1897)	163
Pamięci Józefa Korzeniowskiego (1897)	167
Do Deotymy (1897)	169
Wieczór wieku — rankowi (1898)	173
W 50-tą rocznicę śmierci Słowackiego (1899)	175
Na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie (1898)	177
Henrykowi Sienkiewiczowi. — Powieść polska (1899)	179
Do Marji Konopnickiej (1902)	182
Lublinowi (1904)	183
Znowu głos z Wilna (1905)	185
W półwiekową rocznicę śmierci Mickiewicza (1905)	188
Warszawa na przełomie XIX wieku. (Fragmenty) (1906)	190
Dożynki Orzeszkowej (1907)	194
Do Ignacego Chrzanowskiego (1910)	197
Toast na uczcie jubileuszowej prof. Br. Znatowicza (1912)	199
Do Marji Skłodowskiej-Curie (1913)	201
W 117-tą rocznicę (na obchodzie urodzin Mickiewicza w Nowogródku) (1915)	203
Biskupom polskim (1919)	206

VI.

Prośba (1886)	209
Kotek Angora (1887)	211
Do przyjaciółki (1887)	214
Na pierwszy śnieg (1888)	215
Oczy kobiety (z Fr. Coppée'go) (1888)	216
Do nieznajomej (1889)	218
W noc letnią (1890)	219
Czy Ty pamiętasz? (1891)	221
Odpowiedź pięknej damie (1892)	223
Po rozmowie. Dwa sonety (1893)	227
Sielanka (1894)	229
Ciepło i ciemność otuliły ziemię (1895)	231
Pieśń dla kobiety (1899)	232
Akord pierwszy	234
Wizje	234
Akord drugi	236
Do Zochny (z Musset'a) (1909)	239
Ta dziewczyna umarła (z P. Fort'a) (1911)	240

VII.

SATYRY, BAJKI, FRASZKI

	str.
Tak, panie! (1886)	243
Pierwsza miłość. Opowiadanie gimnazysty (1887)	247
Mówiła (1888)	252
Pochwała lenistwa (1890)	255
Czarcia rada (1918)	257
Z doby kryzysu: I. Beznędzna nędza (1933)	259
II. Spór filologiczny (1933)	260

BAJKI.

Kawaler i panny (1898)	262
Bryś na uwięzi (1900)	263
Lis i powódź (1903)	264
Ptaki i teoria Darwina (1916)	266
Owce dobrze strzeżone (1927)	268

FRASZKI.

Wielkie uszy	269
Czemu się dziwię	269
Do pisarza pyszałka (1923)	270
O niektórych krytykach (1926)	270
Pod Marymontem (1933)	271
Ułudą i wyobraźnia (1934)	271
„Recubans sub tegmine fagi” (1934)	272

Z KARTEK ALBUMOWYCH.

Wachlarz (1887)	273
Akrostychy. I. II. (1887)	274
Do * (1887)	274
Czemu? (1888)	275
Młodej panience (1889)	276
Przy rozstaniu (1890)	276
Nad południowem morzem (Lido 1895).	277
Do druhów wioślarzy (1903)	278

VIII.

Przed zapadnięciem kurtyny.	
Ostrzenie kosy (1936)	279

IV



Biblioteka Główna UMK



300000852974

323382

30. —

67116/93261

30 —